This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

PISMA
H. SIENKIEWICZA

8221

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA.

Pisma

Henryka Sienkiewicza.

TOM V.

Latarnik. — Niewola Tatarska.

Jamioł. — Na jedną kartę.

Bartek Zwycięzca.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.
1883.

LATARNIK [1].

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinvall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistéj wysepki, na któréj stoi latarnia i został spłukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tém prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki stojącéj w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzéj obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie, tak dla ruchu miejscowego jak i dla okrętów idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowém słońcem wodach, prawie niepodobna. Je-

[1] Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Horain, w jednéj ze swoich korespondencyj z Ameryki.

dynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo: nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniéj nie uśmiecha się rozpróżniaczonym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swéj skalistéj wysepki. Łódź z Aspinvall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całéj zaś wysepce mającéj morgę rozległości niéma nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne a nawet więcéj niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic téż dziwnego, że Mr. Izaak Folcombridge był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianiéj następca zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo więcéj, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żoł-

nierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na piérwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, w skutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Zkąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwéj służby rządowéj?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu staréj chorągwi. Rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiéj; ten trzeci to legia francuzka; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potém biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm! Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*.

(Plenami nazywają niezmierne stepy między New-Yorkiem a Kalifornią).

— *All right!* Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek ruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się zastarzy?

— Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcéj pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam że jestem uczciwy, ale... dość mam już tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— *Well!*—rzekł. Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem: *Good bye!...* Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisyą.

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik widocznie był już na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody, swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą tworzącą koło księżyca wielki zabarwiony tęczowo krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego czarnego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiéjś niedostępnéj skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto, mógł na téj skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur

na dno morza, w który biła falą, pluła pianą—a który jednak zawinął do portu. Obrazy téj burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichéj przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiem, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największéj ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indyach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami zamieszkującemi wnętrze Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce indyan, i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahia i Bordeaux, potém jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie i—został

okradziony przez wspólnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito." Wreszcie przybył do Aspinvall—i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na téj skalistéj wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściéj spotykał dobrych niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia i tém objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę manijakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tém mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie ztamtąd... Rzeczywiście niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość indyanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech, dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które mu ukazywano jako środek ratunku i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i nieszczęściu. Lazł pod górę tak pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoję podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz opalony Bóg wié w jakich ogniach, zahartowany w biédach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie, zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoję chininę, któréj miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach, zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugiemi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się—począł tracić energią. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta podobna do słyszanéj niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziéj upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największém ludzkiém szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tém, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszyst-

kich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoję latarnią, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartemi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że piérwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwalskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojéj powietrznéj wyżyny—i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnéj zupełnie, tajemniczéj i strasznéj. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i, rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziéj i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniéj i głośniéj, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potém o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potém jakieś łkania — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził czarnych poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniéj. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnéj wzburzonéj przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek powieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wyso-

ko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swéj izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziéj tajemnicza, a im jest bardziéj zmęczony życiem, tém milsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik téż bywa zazwyczaj człekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoję latarnią i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłém życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko z czém styka się latarnik jest olbrzymie i pozbawione zwartych określonych kształtów. Niebo: to jeden ogół, woda: to drugi, a wśród tych

nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którém myśl jest raczéj ciągłém zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potém, siadłszy na balkonie wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiém turkusowém tle widać było stada wydętych żagli świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugiemi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinvall, ciągnąc za sobą długi spieniony szlak piany. Z drugiéj strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni, Aspinvall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś daléj białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni, domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym kamiennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina sjesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale sła-

bły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconéj niczém ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własném szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwalał go w tém przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potém, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na nizkie piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, któremi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoję skałę i swoję bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi tłustemi roślinkami sączącemi lipką żywicę. Ubóztwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki.

W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz układały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinvallu. Daléj między Aspinvall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów—las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany ljanami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlécznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzéć nietylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zblizka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zblizka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże kołyszące się nakształt ljanów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne przepełnione drętwami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakiém jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których mrowią się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to téż

tém większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe *matos*, podziwiać ich piękność a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiém złem. Opuszczał ją téż tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnemi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika." — „I nie heretyk, chociaż *Yankee!*" Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newyorskiego „Heralda" pożyczanego u Folcombridge'a — i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biédne stare serce! na téj wieży strażniczéj i na drugiéj półkuli biło jeszcze dla kraju.... Czasem także, gdy łódź przywożąca mu codzień żywność i wodę przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potém jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział ani on nikogo. Jedynym znakiem że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianéj na brzegu i światło latarni zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnacyą. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży

do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytém stał się mistykiem. Łagodne niebieskie jego oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiéjś dali. W ciągłém odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego, a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnéj odrębności, przestawał istnieć jakby osoba a zlewał się coraz więcéj z tém, co go otaczało. Nie rozumował nad tém, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w téj tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tém ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tém pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do półśmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcéj. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq." wypisany na grubém żaglowém płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jednę do ręki, spojrzał i położył napowrót, przyczém ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni—książka była polska. Co to miało znaczyć!? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszéj chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swéj latarniczéj karyery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula Heraldzie o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swéj miesięcznéj pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysyłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszéj chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinvall, na jego wieży, wśród jego samo-

tności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niéj otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkiemi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu! Potém, wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającéj sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki, i w awanturniczém życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał polaków, a nigdy książek polskich. Z tém większą téż skwapliwością i z tém żywiéj bijącém sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnéj skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinvalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinvalu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś

uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiéj rozumiéć:

„Litwo, ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie..."

Skawińskiemu zbrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżéj i wyżéj, tłumiąc głos, ściskając za gardło.... Chwila jeszcze; opanował się i czytał daléj:

„Panno Święta, co jasnéj bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącéj matki pod Twoję opiekę,
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę,
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu,
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...."

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię: jego mleczne włosy zmięszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało jak nie widział kraju i, Bóg wié ile, jak nie słyszał mowy rodzinnéj, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiéj półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy któréj wszystko jest niczém.... On poprostu tym wielkim płaczem prze-

praszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz „wracał cudem"—więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w któréj je karmił resztkami swéj żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potém przybyło ich coraz więcéj i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoję żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu widno zupełnie, więc czytał daléj:

„Tymczasem przenoś duszę moję utęsknioną,
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych.
. . . . . .
. . . . . .

Zmierzch dopiéro zatarł litery na białéj karcie: zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnéj broni Częstochowy" zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitém." Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu

w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko jak było. Wszystko go pyta: „pamiętasz?" On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O téj porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale teraz on jest we wsi rodzinnéj. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ni matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś, w téj swojéj wiosce stał nocą na widecie; teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szereg widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnéj tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!" To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rześko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszéj bitwie. Hej! to i pójdzie, jak

pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj jedyna, jedyna.!!

Cicho! czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns strażnik portowy.

— Co to?—pyta Johns—chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie. Szczęściem nikt nie utonął; inaczéj poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił téj nocy latarni.

W kilka dni późniéj widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinvall do New-Yorku. Biédak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać dowoli. To téż stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoję książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła...

II.

NIEWOLA TATARSKA.

NIEWOLA TATARSKA.

Urywki z kroniki szlacheckiéj Aleksego Zdanoborskiego.

I.

Pacholę jadąc przodem, albo-li téż za mną, pobrzdękiwało na teorbaniku, a mnie żałość i tęsknota za Marysią ściskały serce—i im daléj od niéj odjeżdżałem, tém ją miłowałem goręcéj. Przychodziły mi wonczas na myśl słowa: „post equitem sedet atra cura," lecz gdy w tak wielkiém fortuny mojéj uszczupleniu z J. W. Tworzyańskim mówić, ani mu się wyspowiadać z afektów nie śmiałem, nie pozostało mi nic innego, jak szablą na nową fortunę zarobić i gloria militari się przyozdobiwszy, dopiéroż przed nim stanąć. Bóg mi, ani Marychna moja serdeczna nie mogli wziąć za złe, żem tego wprzódy nie uczynił. Gdyby mi ona kazała w ogień albo téż w wodę skoczyć, albo zgoła krew przelać, Ty, Jezu Chryste, który patrzysz w serce moje, widzisz, że byłbym to uczynił. Ale jednéj rzeczy, nawet dla wdzięcznéj dzieweczki mojéj nie mogłem poświęcić, a to honoru szlacheckiego. Fortuna moja była żadna, lecz zasię krwi zacność wielka, a po ojcach jakoby testamentem miałem przekazane, bym wiecznie uwa-

żył, iż gardło jest rzeczą moją i one wolno mi na szwank podawać, ale *integra rodu dignitas* jest puścizną przodków, którą mam oddać, tak jak ją wziąłem: *integram.* — Wieczny odpoczynek racz ojcom moim dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Choćby J. W. Tworzyański dzieweczkę swą oddać mi się był zgodził, nie miałbym jéj gdzie wprowadzić, gdyby zaś bacząc na szczupłość méj fortuny w dumie swéj *pauprem*, albo zgoła szarakiem mnie nazwał, tedybym się w rozumieniu o wyborności rodu mego czuł dotknięty i pomścićbym się na nim musiał — czego, gdy on jest ojcem mojéj Marysi, Panie Boże nie dopuść.

Owóż i nie zostało jak jechać na kresy. Rzędziki, pasy i co było lepszego po ojcach, częścią zastawiwszy, częścią przedawszy, zebrałem dukatów ważnych trzysta, które zaraz na prowizyą J. W. Tworzyańskiemu oddałem, potém łzami i ciężkiém wzdychaniem pożegnawszy Marysię, przez noc gotowałem się do drogi, a nazajutrz oba z pachołkiem obróciliśmy konie ku Wschodowi.

Wypadło jechać na Zasław, Bar do Haysynia. Po zamkach, dworach lub karczmach na noclegi stawając, dotarliśmy wreszcie do Umania, za którym step już otworzył się przed nami równy, bujny, głuchy. Pachołek, jadąc przodem, coraz to w teorbanik uderzał i pieśni śpiewał, a mnie się zdało że przedemną leci, jako ptak za którym gonię: sława—a za mną jako drugi ptak: tęsknota. Jechaliśmy do stannicy, zwanéj Mohylna, gdzie czasu swego J. W. ojciec mój, pułkownik z chorągwią pancerną strażował, którą był własnym sumptem na wojnę z bisur-

many wystawił; ale do Mohylnéj jest bardzo daleko, bo chwalić Boga, Rzeczpospolita szeroko rozsiadła się po ziemi, i prócz tego, trzeba tam jechać przez stepy, na których dzień i noc myszkują Tatarzy i różni łotrzykowie, więc i szyi własnéj strzedz bardzo wypada. Po drodze dziwowałem się wszystkiemu, jako, że piérwszy raz na Ukrainie będąc, same nieznane spotykałem sprawy i rzeczy. Ziemia to wojenna, lud téż w niéj twardszy niż u nas i hardziejszy, a w chłopie fantazya taka, jakiéj szlachcicby się nie powstydził. Gdy osadą przejeżdżasz, choć pozna żeś urodzonym, ledwie ci czapki uchyli, a w oczy prosto patrzy. W każdéj chacie jest tam i szabla i rusznica, a niejeden chłop obuszek w ręku nosi, właśnie jako gdzieindziéj ślachcic. Zawzięta téż natura jest w tych ludziach i nawet—za co ich szabla już karała i jeszcze pokarze—z komisarzów Rzeczypospolitéj nie wiele sobie robią, taki bliskość pogaństwa i ciągła wojenna gotowość wyrobiły w nich animusz. Rolą niezbyt chętnie się parają, a jeśli któremu i płuży gospodarka, woli na swojém, niż na pańskiém osiadać. Za to do pocztów dworskich, albo i pod lekkie znaki Rzeczypospolitéj chciwie się zaciągają i żołnierz, zwłaszcza do zwiadów i harców z nich wyborny, choć i w polu *non obtrectant*, ale krzyk wielki uczyniwszy, na nieprzyjaciela jako w dym idą, siekąc i kołąc. Każda ich osada podobniejsza jest do taboru, niż do wsi;—koni mnóstwo trzymają, które na stepie zimą i latem się pasą, a są tak ścigłe jak tatarskie. Wielu z nich także na *insulae* dnieprowe ucieka, i tam w siczy, żywot jakoby zakonny, ale wojenny i wcale rozbójniczy prowadzą, na którychto ich swawolach wiele ucierpiała i cierpieć jeszcze będzie, póki

ich nie poskromi miła ojczyzna nasza. Na miejscu—jakowemu szlachcicowi, a choćby i możnemu panu, trudno ich utrzymać, albowiem raz wraz się zrywają i w puste stepy, których tam dowolna, idą na własnéj woli osiadać. Konstrukcyą ciała są zarówno jak i *moribus* od naszych chłopów odmienni, gdyż wysocy są i krzepcy, cerę mają śniadą, do tatarskiéj podobniejszą, wąsy tak jak u wołochów czarne, łby zaś, modę od pogaństwa przejąwszy, golą, na samym tylko czubie, srogi oseledec zostawując. Co widząc i rozważając dziwowałem się bardzo i téj ziemi i wszystkiemu co w niéj jest, a jakom ją nazwał wojenną, tak téż i powtórzę, że krainy dla zbrojnego i konnego ludu przygodniejszéj, próżnoby po całym świecie szukać. Gdy jedni zginą, drudzy ze wszech stron nadciągają, i po wszystkich szlakach, tak właśnie jakoby stada ptaków ciągną, a w onéj pustoszy stepowéj łacniéj usłyszyć niźli skowronka nad glebą, huk samopałów, szczęk szabel, rżenie koni, furkotanie chorągwi na wietrze i krzyki żołnierskie. Chodzą tam także, jak również na Podolu i Wołyniu, stare dziady, których wszyscy wielce szanują. Ci ślepi będąc, na lyrach grają i pieśni rycerskie *cantant*, przez co animusz i czułość na sławę bardzo kwitnie. Żołnierz téż tam widząc, że ci co dziś żyją, jutro gniją, na żywot własny, jakby na złamany grosz nie baczy, szafując krwią jako magnat złotem—i więcéj o piękną śmierć niźli o życie lub dostatki dba doczesne. Inni wojnę nad wszystko umiłowawszy, choć nieraz z wielkiéj krwi pochodząc, w ustawicznéj żołnierce prawie dziczeją i na bitwę, jakby właśnie na wesele, z radością wielką i śpiewaniem idą; ale czasu pokoju przykrzą sobie wielce, nie najdując zaś ujścia dla

swych wojennych umorów, spokojności powszechnéj zagrażają. Tych straceńcami zowią. Gdy człowiek tam zginie, wszyscy poczytują to za rzecz zwyczajną i nawet najbliżsi nie bardo go płaczą, mówiąc, że lepiéj przystoi mężowi na stepie, niźli w łożnicy jako niewieście konać. Jakoż tam jest najlepsza rycerska szkoła i zaprawa. Gdy pułk jaki młody w stannicy rok, albo-li téż dwa postoi, tak się jako turecka szabla wyostrzy, że potém ani rajtarya niemiecka, ani janczary furyi jego w równéj liczbie się nie ostoją, a cóż dopiéro inny podlejszy żołnierz, jako naprzykład wołoski, lub wszelaki najemnik. O zwadę tam łatwo i téj unikać należy, gdyż cała ziemia roi się mężami zbrojnymi. Jadąc z pachołkiem napotykaliśmy to poczty dworskie, więc panów Potockich, Wiśniowieckich, Kisielów, Zbarażskich, Jazłowieckich i Kalinowskich w różnych czarnych, czerwonych i pstrych barwach, to wojska komputowe, to chorągwie królewskie. Konie owych żołnierzyków szły po brzuchy w trawach, prychając jakoby płynęły we wodzie; rotmistrze oganiali chorągwie, jako psy owczarskie stada, kozacy bili w kotły, dęli w surmy i piszczałki, lub śpiewali pieśni, czyniąc gwar tak srogi, że bywało i przeszli i zniknęli, a jeszcze wiater niósł od ich strony rozhowór, jakoby właśnie od burzy dalekiéj. Między pułkami ciągnęły także maże czumackie skrzypiące przeraźliwie, od których konie nam się płoszyły. Czumakowie owi, jedni sól z Limanu nad Euxinem biorą, drudzy aż do Palus Meotis z pomiędzy sprosnych pogan wracają lub z Moskwy, inni wino mołdawskie na Sicz wiozą, a żórawim ordynkiem jedni za drugiemi ciągnąc, czasem łańcuch na milę w stepie tworzą. Napotykaliśmy także ta-

buny wołów, wszystko jednéj siwéj maści o wielkich porozginanych rogach. Te stłoczywszy się, idą tak ciasno, iż kupę zbitą czynią i tylko łby rogate chwieją im się w obie strony. Za stannicą kisielową zaszła nam drogę rota z pod poważnego znaku usarskiego. Ludzie byli w pełnéj zbroi i taki szum szedł od ich skrzydeł, jakby od orłowych. Oczuśmy obaj z wyrostkiem nie mogli od nich oderwać, choć i trudno było patrzyć, bo słońce na zbrojach okrutnym blaskiem raziło powieki, a ostrza u podniesionych w górę kopij błyskały jakoby płomyki jarzęcych świec, pozawieszane w powietrzu. Ale serce nam rosło, usarze ci bowiem więcéj byli podobni do roty królów niźli do żołnierzy, taka w nich *auctoritas* i taki majestat bojowy. Za stannicą kraj stał się głuchszy. Często po stepie błyskały nocami ogniska gońców kozackich, do różnych stannic rozsyłanych, lub téż chłopów na pustkowia uciekających. Nie zbliżaliśmy się do nich, własne mając zwyczaj niecić ognisko. Inni téż czasem do nas przychodzili, bądźto zgłodnieli, bądź zabłąkani w stepie, a raz zbliżył się dziwny jakiś człek z twarzą całkiem zarosłą i do wilczéj paszczęki podobną. Ujrzawszy go pacholę, krzyczeć od wielkiego strachu poczęło, a ja sam, sądząc mieć sprawę z wilkołakiem, sięgnąłem już po szablę, by go ściąć. Gdy jednakże owo monstrum, miasto zawyć, pochwaliło Chrystusa, dałem mu spokój. Potém nieznajomy opowiedział się tatarem z pochodzenia, ale katolikiem, czemum się nawet dziwił, bo ci, co są w Litwie, koranu się trzymają. Ów zaś dla żony wiarę zmienił, a późniéj służąc jako vexillifer w swoim ściahu, dla znajomości tatarskiego języka, z listami do Ordy od hetmanów litewskich był wysyłany. Ale

przecie pachołkowi markotno było z nim spać przy jednym ogniu. Częściéj téż noce spędzaliśmy samowtór śpiąc, albo i nieśpiąc, by na konie dawać baczenie. Nieraz układłszy się na trawie, patrzyłem w gwiazdki migocące w niebiesiech, rozważając sobie w duchu, że ta co najserdeczniéj na mnie mruga, to właśnie moja Marysia. I in luctu miałem takową otuchę, że ona gwiazdka nigdy nie zaświeci innemu, ale wiary mnie dochowa, mając serce ućciwe i duszę tak czystą, jako kropla łzy wypłakanéj w modlitwie przed Bogiem. Czasem przychodziła do mnie we śnie, właśnie jakoby żywa, a niejakiéj nocy przyszedłszy, rzekła, iż się za mnie modli i że jako jaskółka za mną poleci przez niebieskie przestworza, a zmęczy się, to na mojéj glewii spocznie, a wciąż świegotać będzie do nieba o sławę i szczęście dla mnie. Potém rozpłynęła się w parę, ja zasię, gdym się zbudził, myślałem: anioł był koło mnie, a co mnie przytém dziwiło, to, że i konie strzygąc uszami, prychały mocno, jakby czuły kogoś wedle siebie. Uważając takie zjawienie za znak łaski Bożéj i za zachętę w imprezach, ślubowałem N. P. Maryi i Św. Aleksemu, memu patronowi, by łaskę ich i nadal zachować, nigdy grzechem śmiertelnym się nie zmazać. Modliłem się téż onéj nocy aż do świtania, czyli do pory odjazdu. Ruszaliśmy zwykle w dalszą drogę przed wschodem słońca, który to fenomen wcale w tamtych stronach piękniejszy jest niż u nas, bo gdy pierwsze promienie strzelą na równinę zroszoną chłodem nocy, to cały step dla mnogości kwiecia wygląda jakby bisior perłami tkany. Ztąd radość jest wszelkiemu stworzeniu. Dopiéroż kuropatki, przepiórki, pardwy i inni ptacy stepowi smyrgając w gąszczy, strącają one perły

na ziemię. Ptastwa moc jest nieprzebrana w téj krainie. Napotykaliśmy co dnia to dropie chytre, to żórawie misterne. Te siedząc na ziemi, wyciągnąwszy szyje długie jakoby dzidy do góry, straż koło mogił w ordynku odprawują, gdy zaś po niebie z gęganiem okrutném lecą, to tak wysoko, że ich okiem nie sięgnąć. Czumakowie wielce je szanują, bo w locie kształtem krzyż święty przypominają. Żołnierze téż, licząc je szablami, szczęście sobie z ich liczby wróżyć zwykli, ale wedle mojego rozumu, to niéma nic do rzeczy, bo co komu Pan Bóg w miłosierdziu swojém ma dać, to i tak da. Z innych ptaków są tu wrony, kruki, jastrzęby i orłowie, którzy pod zorzę wieczorną wielkie korowody nad mogiłami czynią, to siadając wieńcem na jakowéj mogile, to zrywając się bez racyi z łopotem i krakaniem tak ogromném, a żałościwém, że uszy sobie zatykać trzeba. Zorze wieczorne czerwienią się tu mocniéj niż u nas, a to z tego powodu, iż wiele krwi chrześcijańskiéj rozlewają poganie, która to krew idzie do nieba i czerwieni się, wołając o pomstę. Mogiły téż tu, jak okiem sięgnąć, pokrywają całą krainę, a w nich leżą rycerze, czekając dnia sądu. Inni wszakże twierdzą, że rycerstwo to śpi tylko, ale rozbudzi się, gdy wyprawa wszystkich królów chrześcijańskich na pogan zostanie otrąbiona — co czy prawdą jest, nie wiem, ale tak mniemam, iż może się zdarzyć, bo w mocy Bożéj jest wszystko.

Ziemia to jest mężów walecznych, którą kopytami końskiemi depcą polacy, kozaki i tatarzy w ustawicznym harcu, jedni za drugimi zbrojno się uganiając. A tak całe pokolenia, jako one figurki w papierowém zapustném teatrum ukazują się i nikną. Wielu tam także dobréj

szlachty na zamieszkanie przychodzi, i ci chłopa z Korony lub też miejscowego uzbierawszy, całe osady zakładają, bo choć tam żywot pod ciągłą grozą wojenną wieść trzeba, przecie taką już dał Pan Bóg narodowi naszemu fantazyą, że niebezpieczeństwa miasto go zrazić, lepem mu są właśnie i ponętą. Jakoż, gdy pacholę ślacheckie do lat dojdzie, trudno je w domu przy gospodarce, alboli też na szkolnéj ławie utrzymać, bo się jako białozór do lotu zrywa na kresy. Niejeden tam szyję traci, ale inny chudopachołek na pana wychodzi, jako już wielu wyszło, których dzieci na zamkach swoich żyją, poczty trzymają i senatorskie godności w Rzeczypospolitéj piastują. Po bożéj też to jest myśli rycerskiemu człeku z roli i wojny na pana wyrastać, a przytém przez takie osadzanie stepu, potęga Rzeczypospolitéj się pomnaża. Z mazurów, który to naród bardzo jest mnożny i tak się właśnie jako pszczoły w ulu roi, najwięcéj tam ludzi przychodzi. Ci step pługami orzą i w rolników chętnie się zmieniają, a w czasie wojny kupią idą, jeden za drugiego zginąć gotowy. . . . . .

Rozważając sprawy one, bardzom się radował, bom zrozumiał, że albo w bitwie polegnę, na co ślachcic, żołnierz chrześciański zawsze *paratus* być winien—i wówczas koronę niebieską otrzymam—albo miłéj ojczyznie znaczne posługi oddawszy, ród mój do dawnego splendoru powrócę i ojców moich w niebie uraduję. Oni też do fortuny dochodzili nie fołdrowaniem po dworach, ani krzykiem na sejmikach, ale krwią, życia fundamentem, a co dzierżyli, to od Rzeczypospolitéj dzierżyli i dla niéj też nie żałowali, jako J. W. dziad i J. W. ojciec mój, z których każden okrytą chorągiew na wojnę z bisurmany wystawił. Niech im

za to Bóg da w niebie światłość wiekuistą, boć przystoi aby fortuna co z szabli przyszła, w szablę przetopiona została. A mnie choć tam serce za Marysią boli i w trzosie wiatr świszcze, przeciem dziedzicem jest sławnego imienia i wielkiéj ambicyi ślacheckiéj, kwoli któréj po nocach jakoby trąby i głosy jakieś słyszę, co na mnie wołają: „imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się, nie zegnij!" Ty, Boże, tak mnie błogosław, jako imię przechowam: ojcom dorównam i pierwéj się złamę, niż zegnę.

I tom sobie także przedsię zamierzył, że da-li mi Bóg szczęsnéj chwili doczekać i po Marysię jechać, to przyjadę, ale nie w drelichu, jeno w złotogłowiu, i nie w podartéj czapce, ale w piórach strusich i nie z jednym pachołkiem, ale z pocztem i buzdyganem w ręku, jako paniątko po panienkę, jako możny rycerz po senatorskie dziecko. A wtedy bez ujmy dla honoru rodu mego J. W. Tworzyańskiemu do nóg padnę, boć mu się nie jako panu o fortunę, ale jako ojcu o dzieweczkę pokłonię. W ubóstwie zaś zgłosićbym się po nią zaniechał, choćby mi się i dusza rozdarła, gdyż, jeśli miłując ją, żonę moję pragnę z niéj uczynić, to na to, by w dostatku przed jéj kochanemi stopkami proch zdmuchiwać, nie zaś, aby je miała bose, na ciernistéj drodze żywota zakrwawić.

Coraz lepsza otucha wstępowała mi w serce, w miarę, jakeśmy się z pachołkiem głębiéj w step zapuszczali. Jeno smętno tam było, bo pusto, ale tak przestrono, że człeku się zdaje, iż jest onym orłem albo jastrzębem. Trawy coraz wyższe po bokach końskich ci się kładą, jakby cię ze czcią witały, i szelest wielki sprawując, zdają się mówić: witaj żołnierzyku boży! Im daléj jednak, tém nie-

bezpieczniéj, bo Mohylna jest ostatnią strażnicą chrześciańską, żołnierz téż tam codziennie do komunii świętéj przystępuje, aby być zawsze na śmierć gotowym. Tatarzy to większemi oddziałami, to pojedynkiem ciągle się koło onéj stannicy kręcą, choć, gdy ich większa liczba przychodzi, łatwo człek doświadczony pozna, albowiem nocami okrutnie wilcy za niemi wyją; gdy zaś kosz większy idzie, to całe stada za nim ciągną, wiedząc, że na szlaku najdą dowolna ludzkiéj i końskiéj padliny. Inni mniemają wszakże, że bestye te, tatarskiego mięsa nie jedzą, przyjaciołmi tatarom będąc, którzy dla swéj drapieżności i szpetnego pogaństwa, snadnie z dzikiemi bestyami mogą być porównani.

Ale w tém myszkowaniu dziwne im się także trafiają przygody, bo gdy kozacy obok chorągwi pancernéj w stannicy stojący, którego z nich ułowią, żadnego miłosierdzia nad nim nie mają, i okrutnie nad niemi zbytkują. W nocy raz obaczywszy płomień wielki na stepie, i ludzi koło niego, przybliżyłem się z pachołkiem, chcąc wiedzieć coby byli za jedni, a gdyby Bóg zdarzył, to i kilka strzałeczek między nich wypuścić. Ale byli to właśnie kozacy ze stannicy, którzy drzewo srogie na stepie zapaliwszy, powiązanych tatarów żywcem w ogień rzucali, tak każdym, jakoby worem rozmachując. Owi Ałły swego wzywali napróżno, od tych zaś, którzy się już piekli swąd wielki rozchodził się po stepie, a kozaczkowie jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz téj swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami poprostu pościnać, na co odrzekli: „umykaj, aby znać i tobie tak nie było.” Dopiéro poznawszy we mnie ślachcica, pozdejmowali czapki, a dowiedziawszy się, że do pułkownika pod

znak jadę, wieść mnie do stannicy się podjęli. Jechaliśmy tedy przez resztę nocy kupią i bez przygody, a po drodze jeden jeszcze dziw widziałem. Oto pewne miejsce na stepie całkiem było świecącémi insektami pokryte, które koło św. Jana są i u nas, ale nie w takiéj liczbie. Tam zaś, jako okiem sięgnąć, tak migotały wśród ciemności na trawie, że rzekłbyś kawał nieba z gwiazdami jasnemi się oberwał i leży jak żyw na stepie. Świtaniem dopiéro one gwiazdki świecić przestały, ale téż i do stannicy nie było już daleko, jako i pianie kurów świadczyło, których wielką moc, żołnierze miłując ich wdzięczne śpiewanie, utrzymują. Wkrótce potém gdy rozwidniło się jeszcze lepiéj, ujrzeliśmy przy zorzy, kilkanaście żórawi studziennych, a wiater przyniósł do nas szczekanie psów i rżenie koni. Bliżéj téż ostrokołów usłyszałem pieśń: *Salve janua saluti's*, która het po rosie się rozlegała, a była najgłośniejsza, bo ją trzystu towarzystwa, klęcząc na majdanie, pod gołém niebem śpiewało. Przyjechawszy, udałem się zaraz do J. W. Piotra Koszczyca, możnego ślachcica z Litwy, który tam pułkownikował i był żołnierz doświadczony, bo w długiéj żołnierce, tak go pocięto, iż powiadano o nim, że mu poganie cały alkoran szablami na gębie wypisali. Rycerz to był wszelkich fortelów świadom i wielce Rzeczypospolitéj zasłużony. Ten, jako jeszcze z ś. p. rodzicem moim miał znajomość, przyjął mnie zgoła jakby własnego syna i tegoż jeszcze dnia do znaku zapisał. Rzekli mi potém inni, iż w porę przybywam, gdyż wkrótce szarańcza od strony Krymu się wyroi. Jakoż dowiedziałem się, że groźby były wielkie i że po wszystkich stannicach grano larum, rycerstwo zaś w największéj baczności było utrzymywane. . . . . .

II.

Szliśmy, jako zwyczajnie komunikiem, gdyż kosz w ten tylko sposób dopędzonym być może. Gdyśmy we trzy godzin po południu za małe wzgórza, które pogańskiemi mogiłami zowią, się dostali, szczęśliwém dla nas zdarzeniem, tumany, które całkiem od rana step zasłaniały, opadły nagle, przy saméj ziemi się trzymając. A chociaż jeszcze kosza dojrzéć nie było można, przecie po gwarze i ryku bydła, który ze mgły wychodził, poznaliśmy, iż stał niedaleko, kozacy téż wysłani na zwiady pod same wozy się podkradli i kilkunastu jeńców złapanych arkanami sprowadzili, ale tak srodze zbitych i poturbowanych, że choć zaraz na męki wzięci, *sanguinem* tylko miasto słów *oribus* wyrzucali. Dowiedział się jednak od nich J. W. wojewoda, że to jest kosz największy, w którym brat hana osobą swoją się znajdował i wielu znacznych murzów; odliczywszy zaś tych tatarów, którzy koni zapaśnych, wozów, jeńców i taboru pilnować muszą, ci którzy do bitwy użyci być mogli, czterykroć tylko liczniejsi od naszych wojsk byli. Co usłyszawszy wojewoda, zaraz począł nas na owych pagórkach do rozprawy szykować, nam zaś radość wielka wstąpiła w serce, albowiem widzieliśmy, że w téj propor-

cyi i liczbie tylko cztérykroć większéj, tatarzy mocy naszéj oprzéć się nie mogą; ponieważ zaś tabor, a zwłaszcza wielka ilość wołów powolnych, utrudniała im ucieczkę, przeto już ujść przed naszemi szablami nie byli w stanie. Wiedzieli téż i oni dobrze o nas i innéj rady nie mając, także do bitwy po swojemu ustawiać się poczęli, cośmy zaraz poznali po odgłosie wielkiego bębna, który oni balt zowią i za święty poczytując, głosu jego we wszystkiém słuchają. Wraz téż i mgła poczęła rzednąć tak dalece, że coraz większą ilość buńczuków nad koszem się wznoszących oko dojrzéć mogło — a potém całkiem znikła. Wtedy ujrzeliśmy czarne mrowie pogaństwa, koń przy koniu i mąż przy mężu kupą zbitą w kształcie sierpa stojących. Od któréj kupy zaraz harcownicy stadami poczęli się odrywać i latać na wszystkie strony. Inni tuż pod same chorągwie nasze podlatali, lżąc nas, wrzeszcząc okrutnie, machając rękami i wyzywając tych, którzyby gonić się z niemi chcieli. Ale wojewoda kozakom tylko wyjechać pozwolił, aby szyk przez ten czas do zupełnego ładu przywieść, co téż i wprędce się stało, bo żołnierz po większéj części był stary, doświadczony i sprawny bardzo. Stojąc więc w gotowości patrzyliśmy na harce i dziwne szarwarki kozaków, którzy sobie najlepiéj w pojedynkę z tém plugastwem radzić umieją. Goniono tedy na jeńca, albo i na ostre, ale choć chcieliśmy bardzo wiedzieć, jak pierwszy trup głową padnie, nie można tego było rozpoznać, bo padło odrazu kilka na wszystkie strony... Przywlókł téż stary essauł kozacki jednego murzę, którego na arkan złapał pod same nogi wojewody, ale już zaduszonego, bo go wlókł z półtoréj stai, przyczem i twarz mu się całkiem o osty

stepowe podarła. Wzięliśmy jednak to sobie za dobrą wróżbę, a wojewoda, któremu też już pilno było, kazał w surmy i kotły uderzyć, krzycząc: „poczynać! poczynać!" Orda odpowiedziała wrzaskiem okrutnym, które to odgłosy słysząc harcownicy zaraz umknęli z pola, na którém usarya miała teraz po staremu iść z całą nieprzyjacielską potęgą w zawód.

Wszystko wojsko stało, jako się rzekło na wzgórzach, gotowe wraz zerwać się na nieprzyjaciela, ale podobało się fantazyi J. W. wojewody, starym obyczajem jednę chorągiew jako sokoła z obręczy naprzód puścić, aby ta, łamiąc wszystko po drodze, postrach i zamięszanie w szykach nieprzyjacielskich rozniosła. Widzieliśmy tedy tę chorągiew idącą pod wodzą Babskiego jak na dłoni, ile że spuszczając się zwolna po pochyłości, przechodziła tuż koło nas. Ale gdy ukosem przeszli, konie wzięły już impet największy, aż ziemia gięła się pod niemi, usarze pochylili się w kulbakach i złożyli kopie. Powietrze warczało srodze, a wiater uderzył od nich na nas tak mocny, że aż pióra zatrzęsły się nam na szyszakach. Tak szli naprzód z szumem od skrzydeł i kitajek, właśnie jakoby burza, i znać było, że co im się oprze, to zetrą. Rotmistrze mieli rozkaz pomocy im żadnéj nie dawać, pókiby sobie gościńca na wylot przez pogan nie przebili. Patrzyliśmy na nich długo, bo ze dwie staje lecieli, a kurzawa ile że szli murawą nie była wielka. Po naszych chorągwiach, które jeszcze stały, cichość zrobiła się taka, że słychać było bzykanie much i bąków. Każden tylko oczy za tamtemi wytrzeszczał, a czasem koń zarżał, lub krew wietrząc szyję wyciągnął i chrapy otworzywszy, stękał żałośnie.

W koszu, między poganami zrobiło się wrzenie niemałe, a potém podnieśli krzyk: *Alla! Alla!* i wnet chmara strzał, jakoby ulewa lunęła na usarzy, dzwoniąc po pancerzach i harnaszach. Od nich téż doszło wołanie: „Jezus, Marya!" co było znakiem, iż wnet kopiami zderzą. Jakoż z pomocą Bożą dopadli i zderzyli z takim impetem, że pogaństwo rozwaliło się na dwie połowy, jakoby drzewo klinem rozszczepione, oni zaś szli środkiem, niby ulicą. Dopiéroż ulica ta zawarła się z tyłu za nimi i mrowie pokryło ich zupełnie. Widzieliśmy tylko straszne kotłowanie a czasem koncerz błysnął, a czasem, gdy koń wspiął się pod mężem, ramię zbrojne; to znów proporczyk podleciał w górę jako ptak i spadł nadół. Z majdanu, gdzie nie było darni, wstała straszna kurzawa, a w niéj kłębiło się i wrzało. Huk samopałów, wrzask okrutny i krzyki uszy nam prawie rozdzierały. U nas téż szmery poczęły chodzić przez całe chorągwie, bo trudno było ustać na miejscu. Rwali się ludzie, a konie osadzały się na zadach. Poczęto mówić litanią za konających, gdy wtém wyrostek pewien ślachecki, zamiast: „zmiłuj się nad niemi" krzyknął: „widzę jeszcze proporce!" Wtedy żołnierze jednym głosem wołać zaczęli, by i im téż skoczyć za tamtemi było dozwolono. Zapał wielki i niepowstrzymany ogarnął całe szyki. Niektórym skry szły z oczu, inni od ochoty na krew pogańską, tak się właśnie jako panny płonili; inni, młodsi, śluzy okwite roniąc i ręce ku niebu wyciągając, powtarzali: „puśćcie, abyśmy braciom naszym na ratunek iść mogli!" Ale pułkownik, ciszę wielką groźnie nakazawszy, rzekł, „iż nie przystoi rycerstwu, jako byle jakiéj milicyi, bez komendy uderzać i zbytniém łakomstwem cierpli-

wości rycerskiéj kazić, co jeśliby który uczynił, końmi włóczony będzie." Patrzyliśmy więc znów w milczeniu na onych ginących i na cały kosz, który się jako olbrzymi wąż, żeleźce w brzuchu mający poruszał i wił z boleści, pragnąc zdusić onę chorągiew, która w nim już tkwiła.

Tymczasem słońce zaszło i zorze rozpaliły się na niebie. Ale znać na komendę nie trzeba już było długo czekać, bo nagle druga chorągiew stoczyła się za pierwszą, niosąc zniszczenie, za nią trzecia i czwarta. Pod nawałą mężów zbrojnych i koni, począł się kosz kolebać, i widać było, że bezecny Mahomet runie w proch u stóp przeczystéj Maryi. Wtém armata, któréj sześć sztuk nadciągnęło właśnie za nami, zagrała z majestatem i powagą wielką, łamiąc kulami końce kosza. Rotmistrze u nas poczęli starym obyczajem rękawy zawijać i buzdyganami groźnie potrząsać. Kolera bojowa uderzyła nam do głowy jakoby wino. Jaki taki wykrzyknął imię swego patrona, więc słyszałeś ustawnie: Święty Pietrze! Święty Janie! Święty Macieju!; jaki taki świętych poniechawszy, wołał: „bij, morduj!" Ja, grzeszny sługa Boży, akt strzelisty odmawiać począłem, a gdym go skończył i ku Maryi myśl się podniosła, to cud stał się nademną, bo nagle jaskółeczka jakowaś nad sterczącémi glewiami kółkiem się zakręciwszy, nagle na mojéj usiadła i trzepiąc skrzydełkami, jęła powtarzać „ciwit! ciwit!" jakoby się za mnie modliła. Więc zaraz moc jakaś weszła w kości moje, aż włosy zjeżyły mi się pod hełmem. A wtém i czas nadszedł. Od wojewody przypadł służbowy i buńczukiem machnął, wnet rotmistrze do szeregów przypadli, pułkownik krzyknął: „bij psubraty, w imię Boże!" Konie osadziły się na zadach i powietrze zaświstało nam w uszach.

Wsparliśmy też okrutnie pogan, którzy powstrzymać nas nie mogąc, jako kłos zżęty pod kopyta końskie padali. Przewracaliśmy po drodze ludzi, konie, namioty, ostrokoły. Trzask łamanych kopii, huczenie armat zgłuszył. Konie kwiczały w ciżbie. Po skruszeniu kopii, gdy nowe ćmy nas opadły, poszło na szable i koncerze. Niejeden odłamkiem glewii grzmocił, lub pięścią zbrojną dusze z ciał wypędzał. Pióra usarskie ze skrzydeł i hełmów tysiącem wzbiły się w powietrze. Gorąco od stłoczenia ludzi i koni zatykało dech w gardzieli. Dopiéroż poszły wrzaski ochrypłe, jęk tratowanych ludzi, pisk, świst szabel i strzał. Opór poganie dawali okrutny, ale już słabli, coraz gęstszym trupem padając, i terror jął ich ogarniać. W zgiełku i zaślepieniu nie wiedzieli gdzie uciekać, wyjąc więc i rękoma głowy osłaniając, pod cięciami mieczów marli. Konie z jeźdzcami przez furyą zdruzgotane, stosy drgające potworzyły, a my po ciałach onych i krwawéj oślizgłości, siekąc, szliśmy przez tłumy ku wozom, zkąd lament jeńców pobranych, płacz przeraźliwy niewiast i wołanie ku niebu się rozlegało. Rzeź trwała już w ciemności, póki nie błysnęła łuna od wozów, gdy je kozactwo zapaliło. Dym i skry buchały kłębami a w tych skrach i dymie bydło w taborze żałosnym rykiem napełniło powietrze; potém zasię tabór rozerwawszy, woły, owce, kozy, konie bez jeźdzców i wielbłądy zdziczałe ze strachu rozbiegły się jako uragan po stepie. Przy wozach największe powstało zamięszanie. Jedni łup w zgiełku brali, drudzy pęta jeńcom cięli, którzy ręce wolne poczuwszy, łamali palące się wozy i żagwiami gromili nieprzyjaciół. Szlochanie niewiast, wściekłość tém większą w żołnierzach wzbu-

dziło, więc i ci, którzy padając na twarz, ręce ku pętom wyciągali, pod mieczem marli. Znaczne oddziały, które z taboru wyrwać się nie mogły, choć o miłosierdzie wyły, w pień wycięto. Za temi, które wymknęły się z pogromu, pogoń poszła, a z nią i ja skoczyłem. Przed jednym uciekały całe tłumy; ręka od cięć mdlała, konie we krwi się ślizgały, dech ustawał w piersiach końskich. W cicmności cięto na oślep. Aż koń podemną, pyskiem krew wyrzuciwszy, padł na murawę, a wraz i mnie jakoby sen zaczął ogarniać, bo mi z ran krew ciurkiem uchodziła. Siadłszy, chciałem się Bogu, albo Najświętszéj Pannie polecić, gdy wtém step zakręcił się ze mną, *lucida sidera* podskoczyły na niebie i zemdlałem. . . . . .
. . . . . .

III.

. . . Poganin wedle języka naszego, jest jak gdyby bydlę, albo pies nieczysty, albowiem co jest nieczystego u ludzi, to i Bogu niemiło. A choć się bisurmanie lepszymi od chrześcian powiadają, przecie w głębi sumienia sami o swéj nieczystości wiedzą i gorliwie zmyć onę pragną, siedm razy na dzień wodą swe członki oblewając, czegoby przedsię czynić nie potrzebowali, gdyby zatwardziałość ich w grzechu mniejszą była. U żadnego téż narodu, niewola tak ciężką nie jest, a to dla ich okrucieństwa i z téj przyczyny, że kościołów i księży chrześciańskich u nich niéma; gdy więc któremu z jeńców w grzéch śmiertelny popaść przychodzi, ten w chwili śmierci, nie mogąc dostać rozgrzeszenia, potępionym snadnie być może. Z jeńcami srodze się téż obchodzą, co się i z przygód moich pokaże. Mają oni jedno święto zwane Bimek-bairon, przed którymto czasem, post miesiąc cały zachowują. Mahomet téż, prorok ich, aby bezecność swoją pozorami justycyi koloryzować, kazał im dnia tego niewolnikom zmniejszać lata niewoli, wysłużonym swobodę dawać, wszystkim zaś wyznaczać do jakowego terminu służyć mają, i obietnic pod przysięgą

dotrzymywać. A mają się te przysięgi odprawować we dwie godzin po północy, gdy ksiądz ich na wieżę, albo li tam gdzie wiéży niéma, na wzgórze wejdzie i pocznie, palce w uszy włożywszy, wołać: *Lai Lacha i Lalach Mahomet Rossulach esse de Miellai, Lala i Lalach!* Przysięgają więc wtedy na książeczki zwane Hamaeli, na których szabla Alego, Mahometowego pomocnika u spodu jest wyobrażona, którą Delfikari zowią. Komu tedy na tę książeczkę przysięgną, bez pochyby przysięgę zdzierżą, ale tak są w oszukaństwie zaprawni, że nietylko niewolników ale i Boga swego oszukują, przysięgając na książeczki, które z mydła weneckiego *efficiuntur*. Taką przysięgę, mówią, pierwszy dészcz rozpuszcza i dlatego nic słowom ich wierzyć nie można.

Jeńców do Azyi, która zgoła jest inną częścią świata, sprzedają; pozostałym trzód strzedz każą, do robót ich używają, surowcem z byczéj skóry biją i głodem morzą. Sami próżnowanie umiłowawszy, ledwo się do obmywania podnoszą, a przez resztę dnia na czerepach końskich, pokrytych kobiercami, siedzą i ręce bezczynnie na brzuchu trzymają, co najwięcéj to się w prawo i w lewo kiwając. Na muzykę tylko bardzo są łakomi i głosu piszczałek, po całych dniach słuchać zwykli. Tych po dwie w gębę włożywszy, palcami na nich, jako na fletni przebiérają. Prócz tego mają téż multanki, kotły końską skórą obciągnięte, cymbały, tudzież krążki miedziane, wielki brzęk czyniące i kije długie, grzywą zdobne a dzwoneczkami okryte. Gdy na tych wszystkich instrumentach grać poczną, taki ztąd powstaje harmider, że psi wyją, oni zaś, ciesząc się, mówią, iż i ich uszom słodycz ztąd przychodzi i choroby ró-

żne przed owemi głosami precz od nich umykają. Pijaństwo jest u nich wielkie, bo choć wina pić im nie wolno, przecie się kobylém skisłém mlekiem zalewają, które gorzéj niźli wino do głowy idzie. A wtedy źli są i okrutni, tak, że jeńców zabijają, mękami ich wpoprzód zmorzywszy. Z chrześciańskich narodów, Genueńczykowie i Wenecyanie z nimi handlują, do różnych miast, które jeszcze starożytni, *scilicet Graeci* budowali, na nawach swych przybijając. Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni łojem baranim napuściwszy i świeczki w środek zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonéj liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od onych świateł białych, różowych, zielonych i modrych, jakoby w powietrzu nocą wiszących, cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby na chwałę Bożą był obrócony.

Ale oni właśnie wtedy sprosności dopuszczają się największych. Księża ich są zarazem czarownikami i ze złemi duchami w komitywę wchodzą. Gdy wyprawa wyjdzie na rabunek, oni to noce ciemne czynią, a dniem mgły wielkie podnoszą, aby kosz przed pogonią mógł ujść bezpiecznie. Ludu na Perekopie i w całym Chersonesie nie masz tyle, ile w Rzeczypospolitéj mniemają, ale co jest, to wszystko do wojny się używa, nie zaś ze stanu tylko ślacheckiego. Na głód, chłód i trudy bardzo są wytrzymali, bo z młodu goło chodzą, od czego téż skóra staje się na nich czarna. W bitwie jednak zbrojnym mężom dostać nie umieją, z któréj to przyczyny wojna ich na fortelach więcéj niźli na męztwie polega, i na tém, by napaść, złupić i coprędzéj uciekać. Szczególniéj na widok pan-

cernych serce tracą, mówiąc, że nawet i w czarach niema sposobu, aby się ich impetowi oprzéć. Każda téż chorągiew usarska napsuje ich w bitwie cztery i pięć razy tyle, ile sama liczy towarzyszów. Niewoli u kozaków gorzéj śmierci nie pragną; ale potykać im się z nimi łatwiéj. Tak téż mniemam, że Rzeczpospolita, gdyby chciała, mogłaby snadnie cały Krym zawojować, z Wenecyą w przymierze wszedłszy, którąby floty swoje na Pontus Euxinus wysłała, aby tureckich z pomocą nie dopuścić. Ale ponoś są u nas i tacy, którzy harce na stepie więcéj, niźli bezpieczeństwo Rzplitéj ceniąc, nie radziby, by się to stać miało. Tych Boże w ich ślepocie oświeć. . . . . .

Żywot tatarów i obyczaj bydlęcy jest i przy swojéj gospodarce, albo raczéj próżnowaniu; z głoduby im umierać przyszło, gdyby nie rabunek, który im bogactw wielkich dostarcza. Temu-to bogactwa owe zawdzięczają, które u nich widziałem, jako to: niezliczone trzody bydła, kóz płochych, koni ścigłych, wielbłądów byle co jedzących i owiec tłustych. Inny téż pod namiotami, albo w kamiennym rozwalonym ałusie trzyma złotogłów, pasy, rzędy końskie, kielichy, kobierce, broń sadzoną, korzenie i wonności, a wszystko bez ładu na kupę nałożone. Z którychto skarbów nijakiego pożytku nie mają, bojąc się, by z nich hanowi lub turkom, którym są podlegli, płacić nie przyszło. Sami w tołubach baranich, wełną do góry, chodzą. Ale co któren ma, to chowa i bogatym się powiada, od czego inni téż go szanują. O miastach, któreby sami zbudowali, nie słyszałem, a te co są, to z dawnych czasów pochodzą; Chersonesus bowiem drzewiéj bardzo był zamieszkały, dopóki osad i mieszkańców tamtejszych różni po-

ganie nie starli. Kilka jednak miast zostało dosyć ogromnych i bardzo pięknych, ale oni i w nich barbarzyński żywot, jakoby w niechlujnych koczowiskach pędzą. Mnie zaś z wielą innymi zaprowadzili do pewnéj osady Kizlich zwanéj, nad sam brzeg morski, gdzie strumień słony i mały *ad mare profundum* się sączy. Domy są tam budowane z ruin jakiegoś miasta, które, jak twierdzą, jeszcze Sauromati zburzyli. Ale kilka budowli jest bardzo pięknych, choć znacznie pokruszonych, które dawniéj świątyniami były, dziś zaś tatarowie do nich owce i konie na noc zaganiają, jednę tylko w minaret obróciwszy. Z ziemi także wykopują czasem kamienne figury, tak misternie rzeźbione jakoby żywe. Tym dzieci tatarskie na głowach siadają, lub kamieniami członki tłuką. Za mną téż dzieciaki owe gruzem i nieczystością rzucały, wołając *gaur! gaur!* Ale znosiłem to cierpliwie, zwłaszcza iż Aga Sukyman, jakoby po naszemu rzec: Salomon miasta tego *praefectus*, który mnie omdlałego znalazł i pojmał, z początku przystojnie się ze mną obchodził. Czynił to dlatego, iż zbroję piękną i szablę sadzoną na mnie wziąwszy, za znacznego w narodzie naszym mnie poczytał i okupu się wielkiego spodziewał. Ja zaś bacząc, że szlachcicowi nawet i w niewoli i przed nieprzyjacielem zmyślać nie przystoi, wręczem mu to negował. Rzekłem więc, że jakkolwiek z przedniego rodu pochodzę, przecie fortuny żadnéj nie posiadam i z okupem nikt po mnie jechał nie będzie. Czemu on w chytrości swéj nie wierząc, tak do mnie po rusku mówił: „Ej wy Lachowie! każden z was się chudopachołkiem powiada i okupu nie zaręcza, by was katować, za co sobie rozkoszy wielkie od waszego Boga w niebie obiecujecie."

Owo więc i do Azyi, jako wielu innych mnie nie przedał i prawie wolność mając zupełną, codzień nad brzeg chodziłem. Tam *in rupibus* siadłszy, wpatrywałem się w dalekość morską, jako turkus błękitną i myślom wodze puszczałem. Częstom też rzewnie płakał, bom rozumiał dobrze, że dola moja zamknięta już jest i przez nieszczęście przypieczętowana. Ani bowiem o posługach rycerskich dla miłéj ojczyzny, ani o sławie, ani o Marysi myśleć nie mogłem. Przeto smutki ogarnęły mi duszę i cierpienie toczyło serce, i okrutna tęsknota wychodziła ze mnie ku Rzeczypospolitéj i ku wszystkiemu com w niéj utracił. Wolejbym był na świat nie przychodził, woléj w bitwie zginął, wolejby mnie Sukyman odrazu na męki wydał, bo przynajmniéj palmębym otrzymał i dusznémi oczyma ujrzał to, za czem cielesne tęskniły. W boleści, końcam boleści nie widział. Co piątku, który to dzień u tatarów jest niedzielą, gdy inni jeńcowie wypoczynek od prac i mąk mieli, siadaliśmy przy strumieniu, w płakaniu sobie wzajem pomagając, a często śpiewaliśmy psalm: *Super flumina Babylonis.* Tak nam dzień schodził na rozpamiętywaniu i rozmowach o ojczyznie, z których duszom pociecha była niemała. Zdarzyło się przytém, iż między jeńcami, którzy w Kizlich jarzmo niewoli dźwigali, sam jeden szlachcicem byłem; przeto rząd nad nimi niejako sprawując, ukrzepiałem ich dusze, aby nie znalazł się taki, któryby odstąpieniem od wiary prawdziwéj, niedolę swą okupić pragnął.

Jakoż Bóg tego nie dopuścił. Mając też u tatarów dla spodziewanego okupu powagę, ulgi niejakie innym jeńcom przynosić usiłowałem. Czasem tedy część strawy

swéj najgłodniejszym udało mi się oddać, czasem w robocie pomagałem, wody spragnionym przynosiłem, za ujmę sobie tego nie poczytując, gdyż, jeśli Pan Jezus prostych ludzi w urodzeniu i krwi upośledził, przecież koronę w niebie im obiecał, a przez to ich młodszymi braćmi naszymi stworzył, którym od stanu rycerskiego należy się obrona i opieka. Oni téż z pokorą całowali moje ręce, chociażem im mówił, że niewolnikiem tylko na równi z nimi jestem, i że godzina taka może nadejść, w któréj mnie w większéj jeszcze nędzy i upodleniu niż sami są teraz, oglądać będą. Czemu nie chcieli dać wiary, mówiąc: „Dla-Boga! nie może to być!" Alem ja wiedział, że będzie, gdy Sukymanowi na okup sprzykrzy się czekać daremnie, i gotowałem się na wszystko najgorsze, co ciało spotkać mogło, gdyż dusza utraciwszy szczęście, była już w męce i boleści.

Jakoż Sukyman jednego dnia przyszedł do mnie i mówił: „Źle czynisz, iż za łaskawość moją, niewdzięcznością się wypłacasz, gdyż jako gościa cię traktuję, a ty znać w uporze trwasz; bacz tedy, abym cię pod kolana moje nie zgiął." A tu wraz zamysły swe objawił i żądał, bym do Rzplitéj o tysiąc czerwonych złotych pisał, za którebym wolność mógł otrzymać. Czego ja uczynić nie mogłem, a to raz, iż tylko trzysta czerwonych złotych miałem, do których niewiele co z prowizyi przyrosło; powtóre, bałem się, aby J. W. Tworzyański *magnanimitate sua*, z własnéj szkatuły za mnie płacić nie chciał, coby ambicyi mojéj przeciwném było. Gdy jednak Pan spuścił strach w kości moje przed gniewem Sukymana, rzekłem mu, aby chwilę męki odwlec iż woli jego posłusznym być muszę. Jakoż da-

łem mu list, ale do jednego proboszcza, którego pod Kamieńcem miałem znajomym. Temu niewolę moję opisawszy, prosiłem go aby modlił się o wspomożenie dla mnie, które tylko z niebiesiech przyjść mogło. Uradowany w chciwości swéj Sukyman, pismo owo przez tatarów, idących na jarmark do Suczawy wyprawił, dokąd także dworzanie od magnatów naszych po bakalie wyprawiani bywają. Sam zaś łaskawszym się jeszcze na mnie uczynił, i do ałusu swego, któren w całém mieście najpiękniejszym był, mnie zaprosił. Był to zaś możny poganin i w narodzie swym bardzo poważany, tak dla swego męztwa, jak i dla fortuny, która w jedném tylko go upośledziła, a to, iż z wielu żon, żadnego syna nie spłodził, a córek pięć. Najstarszą z nich Iłłę, wielce dla jéj urody miłował. Przyszło mi ją często widywać, albowiem tatarowie nie trzymają niewiast swych tak jak turcy w zamknięciu, ani téż oblicza im pokrywać nie każą. Która téż do stołu przychodziła, z początku ze strachem na mnie i ciekawością, jakby właśnie na jakoweś monstrum spoglądając. Potém zasię, gdy przyrodzona jéj dzikość poskromioną została, często nie rzekłszy ni słowa, bukłę ze skisłém mlékiem ku wargom moim pochylała, lub gałkę z ryżu i baraniego łoju ukręciwszy, w gębę mi takową na znak swéj przychylności kładła. Czemu Sukyman nietylko się nie przeciwił, ale i sam to czynił, gdyż obcując ze mną codzień, wielce mnie polubił, i częstokroć do porzucenia smutków namawiał. Przezemnie téż i innym jeńcom lepiéj się działo, albowiem Iłła wszelkiéj żywności obficie im dostarczała.

Z takowéj przyczyny oni pokochali ją, i gdy wedle cysterny przechodziła, całowali szaty jéj, orędowniczką

swoją ją zowiąc. Poganka téż owa, nietylko gładkie oblicze, ale i miłosierne serce miała, tak iż nieraz żal się robiło pomyśleć, że dla błędów wiary swéj, zgoła potępioną być musi. Ku mnie zaś coraz więcéj serca okazywała. Bywało, siadłszy skulona w kącie ałusu i tyftykiem się z głową owinąwszy, po całych godzinach na mnie w milczeniu jako kot jarzęcémi oczyma spoglądała. Spytałem ją tedy raz, czego się tak we mnie wpatruje, ona zaś rękę na czole, na wargach i na piersi położywszy, do nóg się moich pochyliła i rzekła. „Bakczy, niewolnicą twoją być pragnę." I wraz uciekła, a mnie tymczasem żądzy grzeszne opadły, od których w żarliwéj modlitwie obrony szukać musiałem. Tego jednak jeszcze dnia przyszedł do mnie Sukyman i tak się ozwał: „Zwiodłeś mnie listem swoim, za co powinienbym cię katować, gdy jednak Allach synami mnie nie pobłogosławił, nad młodością i urodą twoją litość mam. Przeto ci powiem, iż jeśli błędy wiary swéj porzucisz i proroka naszego przyjmiesz, Iłłę, która cię miłuje, dam ci, synem cię swoim uczynię i wszystko co mam, twoje będzie." Więc od wielkiego zdumienia pary zrazu z ust puścić nie mogłem, ale ochłonąwszy odrzekłem mu, iż i szatan Chrystusa kusił, królestwa Mu różne z góry ukazując.

Rozgniewany temi słowy, ryknął jakoby zwierz dziki; zaraz szaty, jakie na sobie miałem zwlec mi kazał i wyszedł. Co, gdym uczynił, symarę zgrzebną mi niewolnik kałmuk przyniósł i wodę trzodom groźnie nosić polecił. A tak pamiętam, iż było to w poniedziałek, gdym do posług onych wziąć się musiał. Chodziłem w górę do strumienia, który u morza był słony, ze skórzanemi workami i tam wodę czerpiąc, do cysterny kamiennéj ją wlewałem. Tatarki,

które prać chusty do strumienia także chodziły, poszczuły mnie psami. Wieczorem nie poszedłem jako poprzednio do ałusu, ale spać się między wielbłądami układłem, a żem się uznoił, Bóg mi sen zaraz zesłał. Nagle zbudziwszy się, jakowąś figurę wiotką, ku mnie w świetle miesiąca idącą spostrzegłem. Przeżegnałem się, myśląc iż ducha widzę, ale to była Iłła, która naczynia z wodą i oliwą niosła. Potém nogi moje obmywszy i namaściwszy, w podle mnie w kuczki siadła, po dawnemu w milczeniu mi się przypatrując, z oczu zaś jéj wielkie srebrne krople spływały. Rzekłem tedy: „Iłło, czemuś przyszła?" Ona zaś poczęła szemrać cicho, miesiącowi źrenice swe mokre oddając: „Bakczy, czemu mną pogardziłeś?" I od płakania więcéj mówić nie mogła. Wówczas poruszyło się we mnie ku niéj serce i chciałem ją do łona mego garnąć, ale zaraz Marysia bieluchna stanęła przedemną i grzeszna myśl precz odleciała. Rzekłem więc, że mężem jéj, choćby dla jéj wiary być nie mogę, która w oczach moich tém jest dla duszy ludzkiéj, czém plugawa rdza na żelezie; ale więcéj jéj dać mogę, niźli wszystko, co od ludzi spotkać ją mogło, a to chrzest święty, któren ją z grzechu pierworodnego obmyje i zbawienie jéj zapewni. Ona jednak w ślepocie swéj przejrzeć nie mogąc, z desperacyą wielką za głowę się rękoma ułapiwszy, jak przyszła tak i odeszła. Na drugi dzień powróciłem do swojéj pracy, która tém cięższą była, że jeść skąpo mnie dawali. Napotkałem téż i Sukymana. Ten rzekł: „Zegnę cię." Na co odpowiedziałem: „Ciało moje tylko zegniesz, gdyż wiedz, że duszę ślachcicem będąc, mam nieugiętą." Co usłyszawszy, ze zgrzytaniem zębów się oddalił. Tak mnie Bóg skarał

za ów symulowany list, bo gdybym go nie pisał, nie byłbym tak srodze Sukymana, odrzuciwszy jego córkę, przeciw sobie podniecił.

W piątek przyszli, jako zwykle niewolnicy rozmyślać, smutne pieśni śpiewać i rany myć. Ujrzawszy mnie w mojém upodleniu, z rzewliwym płaczem do nóg mi przypadli, krzycząc: „majestat pański został pohańbiony!" Alem ja tak nie mniemał, gdyż Chrystus, choć z królewskiego rodu będąc, większą jeszcze poniewierkę cierpiał, chcąc przez to stanowi ślacheckiemu okazać, że godność krwi zacnéj, nie cierpieniem, jedno strachem przed cierpieniem się kala. Jeńcowie zaś, wiedząc o kondycyach jakie mnie Sukyman dawał, wołali: „Udaj, panie, że proroka przyjmujesz, co jeśli pozorne będzie, duszy swéj nie zgubisz, a tak synem możnego Sukymana zostawszy i sobie i nam ulgę przyniesiesz, bo twoimi niewolnikami będziemy." Wtedy rzekłem im, iż gdy tak radzą, psom bliskiemi być muszą, albowiem szczekaniem przeciw Bogu gęby swe plugawią, nie rozumiejąc, że nie godzi się bić choćby pozornie pokłonów przed fałszywemi proroki. Na to rzekli: „głowy my tu wszyscy położymy"—i w desperacyi trwali, Bóg bowiem nieurodzonym ludziom odmówił honoru i baczniejszymi ich na wygody doczesne uczynił. . . . .

Usłyszawszy o tém *praefectus* Sukyman, bardzo się rozgniewał i głodem zgiąć mnie postanowił. Zabić bowiem, ani przedać mnie nie chciał, bo mnie sam dawniéj miłował i dla Iłły tego uczynić nie mógł, która, jako się późniéj dowiedziałem, gdy się przeciw szyi méj odgrażał, szat jego z wielkiemi prośbami się czepiała, w téj nadziei ojca utrzymując, iż umysł mój, kwoli ich chęciom, wkrót-

ce się zmieni. Przyszły tedy na mnie czasy wielkich utrapień i przewidywana godzina męki wybiła. Ale gdym pomyślał o ojcach moich, o sławie i nieskazitelności imienia które mnie zostawili, moc wielka wstąpiła w serce moje. Jedno więc o tém myślałem, by ślacheckiemu stanowi, którego dignitatem w sobie nosiłem, i któren jest Rzeczypospolitéj fundamentem, czemkolwiek w niewoli swéj hańby nie przynieść. Rzekł mi Sukyman, chcąc, abym się shańbił: „Z psami wolno ci jadać i to co im rzucą brać możesz." Nie chcąc, aby się to stało, żywiłem się tylko szarańczą, którą na piaskach morskich znajdowałem. Często też z początku żywność przy mnie, przez jakąś niewidomą rękę kładziona była, w czém domyślałem się Iłły. Ale późniéj strzeżono jéj, aby tego czynić nie mogła. Inne zaś czarownice tatarskie, nietylko że miłosierdzia nademną nie miały, ale raz zbiły mnie kijankami tak, iż całe moje ciało sine było. Jeśli więc szarańczy zbrakło, głód cierpiałem. Czasem mi także niewolnicy figi po tatarskich ogrodach zbierane przynosili, ale gdym ujrzał, iż chłosty za to otrzymują, kazałem im tego poniechać. Spoglądali na mnie ze łzami, powtarzając: „Panie nasz, na co ci przyszło!" Niewola téż, nietylko moja, ale wszystkich, sroższą się stała, gdyż tatarowie wielką złością ku nam zapłonęli. Jeden zasię kozak niebożątko, imieniem Fedko na pal był wbity, na którym drugiego dnia dopiéro, powtarzając: *Chrystu! Chrystu!* umarł. Nocą, zdjąwszy go z pala, pogrzebliśmy ciało w piaskach morskich, o śmierć równie piękną Boga prosząc, za którą Fedko pewnie w niebie przez Ojca Przedwiecznego był nobilitowany, i purpurą okryty, i do chwały najwyższéj wyniesiony.

Rychło i ja już z ziemską powłoką moją rozstać się myślałem, albowiem miesiąc upłynął, jak się szarańczą żywiłem, która coraz rzadszą w piaskach była. Wychudłem i zczerniałem srodze i nogi chwiały się już podemną. Wory, gdym je w strumieniu napełnił, dźwigałem z jęczmieniem, aż wreszcie na barłogu podle zagrody dla wielbłądów siadłszy, ruszać się więcéj nie mogłem. To one bestye, serca lepsze od pogan mając, wyciągały do mnie szyje swe zgięte przez płot i prychając nozdrzami, litowały się nademną. Wszelako raz w nocy, nawpół we śnie, znowu Iłłę widziałem, która wody i jedzenia mi przyniosła. Dla osłabienia wielkiego sypiałem i we dnie, a Bóg w miłosierdziu swém sny mnie o miłéj ojczyznie zsyłał i Marysia przychodziła do mnie także, cała w bieli i z anielskiemi skrzydłami na plecach, któremi od spiekoty głowę moją osłaniała. Ona przychodziła zawsze w południe, w skwar wielki, a nad wieczorami, gdym bywał najsłabszy, słyszałem różne śpiewania z nieba dochodzące. Podobno czas jakiś byłem bez przytomności, bom świata ziemskiego nie widział, ale potém zdrowie wróciło, gdyż ujrzałem znów kupę barłogu, zagrodzenie dla wielbłądów i głowy onych zwierząt, ku niebu powyginane. Pewnego razu Sukyman przechodząc koło mnie rzekł: „poznaj moc sług proroka!" — na co odpowiedziałem: „poznaj cierpliwość sługi Chrystusa."

Tymczasem nadeszło drugie święto: Czaczuk bayron. Tatarowie, gdy noc zapadła, pozapalali owe wspomniane lampki weneckie, któremi całe miasto ozdobili; potém łuczywo każden w ręku dzierżąc, na drogi wyszli i gromadami chodzili. A było to w pełnią samą. Więc oni ku miesiącowi oczy zwróciwszy, wołali wielkiemi głosami do swego

Boga i do swego proroka, bo taki u nich obyczaj, by przez całą noc chodzić i modlić się. Jałmużny wielkie też dnia tego czynią; więc niewolnicy usiedli także rzędami wedle drogi i o co który prosił z żywności, albo szat, to i otrzymał. Innym także lata służby zmniejszyli, a niejakiego essaułę, któren z wody tatarskie dziecko wyciągnął, wolnością obdarowali, bo mało co im się godzi w ten dzień odmawiać. Z tego powodu radość wielka między niewolnikami była, gdyż żaden głodu niecierpiał, ani plag nie otrzymał, ani śmiercią był karany. Sukyman przechodził koło barłogu na którym leżałem, a wedle niego szła Iłła, ale bardzo dumnie, gdyż wcale na mnie nie spojrzała. Wszelako placek jęczmienny z kosza wziąwszy, rzuciła mi go, w inną stronę spoglądając, któren w pobliżu siedzący niewolnik kałmuk porwał. Sukyman zaś myślał, iż razem z innymi będę żebrał, i byłby mi wonczas nie odmówił. Ale choć zdawna nic już w gębę nie brałem, nie zdało mi się rzeczą godną ślachcica na równi z pospólstwem ręce wyciągać, i wolałem głód, co mi szarpał wnętrzności, powietrzem tłumić. Mówił tedy Sukyman do innych: „Zaprawdę, żelazną duszę ma ten nieużyty człowiek i znać, trzebaby go prosić, aby nad sobą miał litość, gdyż pychę swą nad wszystko przekłada." I nie wiedział o tém poganin, że wtedy właśnie dusza moja w prochu i osłabieniu największém kładła się przed Panem, bo męka była prawie odemnie silniejsza. W nocy jednak ktoś znowu żywność koło mnie położył, którą chciwię zjadłszy, poczułem się mocniejszy. Zwlokłem się zaraz z barłogu i choć ręce i nogi mi drżały, począłem na nowo nosić wodę do cysterny. Szarańczy też Bóg przez dni następne zesłał obfitość,

a przytém głód mnie przyuczył jeść plugastwo morskie, które w kształcie swym szpetne, złe przecie nie jest. Żyłem tedy jako ptak z dnia na dzień, a gdym po brzegu morskim chodził, każda fala przynosiła do nóg moich, one ślimaczki marne, tak niemi jakby orzeszkami grzechocąc.

Noce poczęły być chłodne bardzo. Innym niewolnikom w ałusach chronić się dozwolono, ja zaś na moim barłogu sypiać musiałem, ale litościwe wielbłądy kładły się koło mnie, ciałami swemi i oddychaniem mnie rozgrzewając. Myślałem, że zimy nie przetrzymam i to była jedna nadzieja moja, bo innéj przed sobą nie miałem. Ach! miła matko, miła ojczyzno, jakoże mi za tobą tęskno było— i za tobą dzieweczko moja, któréj nie widząc, nietylko miłować nie przestałem, ale pragnąłem więcéj jako wody w znoju, jako chleba w głodzie, jako śmierci w męce....

Wszelako Opatrzność różnemi sposoby czuwa nad temi, których doświadcza. Gdyby bowiem nie nędza i poniewierka w jakiéj żyłem, mógłby mnie Sukyman do Carogrodu, lub do Galaty przedać, gdzie są wielkie niewolników targowiska, a teraz z powodu onéj mizeryi niktby mnie i darmo wziąć nie chciał, bo więcéj do konającego człeka, lub do Łazarza, niż do rycerza byłem podobny. Mniejsza iż tylko smolna symara okrywała nagie członki moje, ale chudość moja żyjącym kościotrupem mnie czyniła, a przytém włos bujny wyrósł mi na brodzie i głowie, skóra popękała na całém ciele i pokryła się strupami i liszajami od wielbłądów. Inni za trędowatego mnie mieli i nawet w niewolnikach obrzydliwość wzbudzać począłem. Alem już ciało swe, powłokę marną, która jak każda odzież zedrze się i w szmaty popada, za grzechy

moje ofiarował, bo tylko dwie rzeczy trwałe być mają, a to dusza nieśmiertelna i honor, który na urodzeniu się fundując, tak pryncypalnym jest dla niéj przymiotem, jako właśnie światłość dla gwiazd niebieskich. . . . .

. . . . . .

. . . . . .

IV.

...Nadeszła wiosna i znowu cieplejsze słońce oświeciło nędzę moją. Tak zaś już do niéj przywykłem, żem prawie zapomniał, iż są szczęśliwi ludzie na świecie. Bociany, pliszki, jaskółki i skowronki leciały stadami ku północy, a jam im mówił: „Ptaszyny marne! ach! mówcie Rzeczypospolitéj i wszelkim stanom, żem jako ślachcic patryota wytrwał, i choć tak mocno do ziemi przybity, choć tak nogami pogan zdeptany, przed Panem moim tylko płaczę, a dla nieprzyjaciół dumne oblicze chowam i ducha w ucisku nie dałem." Koniec méj nędzy był jeszcze daleki, ale wiosna owa zmiany i wróżby nowe przyniosła i dziwnych zapowiedzi była pełna. Na niebie nad Krymem zjawiła się rózga gniewu Bożego, kometa, i siném okiem mrugając, trzęsła ogonem na zatracenie Krymowi i pogaństwu. Przerażeni tatarowie z gwarem, brząkaniem i krzykiem po nocach chodząc, chmury strzał zapalonych z łuków ku niebu ciskali, aby zestraszyć onego ptaka złéj wróżby. Księża im post ogłosili, czarnoksiężnicy przepowiadali plagi. Strach padł na serca ludzkie i nie był strach daremny, bo wieści doszły, że nad Palus Maeotis wybuchła zaraza. Wyprawy miały iść téj wiosny do

Rzeczypospolitéj dwoma szlakami i nie poszły. Ludzie kupami w dzień na ulicy stojąc, rozmawiać głośno nie śmieli, a jedno oczy ku wschodowi zwracali, zkąd miał „czarny dziw," jako go zwali, nadlecieć. Coraz to nowe wieści krążyły między ludem, aż wreszcie gruchnęło po Kizlich, iż mór już się w stolicy chanowéj pokazał. Sam Chan ze stolicy uciekł. Jedni mówili, że się w góry, które są na południu, z żonami swemi schroni, inni, że do Kizlich, gdzie wiatry morskie czyszczą powietrze, przyjedzie. . . . . .

. . . . . Przybył tedy Chan za poradą wróżbitów do Kizlich, pędząc przed sobą trzody okrutne, aby miał co jeść z dworem swoim. Praefectus Sukyman ze czcią go wielką podejmował, a ludzie na twarzy przed nim padali, bo go niewolnicy owi prawie za Boga i powinowatego ciałom niebieskim mają. Ordy niewiele było przy nim, jedno dwór i tysiąc baskaków i nieco hodżów i agów w żółtych tołubach, bo obawiano się aby w wielkiém nagromadzeniu ludzi łatwiéj nie okazała się zaraza. Wędrowała ona po Krymie, głównie w téj części, którą Jenikalską zowią. Tam rzuciwszy się na jakowe miejsce, wzięła pogłówne, a inne ałusy minęła całkiem, gdzie zaś przeszła, tam nawet ptastwo padało. Ale do Kizlich o dwa dni drogi najbliżéj przyszła. Dziękował tedy Bogu Chan za ocalenie i szczodrze wróżbitów obdarzył, a wielu téż niewolnikom wolność darował. Ale właśnie, gdy inni *fructa* łaski jego zbierali, na mnie przyszła ostatnia próba. . . . . .

Pewnego razu przejeżdżając podle barłogu, na którym leżałem, bardzo blizko przyjechał, a spojrzawszy na mnie, pytał Sukymana, coby to był za człowiek tak nędzny. Ten, co odrzekł, nie wiem, widziałem jedno, że długo ze sobą rozmawiali i widać Sukyman na niewdzięczność i zatwardziałość moją się skarżał, gdyż w końcu rzekł głośno: „Sprobuj go, panie!" Czem zaciekawiony Chan, sam ku mnie koniem ruszył. Wnet dwa czaukczy lecieli przed nim, krzycząc: „na twarz psie niewierny!" alem tego nie uczynił, choć mnie długiemi trzcinami po głowie bić poczęli. Więc on władca zbliżywszy się pytał: „Czemu przedemną na twarz upaść nie chcesz?" Odpowiedziałem mu: „Panie, jeśli ślachcicowi przed własnym królem tego czynić się nie godzi, jakże chcesz, abym przed obcym i poganinem to czynił." Tu Chan, odwróciwszy odemnie twarz, rzekł: „Roztropnie mówiłeś Sukymanie." A potém do mnie: „Gdybym ci wybór dał, albo cześć mi oddać i na twarz upaść przedemną, za co wolnością byłbyś obdarzony, albo śmiercią okrutną umrzéć—cobyś wybrał?" Na to odrzekłem, „że niewolnikowi wybierać nie przystoi, niechże więc uczyni ze mną co zechce, niech jednak baczy, że każden najpodlejszego stanu człowiek, może śmierć okrutną zadać, ale majestat monarszy w woli Boga swoje *inicium* mając, wtedy Stwórcy najpodobniejszym się staje i najlepiéj swą potęgę oznajmia, gdy nie śmierć, ale życie dawa." On zastanowiwszy się nad mojemi słowy, tak potém mówił: „Jeśli niewolnikiem będąc, nie chcesz mi czci oddać, ani mię słuchać, tedy przeciw Bogu postępujesz, który niewolnikom posłuszeństwo przykazał." Odrzekłem: „Ciało moje jest tylko w niewoli."

Co słysząc tatarowie aż pobledli, ale on był cierpliwy, gdyż nie próżno nazywano go Roztropnym. Namyśliwszy się tedy odjechał, ale odjeżdżając powiedział agom i czaukczom swoim: „Gdy w niewolę niewiernych popadniecie, temu człowiekowi bądźcie podobni." Więc potém miałem spokój przez dwa dni i jeść mi przynosili. Inni zaś przychodzili nawet do mnie mówiąc: „Pan nasz cię nie zapomni; ale, gdy do łaski cię wyniesie, nie zapominaj o nas."

Tak niewolnictwo upodliło serca tych ludzi, że w przewidywaniu zmiany fortuny mojéj, jeszcze mnie na barłogu leżącego już sobie kaptowali. Ja zaś cieszyłem się w duszy, bom myślał, iż może wolność, a z nią i szczęście moje odzyszczę. Po dwóch dniach Chan przejeżdżając, znowu ku mnie konia zwrócił: „Rozważałem — rzecze — słowa któreś rzekł, w mądrości mojéj, i na wagach méj sprawiedliwości je położyłem. Znalazłeś za twoje męztwo łaskę u mnie; mów tedy, czegobyś pragnął, abym dla cię uczynił?"—Odpowiedziałem, że w wolnym zrodzonemu stanie, wolność najmilszymby mi była fruktem łaski jego. On spytał: „A gdy ci jéj odmówię?" — Tedy daj śmierć! odrzekłem. On znowu się zastanowił, ile że chciał, żeby wszyscy podziwiali i sławili mądrość jego, iż nic bez namysłu nie przedsiębierze. A przez ten czas serce biło we mnie jakoby młotem. Namyśliwszy się, mówił: „Gaurze! nie naciągaj łuku zbyt mocno, aby zaś nie pękł i ręki ci nie zranił; przeto ci powiem ostatnie słowa: żółty tołub ci dam, do dworu cię mego wezmę, dostatkami nagrodzę i koniuszym moim uczynię, odmiany wiary nie wymagając, byleś rzekł, iż z dobréj woli służyć mi będziesz." Wtedy zadrgało mi serce zrazu radością wielką, ale wnet pomy-

ślałem, że to pokusy są może szatańskie, a potém jeszcze: co rzeknę ojcom moim, gdy mnie spytają: czém byłeś na świecie? Żali rzeknę onym rycerzom w boju poległym: koniuszym byłem z dobréj woli tatarskim. I okrutny strach mnie zdjął przed tém ojców pytaniem, większy niżeli przed męką i śmiercią; wyciągnąwszy tedy do Chana ręce wołałem: „Panie! woli ty mojéj nie żądaj, bo wola z duszy wychodzi, dusza zaś nietylko wiary jest pamiętna, lecz i stanu w którym na świat przyszła, a stan ów od ojców wziąwszy, muszę im go odnieść nieskalanym." „Niewolniku, złamałeś łuk" — rzekł Chan, i już widziałem, że godzina nadeszła, bo gniéw począł występować na jego oblicze, ale się opamiętał i takiemi do Sukymana ozwał się słowy: „Mądry Sukymanie! Zaprawdę, w łasce zadaleko z tym psem zaszedłem, a teraz ci przykazuję, byś go złamał koniecznie; ale nim życie mu weźmiesz, do tego męką go doprowadź, by nawet u twoich nóg w pokorze się czołgał."

Wtém odjechał, a mnie zaraz z rozkazu Sukymana, kałmukowie porwawszy, przywiązali do pala. Co było ludu i niewolników, wszystko się zbiegło, aby patrzéć, jakie mi męki będą zadawane. Ja zaś duszę ku Bogu ze wszystkich sił wytężywszy, o to najwięcéj Go błagałem, by mi sił dodał i upodlić się nie pozwolił. I wraz poczułem, że modlitwa została wysłuchana, bo duch mocny na mnie wionął. I pomyślałem, żem przedstawiciel jest téj siły krzyża, co się nie zgina, żem ja tu poseł jest Rzeczypospolitéj, na mękę od stanów delegowany, żem ja tu żołnierz na ordynansie Chrystusowym *moriturus* i powołany, abym fundamentem życia mego świadczył o duchu, który jako ogień niebieski nie gaśnie. A pomyślawszy tak, choć nędzny, pro-

chem pokryty, głodem wychudły, bezsilny, taki niezmierny w sobie poczułem majestat, jakobym z wyniesienia na świat poglądał. Kałmukowie zaś siec mnie surowcem poczęli i wkrótce krwią spłynąłem. Pytali mnie tedy: „padniesz twarzą?" Odpowiadałem: „ślachcicem polskim jestem." Wtedy ci siekli mnie nanowo, inni zaś ognia wolnego pod nogami memi napalili, abym się piekąc, prędzéj o litość zawołał. Jakoż począłem ustępować, ale nie duszą, jedno ciałem, bo omdłałość wielka rozeszła się po kościach moich i światłość dzienna bladła w oczach. Dopiéro widząc że już śmierć nadchodzi, resztą sił podniosłem głowę do góry i zawołałem w stronę Rzeczypospolitéj: „widzisz-że ty mnie i słyszysz?" Aż tu nagle, jakoby przez całe stepy i Perekop, doszedł mnie głos: „widzę!" — w dalekościach coś się ćmić poczęło, niebo i powietrze zbiegało się do kupy, z czego niewiasta ze słodkiém obliczem wypłynęła i stanęła koło mnie. Ogień przestał mnie parzyć, surowiec nie świstał już nademną i poczułem, że lecę na ręku onéj niewiasty niesiony. Ona zaś ku niebu leci, a z nią roje aniołków śpiewających: „nie w kontuszu, nie przy karabeli, ale w ranach? Rycerzu, rycerzu w boju mężny, w męce cierpliwy, Chrystusów Palladzie cichy, krwawéj ziemice synu wierny, witaj w spokoju, witaj w szczęściu— w weselu, w weselu!".... I tak lecieliśmy ku niebiosom, a com tam ujrzał, tego już grzeszne usta moje ziemskim uszom opowiedzieć nie mogą. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

V.

. . . . . .

. . . . . .

....Wóz skrzypiał podemną i wiatr obwiewał mnie świeży a chłodny. Otwieram oczy — Kizlich nie widzę: step jedno, step jako morze. Więc przymknąłem powieki, myśląc, że sen mi jasłeczka jakoweś wyprawuje. Spojrzę znowu: twarz starą Chimka, marszałka Tworzyańskich przy sobie widzę, a za nim luzaków kilku. Ten zasię mówi: „Bogu niech będzie chwała, jużeś nam Waćpan oprzytomniał." Pytam: gdzie jadę? — Do Rzeczypospolitéj — Wolny-m jest?—Wolny.—Kto mnie wykupił? Panienka.—Gdy rzekł: „panienka," tedy coś, jakby ogromne płakanie porwało mi się z piersi, ręce wyciągnąłem, omdlałem.

Wóz skrzypiał podemną. Gdym oprzytomniał dzień późniéj, wszystko mi Chimek powiadał. Oto J. W. Tworzyański na lepszy już świat z tego lichego się przeniósł, a Marysia dziedziczką jego zostawszy, przy wuju swym prałacie mieszkała. Tam ich wieść o méj niedoli i mękach doszła, tam ona wujowi do nóg padłszy, afekt ku mnie wyznała i z wolą jego od Sukymanowéj mocy mnie wykupiła. . . . . .

Chimek Chana już w Kizlich nie zastał, któren, gdy zaraza przeszła, do miasta zwanego Eupatoria wyjechał, a Sukyman za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odprzedał.

Chimek też myślał, że raczéj umarłego dowiezie, bo przez dwie niedziele o bożym świecie nie wiedziałem, ale przecie Bóg mi życie powrócił.

Co wszystko słysząc i wyrozumiawszy, że za przyczyną dzieweczki mojéj z niewoli pogańskiéj zostałem wykupiony, rzewnie płakałem i takie sobie w duszy śluby czyniłem, aby dzieweczkę oną miłosierną miłować i strzedz po wiek żywota mego. I teraz mi się zdało, jaboby mój pobyt w Krymie i niewola u Sukymana i wycierpiane męki snem były. Takto Opatrzność sprawy świata tego urządza, iż *in tempore* wszystko mija, a jedno *in memoria* zostaje, z tą wszelako odmianą, iż im sroższe były przygody, tém o nich wspominać miléj. A w ten sposób nietylko *acti labores*, ale i *dolores jucundi* się stają. Że zaś człeka stanu rycerskiego Bóg czasem ciężko dojmie, to mu i sił doda, a jeśli życia pozbawi, to i tak nagrodzi. Mnie zaś anioła wybawiciela w Marysi mojéj zesłał i pohańbić mi się w próbach nie pozwolił....

Jedno gdym się w nocy budził, albo ranek zaświtał, ocuciwszy się ze spania, powtarzałem sobie, że do ojczyzny jadę i Marysię widzieć będę. Co myśląc, na koń zaraz chciałem siadać, ale Chimek nie pozwalał, ile że siły żadnéj jeszcze we mnie nie było. Leżałem tedy na wznak na wozie, jakby wór jaki,—i tak dojechaliśmy do Mohylnéj. Tam, gdy mnie starzy towarzysze ujrzeli, sypnęli się ku mnie jakby pszczoły z ula wołając: „Wiemy o tobie

wiemy! witaj towarzyszu miły!" — i patrząc na nogi moje, na których węgielki gęsto osiadły, łzami się zalewali, a jeden drugiemu powtarzał: „Czołem przed nim, bo ten jest rycerz między nami najprawdziwszy!" Potém zasię zaczęli mnie dawać, co który miał, albo z łupów zdobył: więc bachmaty z rzędami, namioty jedwabne, szable drogiemi kamieniami sadzone, cekiny włoskie i tureckie, tyftyki, olstra, handziary bogate, naczynia srebrne albo zgoła złote, błamy sobole, a inny turkusów garść lub rubinów, a inny zapięcia dyamentowe, tak, że na kilka tysięcy czerw. złotych skarbów mi zsypali, które na pięć wozów trzeba było zabierać. Co czynili z dobrego serca, ale tém łacniéj iż na wojnę właśnie szli, na kozaków, Łoboda bowiem i Nalewajko poczęli rozruch na Ukrainie, za który Żółkiewski ich gromił. Potém jechaliśmy daléj. Często różne oddziały wojska nas spotykały, a niektórzy żołnierze zbliżając się pytali: „kogo wieziecie?" Na co Chimek odpowiadał: „ślachcica w niewoli poszczerbionego." Po których słowach nietylko każden zostawiał nas w spokoju, ale jeszcze, czém kto mógł, darzył. Spotkał też nas za Kijowem i sam Żółkiewski, który pochód na Perejasław symulując, przez Dniepr się przeprawić pragnął. Usłyszawszy ów wojownik sławny, co mnie w niewoli spotkało, rzekł: „Mniejszych starostwami nagradzają, o czém do króla Jegomości pisać będę." I pierścień mnie kosztowny podarował, który dotąd na palcu noszę. Serce mi też rosło na widok jego wojsk, te bowiem lubo nieliczne i ustawiczną pogonią znużone, tak były sprawne i ochocze, że w żadnéj bitwie nieprzyjaciel pola im dotrzymać nie mógł.

Patrząc na tych ludzi poczerniałych od wiatru, którzy sypiali na murawie stepowéj, nie jadali po dwa i trzy dni, nie zrzucali nawet i na noc pancerzy, rany prochem zasypywali, a przecież fantazyą mieli bohaterską, uczyłem się pokory i myślałem: nie słuszniebym się w pychę wzbijał i o zasługach moich wiele mniemał, gdy ci w trudach takowych, nic sobie z nich nie robią i jeszcze śpiewają weseli, jakoby nie rozumiejąc, iż są bohaterami. O! jakże mnie żal było, że nie mogłem na konia sieść, ani pancerza i kopii dźwignąć, ani z nimi jeździć! ale jeszcze sobie węgielki ze skóry obłupywać musiałem. Rozkoszy też wielkie były wonczas na Ukrainie dla wszelkiéj duszy rycerskiéj. Co noc było widać łuny, a słychać surmy bojowe. Żółkiewski jako orzeł z panem Potockim wojewodą kamienieckim po stepach krążył, Rożyński kniaź koło Pawołoczy gromił, Jazłowiecki harce zwodził, Nalewajko, Łoboda i Sasko z czernią jako wilcy pomykali jarami. Raz też mnie czerń pijana winem mołdawskiém opadła. Tym po staremu Chimek rzekł, iż ślachcica poszczerbionego wiezie, oni zaś iskier wielkie mnóstwo, aby mnie w nocy poznać, poczęli krzesać i do Kremskiego mnie zawiedli. Tam gdy łuczywo rozpalili, poznał mnie jeden kozak essauł, któren ze mną w Krymie był i na Czaczuk-bayron został uwolniony. Począł tedy krzyczéć: „Pane! pane!" a potém: „świętego to lacha wiozą!" i do nóg moich przypadł, gdy zaś Kremskiemu opowiedział, jako im w niewoli pomagałem, inni też z czapkami do mnie przyśli, których zaraz zgromiłem, iż w posłuszeństwie Rzeczypospolitéj nie trwają—Kremski zaś nietylko że gardła mi nie odjął, ani też nic mi nie zabrał, ale jeszcze obdarzywszy, strażę

mi dodał. Takto w mężu wojennym nieprzyjaciel nawet rany i męztwo uczcić potrafi, za co wreszcie Bóg pewno Kremskiego zbawieniem wynagrodził, który też nie był takim Rzplitéj nieprzyjacielem, za jakiego go mieli....

Na całéj Ukrainie, ba w całéj Rzplitéj wrzało jakby w ulu i dużo klęsk Bóg na ziemie nasze spuścił, ile że przy wojnie szła i piekielnica zaraza. Gdy *animus* innemi sprawami był zajęty, mało kto na nią zważał, ale ja ją własnemi oczyma z wozu oglądałem. Szła ta zaraza nie ławą, ale jako i w Krymie, miejscami ludzi napadając, pojedyncze miasteczka, wsie i osady zabierała. Byli też tu i owdzie burmistrze powietrzni mianowani, a po osadach kupy się gnoju paliły, dymiąc smrodliwie i obficie, którego zapachu zaraza znieść nie może. Nocami parobcy smolni pilnowali onych kup, by nie zgasły. Lud w przewidywaniu klęsk procesye czynił, na których chorągwie z trupiemi głowami bywały noszone. Bóg przytém ślepotę jakowąś na ludzi spuścił, bo i zgody między możnymi nie było, którzy miasto na koń siadać, jako poprostu i ućciwie można było uczynić, sejmy sprawami swemi mącili. Nieprzyjaciel gromadził się na granicach, a siły były dziwnie rozstrzelone; w czém zawsze było nieszczęście nasze, bo gdyby wszystka szlachta i możni do boju zgodnie się zerwali, tedyby *orbis terrarum* przed nami zadrżéć musiał. Co mówię dlatego, że nie masz żołnierzy, którzyby kopijnikom naszym opór dać mogli, a jakom widział potém i janczarów tureckich i piechotę szkocką i szwedzką rajtaryą przez nich łamaną, tak twierdzę, iż przyrodzenie hojniéj nas w wojenną spcsobność, niżeli innych opatrzyło. My jednak stawiamy tysiąc ludzi, gdzie inni stawią dziesięćkroć.

Czemu się zaś tak dzieje, tego arkanów chyba w woli Bożéj szukać trzeba, gdyż każdemu łatwiejszém się powinno wydawać na koń sieść, niż zawieruchy językiem czynić. I chwała ztąd większa i zabłąkanie *animi* mniejsze i zasługa doskonalsza i zbawienie pewniejsze.

Człowiek przechodzi jako podróżny po świecie, więc o siebie nie powinien dbać, jedno o Rzeczpospolitą, która jest i ma być nieustającą. Amen! . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

VI.

. . . . . .

. . . . . .

. . Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, bądź pochwalony w dziełach Twoich. Kędy oczy moje łzami zalane obrócę, tam Cię widzę, a kędy Cię widzę, tam Cię wyznawam. Tyś na firmamencie ognie niebieskie zawiesił, Ty słońcu z morza wstawać każąc, dzień na górach i dolinach czynisz. Na chwałę Twoją bory szumią i trzody po polach dzwonią; na chwałę Twoją wojska po stepach ze rżeniem koni jeżdżą i wszelka ziemska rzeczpospolita cześć Ci oddawa. A iżeś mnie sługę swego opuścił i szczęścia mnie pozbawił i w tém bądź pochwalony! Na wojnach zbiegł wiek żywota mego i w trudzie pobielały mi włosy. Tam, Panie, gdzie działa ogniem śpiewały majestat Twój, a w dymach grzmiało imię Twoje, tam byłem. I na Multanach i na Inflanciech płynęła krew moja, a dziś jestem stary i przygasłe źrenice ku ziemi się już zwracają, a ciało wiecznego spoczynku pragnie. Nie ziemskie dobra, nie bogactwa, honory i godności na tamten świat ze sobą poniosę, bom oto ubogi jest jak byłem. Ale Ci, Panie, tarcz moją pokażę i powiem: „patrz — nie splamiona, a splamiona, to jedno krwią moją. Imie-m nieskalane przechował, ducham nie poddał—i gnąc się z bólu — przeciem się nie złamał."

Na tém kończą się urywki z pamiętnika Aleksego Zdanoborskiego. Okazuje się z téj kroniczki, iż ów „książę niezłomny," który koniuszym tatarskim nie chciał zostać, życie miał bólów pełne. Zgodnie z duchem czasu do imienia wielce był przywiązany. Z Maryą, jak to z pobieżnéj wzmianki końcowéj widać, rozdzieliły go losy. Zapewne téż wcale się już nie ożenił. Jakoż ze wszystkiego domyślać się godzi, iż ślachcic ten umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.

III.

„JAMIOŁ.“

JOURNAL

JAMIOŁ.

OBRAZEK WIEJSKI.

W miasteczku Łupiskórach, po pogrzebie Kalikstowéj były nieszpory, a po nieszporach zostało jeszcze kilkanaście bab w kościele, by odśpiewać resztę pieśni. Była godzina czwarta po południu, ale że w zimie o czwartéj mrok pada, w kościele więc było ciemno. Szczególniéj wielki ołtarz tonął już w głębokim cieniu. Dwie jeszcze tylko świéce paliły się koło cyboryum, ale migotliwe płomyki ich zaledwie trochę rozświecały złocenia drzwiczek, i nogi zawieszonego wyżéj na krzyżu Chrystusa, przebite ogromnym gwoździem. Główka tego gwoździa wyglądała jak wielki punkt błyszczący w ołtarzu. Z innych świéc, dopiéro co pogaszonych, snuły się pasemka dymu, napełniając miejce za stallami czysto kościelnym zapachem wosku.

Dziad i mały chłopak kręcili się przed stopniami ołtarza. Jeden zamiatał, drugi ściągał że stopni dywan. W chwilach, w których baby przestawały śpiéwać, słychać było gniewliwy szept dziada, wymyślającego na chłopaka, albo stukanie do zasutych śniegiem okien wróbli, którym było na dworze zimno i głodno.

Baby siedziały w ławkach, bliżéj drzwi wchodowych. Byłoby tam jeszcze ciemniéj, gdyby nie kilka łojówek, z pomocą których właścicielki książek ułatwiały sobie czytanie. Jedna z tych łojówek oświecała dosyć wyraźnie, przytwierdzoną do następnéj ławki chorągiew, wyobrażającą grzeszników wśród płomieni i wśród szatanów. Na innych chorągwiach nie można było rozeznać malowideł.

Kobiéty nie śpiéwały, ale raczéj mruczały sennemi i zmęczonemi głosami pieśń, w któréj ustawicznie powtarzały się słowa:

„A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Uproś nam, uproś u Twojego syna....

Ten kościół pogrążony w cieniu, chorągwie sterczące przy ławkach, stare o pożółkłych twarzach kobiéty,— migotliwe, jakby pognębione pomroką, światełka—wszystko to było nad wszelki wyraz posępne, a nawet poprostu straszne. Ponure słowa pieśni o skonaniu znajdowały w tém tło właściwe.

Czasem téż przestawano śpiéwać; jedna z bab stawała w ławce i poczynała mówić drżącym głosem: „Zdrowaś Marya łaskiś pełna"—i inne podchwytywały: „Pan z Tobą etc.," ale że to dzień był pogrzebu Kalikstowéj, każde więc „Zdrowaś Marya" kończyło się słowami: „Wieczny odpoczynek racz jéj dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jéj świeci."

Córka Kalikstowéj, Marysia, siedziała w ławce obok jednéj staréj kobiéty. Na grób świeży jéj matki padał tam teraz właśnie śniég miękki i cichy, ale dziewczyna nie

miała jak dziesięć lat, więc zdawała się nie rozumieć ani swéj straty, ani litości jaką mogła obudzać. Twarzyczka jéj o dużych niebieskich oczach miała w sobie dziecinny spokój, a nawet obojętną jakąś pogodę. Malowało się na niéj trochę ciekawości i nic więcéj. Otworzywszy usta, patrzyła z wielką uwagą na chorągiew, na któréj było malowane piekło z grzesznikami, potém patrzyła w głąb kościoła, a potém jeszcze na okno, w które stukały wróble. Oczy jéj pozostały bezmyślne. Tymczasem baby poczynały mruczeć sennie po raz dziesiąty:

„A kiedy przyjdzie skonania godzina.....”

Dziewczyna kręciła kosmyki swoich jasnych włosów, zaplecione z tyłu w dwa warkoczyki nie większe od mysich ogonków: widocznie się jéj nudziło. Następnie jednak uwagę jéj zajął dziad.

Dziad wyszedł na środek kościoła i jął pociągać za węzłowaty sznur zwieszający się z sufitu. Dzwonił za duszę Kalikstowéj, ale czynił to zupełnie mechanicznie, gdyż widocznie myślał przytém o czém inném.

Dzwonienie owo było także znakiem, że nieszpory skończone. Baby powtórzywszy ostatni raz prośbę o lekkie skonanie, wyszły na rynek. Jedna z nich prowadziła za rękę Marysię.

— Kulikowa!—spytała druga—a co będzieta robić z dziewczyną?

— A co mam robić? Jedzie do Leszczyniec Wojtek Marguła, co go przysłali na pocztę, to ją odwiezie. A bo co?

— A coże ona będzie robić w Leszczyńcach?

— Moiście wy! To co i tu. Zkąd jest, niech tam jedzie. A choć i we dworze, to sierotę przygarną i w kredensie się pozwolą przespać.

Tak rozmawiając szły przez rynek do szynku. Mroczyło się coraz bardziéj. Czas był zimowy, cichy, niebo zawleczone chmurami a powietrze przesiąknięte wilgocią i mokrym śniegiem. Z dachów kapała woda, na rynku zaś leżało błoto urobione ze śniegu i słomy. Miasteczko o domach nędznych i poodrapywanych wyglądało tak posępnie jak i kościół. Niektóre okna połyskiwały światłem; ruch już ustawał, w szynku tylko grała oberka katarynka.

Grała na wabia, bo w środku nie było nikogo. Baby weszły, napiły się wódki, przyczém Kulikowa dała i Maryśce pół kieliszka mówiąc:

— Napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci.

Słowo: sierota, przywiodło babom na myśl śmierć Kalikstowéj. Kapuścińska mówiła:

— Do was Kulikowa! napijta się. O moi drodzy! jak ją ten paralus trzasnął, tak ci ani zipnęła. Nim dobrodziéj przyszedł spowiadać, już była zimna.

Kulikowa na to:

— Mówiłam ja zdawna, że ona cienko przędzie. Zeszłéj niedzieli przyszła a ja powiadam:—Ej Kalikstowo, Kalikstowo! oddajcie lepiéj Maryśkę do dworu. A ona powiada:—jedną córuchnę mam i nie dam. Ale markotno jéj było i zaczęła ślochać, a potém do kancelaryi poszła, do wójta, żeby papiery miéć co do „kolomnii" na porządek. Zapłaciła cztery złote i groszy sześć. Ale powiada: dla dziecka nie żałuję. Moiście wy! A oczy to miała wytrzyscone i po śmierci jeszcze lepiéj wytrzyscyła.

Co jéj chcieli zamknąć, to nie mogli. Mówili że i po śmierci na dziecko patrzyła.

— Napijwa się na ten żal półkwaterek!

Katarynka wciąż grała oberka. Baby poczęły się trochę rozmarzać. Kulikowa powtarzała żałosnym głosem: „chudziątko! chudziątko!" a Kapuścińskiéj przyszła z kolei na myśl śmierć nieboszczyka jéj męża.

— Jak umiroł—mówiła—to tak ci wzdychoł, tak wzdychoł, tak wzdychoł! — i rozciągając coraz bardziéj głos weszła mimowoli w śpiew, ze śpiewu w takt katarynki, a w końcu porwała się za boki i zupełnie już na nutę oberka poczęła śpiéwać:

„Wzdychoł, wzdychoł, wzdychoł,
Oj ta dana – wzdychoł!"

Nagle rozpłakała się rzewnie, dała kataryniarzowi sześć groszy i napiła się jeszcze wódki! Kulikową również porwało rozczulenie, ale skierowała je ku Marysi.

— Pamiętaj, sierotko—rzekła—co ci mówił dobrodziéj, kiej ci mateńkę śniegiem przysypywali, że jamioł (anioł) je nad tobą.

Tu zatrzymała się nagle, spojrzała naokoło jakby zdziwiona, a potém dodała z nadzwyczajną energią:

— Kiéj mówię że jamioł, to jamioł!...

Nikt nie przeczył. Marysia, mrugając swojemi biédnemi głupiemi oczkami, wpatrywała się uważnie w babinę. Kulikowa mówiła daléj:

— Tyś je sierotka, to złemu od ciebie zasię! Nad sierotami je jamioł. On je dobry. Na, masz dziesięć

groszy. Choćbyś i piechotą do Leszczyniec poszła, to trafisz, bo on cię zaprowadzi.

Kapuścińska zaczęła śpiéwać:

„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie.
Pod Jego pióry — uleżysz bezpiecznie."

— Cichojcie!—zawołała Kulikowa. A potém znów do dziewczyny:

— Ty głupia, wiesz kto je nad tobą?

— Jamioł—odrzekło cienkim głosem dziecko.

— Sieroteńko-że ty, jagodko ty, robaczku ty Boży! Jamioł ze skrzydłami—mówiła w zupełném już rozczuleniu Kulikowa i porwawszy dziewczynkę, poczęła ją przyciskać do swéj poczciwéj choć pijackiéj piersi.

Dziewczynka rozpłakała się teraz. Może w jéj ciemnéj główce i w sercu, które nie umiało nic jeszcze rozeznać, budziło się jakieś rozeznanie w téj chwili.

Szynkarz spał już w najlepsze za szynkwasem, na knotach łojówek narosły grzyby: kataryniarz przestał grać, bo go bawiło to, co widział.

Nastała cisza, którą przerwało nagle chlupotanie końskich nóg w błocie przed drzwiami i jakiś głos, który zawołał na konie:

— Prrr!

Do szynku wszedł Wojtek Marguła z zapaloną latarką w ręku, postawił latarkę, począł „zabijać" ręce, by je rozgrzać i wreszcie rzekł do szynkarza...

— Dajta-no półkwaterek!

— Marguła, kasztanie!—zawołała Kulikowa—weźmiesz dziewczynę do Leszczyniec.

— Juści wezmę, bo mi i kozeli—odparł Marguła. Potém, przypatrzywszy się obydwom kobietom dodał:

— Aleśta się porznęły jak...

— Ażeby cię zara sparło! — odrzekła Kulikowa. Kiedy ci mówię ostrożnie z dzieckiem, to ostrożnie. Ona je sierota. Ty wiesz głąbie kto nad nią je?

Wojtek nie uznał za stosowne odpowiadać na pytanie i postanowił widocznie podnieść inny przedmiot, podniósł bowiem przedewszystkiem półkwaterek i zaczął:

— Wciorności wam...

Ale nie skończył, bo wypił wódkę, skrzywił się, splunął i stawiając z niezadowoleniem miarkę rzekł:

— Dyć to sama woda. Dajta-no drugiéj z téj innéj flaszki.

Szynkarz nalał mu z innéj. Wojtek skrzywił się jeszcze mocniéj.

— E! araku nie mata?

Margule groziło widocznie takież same niebezpieczeństwo jak i babom, ale że w tym samym właśnie czasie, we dworze w Łupiskórach, właściciel przygotowywał do jednego z pism obszerny i wyczerpujący artykuł: „O prawie propinacyi dla dworów, jako o podstawie ustroju społecznego," a zatém Wojtek przyczyniał się tylko niechcący do wzmocnienia fundamentów społecznych, a to témbardziéj, iż propinacya, chociaż w miasteczku, była istotnie dworską.

Przyczyniwszy się tak z pięć razy z rzędu, zapomniał wprawdzie latarki w któréj świeczka zgasła, ale wziął nawpół śpiącą dziewczynę za rękę i rzekł:

— Chodźże zmoro!

Kobiéty posnęły również w kącie, nikt więc nie po żegnał Marysi. Poprostu: matka jéj została na cmenta rzu w Łupiskórach a ona jechała do Leszczyniec.

Wyszli, siedli, Marguła krzyknął na konie: „wiśta" i pojechali. Sanie sunęły z początku dosyć ciężko p miasteczkowém błocie, ale potém zaraz wydobyli się n pola białe i rozległe. Jechać było lekko, śnieg nie szu miał prawie pod płozami: czasem tylko koń parsknął; cza sem zdaleka, zdaleka doszło szczekanie psów.

Jechali, jechali. Wojtek poganiał konie i śpiéwa pod nosem: „Pamiętos psia jucho, coś mi obiecował. Ale wkrótce umilkł i zaczął „żydy" wozić. Kiwnął si w prawo, w lewo. Śniło mu się, że go w Leszczyńcac tłuką po karku, za to, że zgubił kobiałkę z listami, więc od czasu do czasu budził się przez pół i powtarzał: „wcior naści!" Marysia nie spała, bo jéj było zimno. Szerok otwartemi oczyma patrzyła na białe pola, które jéj c chwila zasłaniały ciemne plecy Marguły. Myślała té przytem, że „matula pomerli"a tak myśląc, wyobrażał sobie doskonale bladą i chudą twarz matuli o wytrzesz czonych oczach—i odczuwała półświadomie, że ta twar była kochana bardzo, że jéj niéma i nie będzie w Lesz czyńcach już nigdy. Przecież widziała na własne ocz jak ją zasypali w Łupiskórach. Przypomniawszy to so bie, byłaby się rozpłakała z żalu, ale że zziębły jéj nog i kolana, więc rozpłakała się z zimna.

Mrozu wprawdzie nie było, ale powietrze stało si przenikliwe, jak zwykle w odwilży. Wojtek bo miał przy najmniéj w żołądku spory zapas poczerpniętego w łup

skórskim szynku ciepła. Właściciel Łupiskór słusznie przecie zauważył, „że wódka w zimie rozgrzewa, a ponieważ jest ona jedyną pociechą naszego ludu, odejmując przeto większym posiadaczom możność wyłącznego pocieszania ludu, odejmuje się im i wpływ na lud." Wojtek w téj chwili tak był pocieszony, że nic go zasmucić nie mogło.

Nie zasmuciło go nawet i to, że konie doszedłszy do lasu, naprzód zwolniły zupełnie kroku, choć droga była w lesie lepsza, a następnie ruszywszy w bok przewróciły sanie w rów przydróżny. Rozbudził się wprawdzie, ale nie zrozumiał dobrze co się stało.

Marysia poczęła go trącać.

— Wojtek!

— Czego skrzeczysz?

— Przewróciliśwa.

A Wojtek spytał: „śklonkę?" i usnął na dobre.

Dziewczyna siadła przy saniach, skuliła się jak mogła i siedziała. Ale twarz zmarzła jéj wkrótce zupełnie, więc znów zaczęła trącać śpiącego:

— Wojtek!

Nie odpowiadał.

— Wojtek, chcę do chałupy!

A po chwili znowu:

— Wojtek, bo pójdę piechtą...

Nakoniec poszła. Zdawało się jéj, że do Leszczyniec jest bardzo blizko. Zresztą znała drogę, bo co niedziela chodziła nią z matką do kościoła. Ale teraz musiała iść sama. W lesie śnieg mimo odwilży leżał wysoki, ale za to noc była bardzo jasna. Blask od śniegu łą-

czył się z blaskiem światła chmur, więc drogę było widać jak w dzień. Marysia, zapuszczając wzrok w ciemny las, mogła bardzo daleko dojrzeć pnie rysujące się wyraźnie, czarno i spokojnie, na białym podkładzie. Widziała również dokładnie rzuty śniegowe do pni przez całą długość przywarłe. Jakiś ogromny spokój był w lesie, który dziecku dodawał otuchy. Na gałęziach leżała złódź obfita, a z niéj spływały krople wody, rozbijając się ze słabym szmerem o gałęzie i gałązki. Ale to był jedyny szmer. Zresztą na okół cicho, cicho, biało, milcząco, głucho!

Wiatr nie wiał. Uśnieżone kiście nie poruszały się najmniejszym ruchem. Spało wszystko zimowym snem. Mogło się zdawać, że śniegowy obrus na ziemi i cały las milczący a przytrząśnięty i blade chmury na niebie, to wszystko jakaś biała jedność—martwa. Tak bywa w czasie odwilży. Jedyną żywą istotą, poruszającą się jak mały czarny punkcik wśród tych milczących wielkości, była Marysia. Dobry, poczciwy las! Te krople, które opuszcza topniejąca złódź, to może łzy nad sierotą. Drzewa takie wielkie, a takie litośne nad maleństwem. Oto samo jedno, takie słabe, biédne, wśród śniegu, nocy i lasu, brnie sobie z ufnością jakby nigdy nic! Noc jasna zdaje się troskać o nią. Jest w tém jakaś wielka słodycz, gdy coś, co jest małém i bezsilném oddaje się i powierza tak zupełnie ogromnéj sile. W ten sposób wszystko może istnieć na woli Bożéj. Dziewczyna szła już dość długo i zmęczyła się wreszcie. Przeszkadzały jéj ciężkie, zawielkie buty, w których jéj małe nóżki zesuwały się ustawicznie. Ciężko było wyciągać takie ogromne buciska ze śniegu. Przytém i rękoma nie mogła swobodnie poruszać, bo w je-

dnéj wyciągniętéj sztywnie, trzymała z całéj siły ową dziesiątkę, którą dostała od Kulikowéj. Bała się jéj upuścić w śnieg. Zaczynała chwilami płakać głośno, a potém urywała nagle, jakby się chcąc przekonać, czy kto płaczu nie słyszy. Owszem, las słyszał. Topniejąca złódź szemrała jednostajnie a jakoś żałośnie. Prócz tego, może jeszcze ktoś słyszał. Dziecko idzie coraz wolniéj. Czyżby miała zbłądzić? Gdzietam! droga jakby biała, szeroka, zwężająca się w dali wstęga, leży wyraźnie między dwoma ścianami ciemniejszych drzew. Dziewczynę począł ogarniać sen niepokonany.

Zeszła i siadła pod drzewem. Powieki opadały jéj na oczy. Przez chwilę myślała, że po białości śniegowéj matula idzie ku niéj od strony cmentarza. Nikt nie szedł. Dziecko było jednak pewne, że ktoś przyjść musi. Kto?— Anioł. Przecie stara Kulikowa mówiła, że „jamioł" jest nad nią.—Marysia znała go. W chałupie u matuli był jeden malowany z „leliją" w ręku i ze skrzydłami. Przyjdzie niezawodnie. Złódź jakoś zaczyna szemrać mocniéj. To może jego skrzydła strącają więcéj kropel.—Cicho! istotnie ktoś idzie; śnieg choć miękki szeleści wyraźnie, kroki zbliżają się i zbliżają ciche ale szybkie. Dziecko podnosi z ufnością senne powieki...

Co to!!

Szara jakaś trójkątna głowa o sterczących uszach, przypatruje się dziecku pilnie... straszna, ohydna...

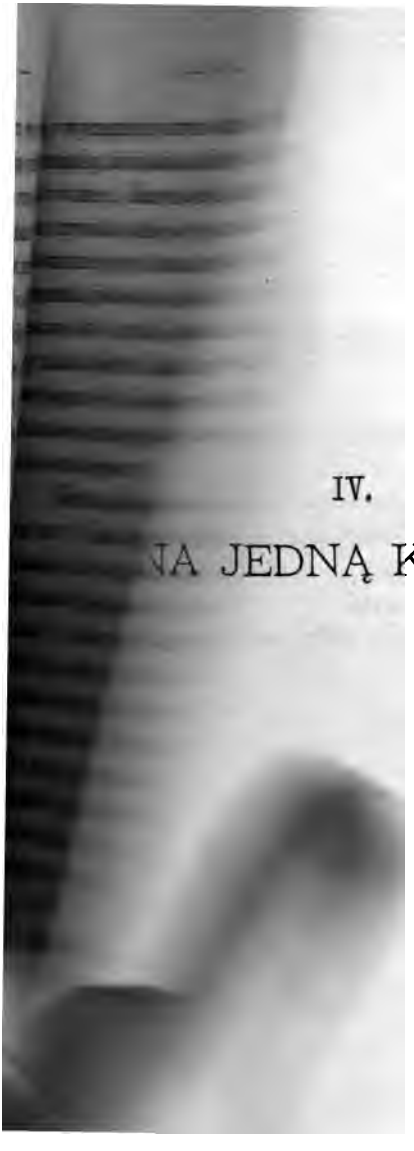

IV.

NA JEDNĄ KARTĘ.

IV.

NA JEDNĄ KARTĘ.

Stella.

Ale ja chcę, żebyś zgadła, żebyś powiedziała mi: n
turalnie że ten, a nie kto inny. Nie uwierzysz, jak mi
pochlebi i jak mnie ucieszy.

Czeska.

A więc: hrabia Drahomir.

Stella.

Ach!

Czeska.

A zarumieniłaś się? Prawda, że niedawno tu bav
ale jaki miły, jaki sympatyczny, jaki wesoły! O, mo
stare oczy dobrze widzą, i gdym was zobaczyła razem, z
raz pomyślałam sobie: śliczna para! może co z tego będz

Stella.

Nic z tego nie będzie, mateczko, bo... pan Karol je
wprawdzie bardzo sympatyczny, ale narzeczonym moi
jest pan Jerzy.

Czeska.

Pan Jerzy Pretwic?

Stella.

Tak. Czy to cię dziwi?

Czeska.

Nie, moje drogie dziecko. Niech cię Bóg błogosł
wi—zkądżebym się miała dziwić? Tylko, że ja tak lub
hrabiego Drahomira, więc myślałam, że to on.... Pan J

rzy Pretwic!... O, bynajmniéj! wcale mu się nie dziwię, że cię pokochał. Ale to także jakoś prędko się stało! Jakże wy dawno się znacie? bo to ja siedząc w swoim Berwinku, nic nie wiem, co się dzieje w okolicy.

Stella.

Od trzech miesięcy. Mój narzeczony odziedziczył tu majątek po Jazłowieckich i przyjechał, jak pani wié, z bardzo daleka. On był blizki krewny Jazłowieckich, a i sam pochodzi ze znakomitéj rodziny. Kochana pani słyszała o Pretwicach?

Czeska.

Nic a nic, Stelko. Co mi tam do heraldyki!

Stella.

Niegdyś, ale to już całe wieki temu, Pretwicowie byli i z nami spokrewnieni. To bardzo znakomita rodzina. O! inaczéj papo-by się nie zgodził.... Otóż pan Pretwic przyjechał tu, objął dobra po Jazłowieckich, poznał się z nami i....

Czeska.

I zakochał się w tobie. Na jego miejscu byłabym toż samo zrobiła. To go podnosi w moich oczach.

Stella.

Alboż tego potrzebował?

Czeska.

Nie, koteczku drogi—bądź spokojna. Wiesz że aż śmieją się ze mnie, że zawsze widzę w ludziach wszystko

najlepsze... Z pięknéj rodziny, młody, bogaty, przyst
ny, dobrze wychowany... tylko...

Stella.

Tylko?

Czeska.

Jakieś ptaszki mi śpiewały, bo nawet nie pamięta
kto mówił, że trochę do burzy podobny.

Stella.

Bo téż życie jego było burzą, ale się w niéj ten szl
chetny człowiek nie złamał.

Czeska.

To tém lepiéj. Słuchaj, dziecko: tacy ludzie najlep
bo to najprawdziwsi mężczyźni. Im więcéj się zastan
wiam, tém szczerzéj ci winszuję.

Stella.

Dzięki i rada jestem, żem wreszcie mówiła z tol
otwarcie. Ja tu istotnie jestem bardzo samotna: paj
wiecznie niedomaga, naszego doktorka od trzech miesi
cy w domu niéma.

Czeska.

Daj-no tylko pokój z waszym doktorem.

Stella.

Zawsze go nie lubisz?

Czeska.

Wiesz, że nie uprzedzam się do ludzi, ale nie mogę się do niego przekonać.

Stella.

A czy wiesz, że ofiarowano mu katedrę w uniwersytecie, a przytém stara się o mandat poselski. Mateczko! doprawdy jesteś niesprawiedliwa, bo on poprostu poświęca się dla nas. Taki sławny, zamożny już i uczony, a jednak siedzi u nas, choć cały świat przed nim otworem. Byłabym się go z pewnością poradziła,...

Czeska.

Miłość, Steluniu, nie choroba.... ale mniejsza tam o niego, niech mu Bóg pomaga. Powiedz-no lepiéj, kotku, ale tak szczerze, bardzo ty się kochasz?

Stella.

Widzisz przecie, jak prędko wszystko poszło. Prawda, że i pani Miliszewska przyjeżdżała tu ze swoim synem. Wiedziałam, że o mnie idzie; bałam się, choć niepotrzebnie, żeby i papie nie przyszło to do głowy....

Czeska.

Nie odpowiadasz mi na pytanie....

Stella.

Bo jak tu mówić wyraźnie. Życie pana Jerzego, mateczko, to szereg czynów bohaterskich, poświęceń i niebezpieczeństw. Raz już był prawie zgubiony i nie żyłby dziś, gdyby go nie wyratował hrabia Drahomir. Ale jak

też on go kocha za to! Co chcesz? — Znać na moim r
rzeczonym odległe pustynie, długą samotność i długie ci
pienia. Gdy jednak zacznie rozsnuwać przedemną s
życie, doprawdy, zdaje mi się, że kocham bardzo tego
laznego człowieka. Żebyś wiedziała, jak on nieśmia
a jednak serdecznie wypowiedział co czuje dla mnie, a
tém dodał, iż wié, że jego ręce zaszorstkie....

Czeska.

Nie zaszorstkie, bo poczciwe. Po tém, co o n
mówisz, całą mu duszą sprzyjam.

Stella.

A jednak, mateczko, mimo tego wszystkiego cz
się czasem bardzo nieszczęśliwa.

Czeska.

I co to jest, Stelko? dlaczego?

Stella.

Dlatego, że chwilami nie możemy się zrozumieć w
jemnie. Uczucia, mateczko, są dwojakie: jedne jak ska
potężne i niewzruszone, drugie jak strumień, w któr
się przejrzéć można. Otóż gdy patrzę na uczucia Jer
go, widzę ich ogrom i niewzruszoność, ale dusza moja
odbija się w nich jak twarz w przejrzystym strumien
Ja go kocham, to prawda, ale chwilami zdaje mi się, że
szcze mocniéj kochaćbym mogła, że nie kładę wszystki
sił serca w to przywiązanie, i wtedy to czuję się nieszc
śliwa....

Czeska.

Ależ ja bo tego nie rozumiem prawie. Biorę życie poprostu: kocham, lub nie. Ej Stelko! świat jest tak mądrze urządzony, a Bóg tak dobry, że nic łatwiejszego jak szczęście. Nie trzeba tylko plątać spraw Bożych. Cicho, dziecko! Jesteś zakochana aż strach! Co tam!

Stella.

O! właśnie czego mi było trzeba, to téj ufności w przyszłość, tego twojego optymizmu. Wiedziałam, że się namarszczysz kochana weredyczko i powiesz: co tam. Zaraz mi rzeźwiéj i weseléj. Boję się tylko trochę naszego doktorka. Ale co to? *(patrząc przez okno)* To nasi panowie: pan Jerzy i hrabia Drahomir!

Czeska.

(patrząc przez okno) Ślicznie wygląda twój przyszły; ale i hrabia Drahomir także. Dawno on bawi u Jerzego?

Stella.

(patrząc przez okno) Od dwóch tygodni. Pan Jerzy prosił go umyślnie.... Idą już.

Czeska.

A serduszko tam: puk, puk?....

Stella.

Nie sprzeciwiaj się, niedobra.

SCENA II.

Pani Czeska — Stella — Jerzy — Pretwic — hrabia Drahomir z le
ręką na temblaku—Służący.

Służący.

(otwierając drzwi) Księżniczka jest w salonie!

Stella.

(witając się) Jakoś dziś późno, panie Jerzy?

Jerzy.

Prawda: słońce już zachodzi. Ale nie mogliśı
wcześniéj.—Czy panie wiedzą, że w sąsiedniéj osadzie b
pożar? Pojechaliśmy do ognia.

Czeska.

Słyszałyśmy już. Podobno kilkanaście domów sp
liło się zupełnie.

Jerzy.

Ogień wszczął się od rana, a ugaszono go dopié
teraz. Koło dwudziestu rodzin jest bez dachu i bez ch
ba. Spóźniliśmy się tu jeszcze i dlatego, że Karol mi
wypadek.

Stella.

(żywo) Prawda! ręka na temblaku; panie Karol

Drahomir.

Doprawdy, nic wielkiego. Gdyby nie było większy
ran na świecie, odwagę sprzedawanoby na wszystkich ta
gach. Lekkie draśnięcie....

Stella.

Jakże się to stało, panie Jerzy?

Jerzy.

Gdy się to stało, byłem na drugim końcu ulicy i nie mogłem nic widzieć z powodu dymu. Mówiono mi tylko, że Karol wskoczył do płonącego domu.

Stella.

Ach, Boże!

Drahomir.

(śmiejąc się) Uważam, że czyn mój zyskuje na odległości.

Czeska.

Więc niech go pan sam opowié.

Drahomir.

Zawołano przy mnie, że w domu, którego zresztą dach zaczynał się dopiéro palić, jest jakaś kobiéta. Wtedy ja, sądząc, że owa salamandra, nie lękająca się płomieni, jest może jakąś zaczarowaną pięknością, przez czystą ciekawość wszedłem do środka. Było tam już trochę ciemno od dymu. Patrzę więc, i przekonywam się ostatecznie, że w niczém nie mam szczęścia, bo moja salamandra jest tylko staruszką żydówką, która pakuje w worek pierze darte. Wśród płatków gęsiego puchu wyglądała na co państwo chcecie, ale nie na wróżkę. Krzyczę tedy, że się pali, ona w ciemności bierze mnie widocznie za złodzieja i krzyczy także, czyli — krzyczymy oboje. Nakoniec widząc, że niéma rady, chwytam w objęcia moją salaman-

drę i wynoszę ją omdlałą ze strachu, nawet nie oknem a drzwiami.

Jerzy.

Nie dodajesz tylko, że dach runął i że krokiew ud rzyła cię w rękę.

Drahomir.

Kiedy tak, zrywam tamy skromności i dodaję j szcze, że burmistrz miał do mnie mówkę. Zdaje mi si że mówił coś o pomniku, jaki mi mają postawić w rynk Niech mi jednak panie wierzą, że ogień ugasił Jerzy swymi ludźmi. Myślę, że powinni postawić dwa pomnik

Czeska.

Wiem, że panowie warciście jeden drugiego.

Stella.

Chwała Bogu, że nic gorszego nie spotkało pan panie Karolu.

Drahomir.

Spotkało mnie coś bardzo dobrego, bo współczuc pani.

Czeska.

I moje jest dla pana, dlatego, że z panem Jerzy mam na pieńku.

Jerzy.

Za co, droga pani?

Czeska.

Ej, panie Jerzy, panie Jerzy! *(do Stelli i Drahomira)* Idźcie-no państwo do księcia, a my tu rozmówimy się zaraz.

Stella.

Ej, mateczko, widzę, że chcesz bałamucić pana Jerzego.

Czeska.

Cicho psotnico! właśnie mi z tobą iść w zawody. Wiedz jednak, moja przelaszczko, że każda jesień miała przedtém wiosnę. No, idźcie państwo!

Stella.

(do Drahomira) Więc chodźmy. Papo jest w ogrodzie i boję się, czy mu znów nie gorzéj. Biéda, że tego doktora niéma!

SCENA III.

Pani Czeska — Jerzy — i później Stella.

Czeska.

Powinnabym łajać pana, panie Jerzy, tak jak wyłajałam moją dziewczynkę, za tajemnicę. Ale Stelka powiedziała mi już wszystko, więc mówię tylko: niech was Bóg błogosławi oboje!

Jerzy.

(całując ją w rękę) Dziękuję pani!

Czeska.

Wychowałam tę dziecinkę od najmniejszego robaczka i dziesięć lat byłam przy niéj, więc wiem jaki skarb pan bierze. Pan miałeś jéj powiedzieć, że twoje ręce zaszorstkie. Odpowiedziałam jéj zaraz: nie zaszorstkie, bo poczciwe. Stelka to jednak kwiatek bardzo delikatny; trzeba ją bardzo kochać i osłaniać. Ale pan to potrafi— nieprawda?

Jerzy.

Cóż pani odpowiem?. Ile jest w mocy ludzkiéj dać szczęścia téj świętéj dla mnie istocie, tyle go jéj chciałbym zapewnić.

Czeska.

Z całéj duszy mówię: Boże błogosław!

Jerzy.

Panna Stella uważa panią za matkę, więc i ja będę tak szczerze mówił jak z matką. Życie moje było bardzo trudne. Była chwila, w któréj życie to zawisło na nitce. Uratował mnie wtedy Karol, którego czczę i kocham jak brata, ale późniéj....

Czeska.

Mówiła mi Stella. Mieszkałeś pan daleko....

Jerzy.

Byłem wśród pustych stepów, pani, więc nawpół dzikim, wśród obcych, więc bardzo samotnym i za krajem utęsknionym i ze szlachetnego rodu ostatnim. A przytém,

dusza dumna, choć bita nieszczęściem jak młotem wstydzi się jęknąć i ból w sobie zamyka, a ztąd czuje umęczenie wielkie. Doprawdy, czasem nie było koło mnie jednéj żywéj istoty....

Czeska.

Bóg był, panie, nad gwiazdami.

Jerzy.

O! to co innego. Ale serce rzucone na ziemię, musi kogoś na ziemi kochać i miéć przy sobie. Więc całą tą potrzebą kochania, prosiłem Boga, by mi pozwolił kogoś kochać. Wysłuchał mnie i dał mi ją. Czy mnie pani rozumie teraz?

Czeska.

O, rozumiem!

Jerzy.

Jak szybko zmieniło się wszystko potém. Odziedziczyłem tu majątek i mogłem doń wrócić; potém poznałem księżniczkę i teraz kocham ją, jak spełnioną prośbę modlitwy, jak zapłatę za niedolę, jak moje serdeczne *wszystko* na świecie. O! bądź pani spokojna.

Czeska.

Będę. Doprawdy, że mi się chce płakać. Mój zacny panie Jerzy, bądź dobréj myśli. Pan jesteś wart Stelki i ona będzie z panem szczęśliwa. Moja złota, kochana Stelunia!....

Stella.

(*pokazując się we drzwiach ogrodowych i klaszcząc w ręce*) Doskonała nowina! doskonała nowina! Doktorek za chwilę przyjeżdża; jest już we wsi. Papo zaraz spokojniejszy i w lepszym humorze.

Czeska.

A nie trzpiotować mi się i nie biegać zaprędko! Aż cała różowa ze zmęczenia. Gdzie jest książę?

Stella.

W ogrodzie, pije kawę. Prosi właśnie, abyście państwo tam przyszli.

Jerzy.

Pójdźmy.

Stella.

(*idzie naprzód, potém się zatrzymuje*) Ale! Proszę nie mówić doktorowi, co się między nami stało.... Chcę mu to pierwsza powiedzieć. Papy prosiłam już o tajemnicę (*wychodzą*).

SCENA IV.

Józwowicz.

(*wchodzi przez drzwi główne*) Janie! rzeczy moje na górę, a paczkę, którą zostawiłem w przedsionku, odesłać umyślnym do pana Antoniego, sekretarza rady powiatowéj.

Służący.

(*kłaniając się*) Słucham pana doktora! (*wychodzi*).

Józwowicz.

(*posuwając się na przód sceny*) Nakoniec!.. po trzech miesiącach niebytności... Jak tu zawsze cicho i spokojnie... Za chwilę powitam ich jako przyszły poseł... Sześć lat rzucałem w tę dzielącą nas przepaść pracę żelazną, nocy bezsenne, naukę, sławę, a teraz... zobaczymy (*podchodzi ku drzwiom ogrodu*) Otóż idą już—nie zmieniła się nic.

SCENA V.

(Przez drzwi ogrodowe wchodzą Stella, pani Czeska, obok nich Jerzy, za nimi Drahomir pod rękę z księciem Starogrodzkim).

Stella.

A! nasz doktor! nasz kochany doktorek! Jak się pan ma, panie Stanisławie? Stęskniliśmy się już do pana.

Czeska.

(*kłaniając się chłodno*) Szczególniéj książę....

Józwowicz.

(*całując rękę Stelli*) Dobry wieczór, księżniczko! I mnie pilno było już wrócić. Przybywam na dłuższy czas odpocząć trochę. A! i książę! Jakże tam ze zdrowiem?

Książę.

(*ściskając go*) Kochany chłopcze! Słabym, słabym! Doskonaleś zrobił, żeś przyjechał. Obaczysz sam zaraz, co się ze mną dzieje.

Józwowicz.

Teraz może książę zechce poznajomić mnie z resztą towarzystwa.

Książę.

A prawda. Doktor Józwowicz, minister moich spraw wewnętrznych. Dobrze powiedziałem — co? bo przecie pilnujesz mego zdrowia. Hrabia Karol Drahomir.

Drahomir.

Nazwisko pana już dziś nie obce nikomu, więc właściwie, ja tylko powinienbym się przedstawić.

Józwowicz.

Panie...

Książę.

(*przedstawiając*) Pan Jerzy Pretwic, nasz sąsiad i... (*Stella daje znak ojcu*) i tego... chciałem powiedzieć, i tego...

Jerzy.

Jeśli się nie mylę, i kolega pański ze szkół.

Józwowicz.

Nie chciałem przypominać się pierwszy.

Jerzy.

Witam więc serdecznie dawnego kolegę. Dawne to i czasy, ale żyliśmy blizko. Prawdziwie, szczerze się cieszę, zwłaszcza po tém co tu o panu słyszałem.

Drahomir.

Jako o dobrym duchu tego domu.

Stella.

O, tak!

Książę.

Czekajcie, niechno ja swoje o nim powiem.

Jerzy.

Ileżto razy pierwszy uczeń Józwowicz, odrabiał zadania za Pretwica.

Józwowicz.

Szczęśliwą pan ma pamięć!

Jerzy.

Szczęśliwą, kolego, bo pamiętam także, że wówczas nie mówiliśmy sobie wzajemnie, pan. Więc jeszcze raz: witam cię serdecznie Stanisławie.

Józwowicz.

Nawzajem.

Jerzy.

Ale pamiętam, że po skończeniu szkół poszedłeś na prawnika.

Józwowicz.

Potém zostałem także doktorem medycyny.

Książę.

No, siadajcie. Czy będziecie stali? Jan! sam tu! światła!

Stella.

Jakto dobrze, że panowie się znają.

Józwowicz.

Szkolna ławka jak biéda, łączy ludzi. Ale potém pozycya ich rozdziela. Jerzy miał świetny los zapewniony, ja zaś musiałem go szukać.

Książę

A szukał i on, ale guzów.

Drahomir.

W dwóch częściach świata.

Czeska.

To prawdziwie po męzku.

Józwowicz.

Ha! szedł za swym instynktem. Jeszcze w szkołach ujeżdżał konie, strzelał, rąbał się.

Jerzy.

Lepiéj niż uczył?...

Józwowicz.

(*śmiejąc się*) Tak!... Zwaliśmy go hetmanem, bo téż i hetmanił nam w naszych wojnach studenckich.

Drahomir.

Jerzy, poznaję cię...

Czeska.

Ale teraz myślę, że przestanie wojować.

Stella.

Kto wié?...

Jerzy.

Niezawodnie, pani.

Józwowicz.

Co do mnie, byłem najgorszym z jego szeregowych: nie czułem nigdy smaku w takich rozrywkach.

Książę.

Bo téż to rozrywki szlacheckie nie doktorskie.

Józwowicz.

(*wesoło*) Już zaczynamy się kłócić! Mój książę, wy się szczycicie, że wasi przodkowie—rycerze zabijali tłumy ludzi: ażeby książę wiedział, ilu ja już mojemi lekarstwami zabiłem! Zaręczam, że żaden z przodków waszéj książęcéj mości nie poszczyci się taką liczbą!

Drahomir.

Brawo! doskonale!

Książę.

Co ten niegodziwiec gada! i on jest moim doktorem.

Stella.

Papo! doktorek żartuje.

Książę.

Już ja mu dziękuję za takie żarty. Ale świat się teraz przewraca, to pewna,

Józwowicz.

E, książę! pożyjemy jeszcze ze sto lat! (*do Jerzego*) Pójdź, opowiedz mi, co się z tobą działo. Państwo już znają pewno twoje przygody, a dla mnie one nowe (*odchodzą ku oknu*).

Książę.

Nie uwierzycie, jakim ja nieszczęśliwy, że się bez tego niegodziwca obejść nie mogę. To syn kowala ze Stanisławowa. Oddawałem go do szkół, bom chciał zrobić z niego oficyalistę, a potém on sam oddał się do uniwersytetu...

Drahomir.

I jest podwójnym doktorem. Rozumny człowiek, dość spojrzéć...

Stella.

Ach! i jaki.

Czeska.

Taki rozumny, że aż się go boję.

Drahomir.

Ale książę musi być rad?

Książę.

Rad, rad!... W głowie mu przewrócili, zrobili z niego jakiegoś demokratę czy sankiulota. Tylko, że dobry

doktor, a jam słaby. Brak mi soków w żołądku. (*do Drahomira*) Wiedziałeś o tém?

Drahomir.

Dawniéj już książę skarżył się...

Czeska.

Od dwudziestu lat!

Książę.

Moja Czesiu!... A to zgryzoty i służba publiczna stargały mi zdrowie.

Czeska.

Co tam! książę zdrów.

Książę.

(*gniewliwie*) Powiadam żem chory. Stelka! jaṁ chory—co?

Stella.

Teraz papie będzie natychmiast lepiéj.

Książę.

Bo téż on jeden utrzymuje mnie na nogach. Stella także byłaby umarła na serce, gdyby nie on.

Drahomir.

Jeśli tak, to to człowiek bez ceny.

Stella.

O! winniśmy mu wieczną wdzięczność.

Książę.

(*przypatrując się Jerzemu*) On i Pretwicowi będzie potrzebny. Stelka—co? będzie potrzebny?

Stella.

(*ze śmiechem*) Papo, zkądże ja mogę wiedzieć?

Drahomir.

Doprawdy, zazdroszczę nieraz tym żelaznym ludziom, idącym w świat przebojem. W téj walce wyrabiają w sobie siłę, która w nas słabnie i zanika, bo nic jéj nigdy nie podsyca. Może i my jesteśmy z dość szlachetnego metalu, ale nas przetrawia rdza: oni hartują się w życiu. Jest-to smutna konieczność.

Czeska.

A pan Jerzy?

Drahomir.

Jerzy także przeszedł wiele. Jest jednak między nimi jakaś różnica, którą się czuje, choć określić jéj trudno. Spojrzyjcie państwo na tych dwóch ludzi. Gdy wichry wieją, Jerzy opiera się im jak stuletnie drzewo, a taki człowiek jak doktor opanowywa je i każe im popychać łódź swoję. Jest w tém jakaś większa zdolność do życia, więc i wynik o tyle łatwy do przewidzenia, o ile drzewo, choć silne, im starsze, im bardziéj burzami stargane, tém musi uschnąć prędzéj.

Książę.

Nieraz mówiłem, że schniemy jak stare drzewa. Jakaś tam inna gęstwina wyrasta, ale to tylko krzaki. Jam téż już wysechł i schudł przynajmniéj na trzy palce.

Stella.

Kto jest dobry, panie Karolu, ten ma prawo do życia; zatem—nienależy wątpić o sobie.

Drahomir.

Ja też nie wątpię, choćby dlatego, że poeta mówi: Świętym jest na ziemi, kto umiał zawrzéć przyjaźń.... (*kłaniając się Stelli*) ze świętemi.

Stella.

(*grożąc*) Jeśli nie zdobył ich przyjaźni przez pochlebstwa.

Drahomir.

Niech mi tylko będzie wolno nie zazdrościć doktorowi.

Stella.

Przyjaźń nie jest wyłączną, a choć doktora uważam jak brata....

Książę.

Co, Stelka! co ty pleciesz? On taki twój brat, jak ja radykał. Ja go niecierpię, tylko się obejść bez niego nie mogę.

Czeska.

Gdzietam książę kogo niecierpi!

Drahomir.

(*z uśmiechem*) I za cóżby!

Książę.

Za co? Czy nie mówiłem? Robi z nami co chce, rozporządza się w całym domu jak chce. Nie wierzy w nic, tylko w jakichś tam — w kogo, to Stelka — co? A ambitne to przytém jak licho. Już został profesorem akademii jakby jaki duchowny, a przytém stara się podobno o mandat poselski. Hę! słyszycie? On będzie posłem, zatém Jaśnie Wielmożnym! Ale nie byłbym Starogrodzkim, gdybym na to pozwolił. (*głośno*) Józwowicz!

Józwowicz.

(z *pod okna*) Co książę rozkaże?

Książę.

Czy to prawda, że ty się starasz o mandat?

Józwowicz.

Do usług księcia.

Książę.

Pani Czeska? słyszałaś pani? Nie przewracaż się teraz świat?—Hę? Józwowicz!

Józwowicz.

Co, książę?

Książę.

A może ty jeszcze i ministrem zostaniesz?

Józwowicz.

Może.

Książę.

Słyszeliście? I ty może myślisz, że ja tobie będę mówił: Jego Ekscelencya?

Józwowicz.

Tąkby wypadało: wyższy stopień potrzeba uczcić.

Książę.

Biorę was na świadki. Józwowicz! czy chcesz, żeby mnie żółć zalała?

Józwowicz.

Niech się książę uspokoi. Moja Ekscelencya zawsze będzie pilnować Jego oświeconéj żółci.

Książę.

A, prawda. Iritacya mnie szkodzi. Co — Józwowicz? Szkodzi?

Józwowicz.

Szkodzi na żółć, ale daje apetyt. (*obaj z Jerzym zbliżają się do rozmawiających*).

Stella.

O czémże panowie mówili?

Józwowicz.

Słuchałem, księżniczko, opowiadań Jerzego. Dziwne, straszne rzeczy! Jerzy popełnił tę omyłkę, że przyszedł na świat o dwieście lat zapóźno: Bayardom źle się teraz dzieje na świecie.

Czeska.

Nad wszystkiemi jest Opatrzność!

Drahomir.

I ja w to wierzę.

Józwowicz.

Gdybym był matematykiem, nie przecząc panu, powiedziałbym tylko, że ponieważ w wielu wypadkach nie wiadomo, czemu się równa X., należy sobie samemu radzić.

Książę.

Co on powiada?

Stella.

O, doktorku! proszę nie mówić tak sceptycznie, bo nie z papą, ale ze mną będzie wojna.

Józwowicz.

Mój sceptycyzm tam się kończy, gdzie zaczynają się słowa pani—więc zdaję się na łaskę.

Stella.

Jaki grzeczny.... pan poseł.

SCENA VI.

Ciż — Służący.

Służący.

Herbata na stole!

Jerzy.

Ja księztwa muszę pożegnać.

Stella.

Jakto? Zawsze musimy pierwsi przypominać, że już późno, a dziś pan tak wcześnie nas opuszcza.

Józwowicz.

(*n. s.*) Dawny kolega na poufałéj tu stopie.

Jerzy.

Wybacz, pani! Mnie tu tak dobrze, jak nigdzie, ale dziś koniecznie muszę być w domu. Zresztą zostawiam Drahomira, by mnie zastąpił.

Stella.

Gniewać się, byłoby to wbijać pana w zarozumiałość; proszę się jednak wytłómaczyć.

Jerzy.

Pogorzelcy, pani, są u mnie. Muszę rozporządzić, by mieli co jeść i gdzie się przespać.

Czeska.

(*n. s.*) Umié się zrzec przyjemności dla obowiązku. (*głośno*) Stelko!

Stella.

Słucham, mateczko!

Czeska.

My jutro zajmiemy się składką dla nich i zawieziemy im trochę odzieży.

Józwowicz.

A więc i ja pojadę z paniami. Będzie to pierwszy wypadek, że nie nędza doktora, ale doktor nędzy poszuka.

Czeska.

Doskonale!

Książę.

(*stukając laską*) Pretwic!

Jerzy.

Co książę rozkaże?

Książę.

Mówisz, że ta hołota bardzo biédna?

Jerzy.

Bardzo biédna.

Książę.

Mówisz, że będą marli z głodu—co?

Jerzy.

Prawie, książę.

Książę.

Dobrze im tak. To Bóg karze ich za to, że wybierają na posłów (*pokazując na Józwowicza*) takich—ot!

Józwowicz.

(*z ukłonem*) Jeszcze mnie nie wybrali.

Stella.

Papo!

Książę.

Stelka, co ja chciałem mówić? Aha! Pretwic!

Jerzy.

Słucham księcia.

Książę.

Powiedziałeś że będą marli z głodu?

Jerzy.

Powiedziałem: prawie.

Książę.

Dobrze! Idźże do kasyera Florkiewicza, żeby dał tysiąc reńskich dla téj hołoty. (*stuka laską*) Niech wiedzą, że ja nie pozwalam obok mnie nikomu umierać z głodu.

Stella.

Drogi, kochany ojcze!

Drahomir.

Wiedziałem, że się tak skończy.

Józwowicz.

Istotnie, to po książęcemu!

Książę.

A tak, panie Józwowicz. *Noblesse oblige!* Rozumiesz Jego Ekscelencyo, panie Józwowicz?

Józwowicz.

Rozumiem, Jaśnie Oświecony Książę.

Książę.

(*podając rękę pani Czeskiéj*) A teraz chodźmy na herbatę (*Jerzy żegna się i odchodzi*).

Józwowicz.

Ja także muszę państwa pożegnać. Jestem zmęczony, a przytém mam napisać kilka listów.

Książę.

Dalibóg, myślałby kto, że już został ministrem. A przyjdź-że jeszcze zobaczyć mnie, bo bez ciebie nie usnę.

Józwowicz.

Przyjdę, książę.

Książę.

(*mrucząc*) Człowiek zaraz zdrowszy i weselszy, jak tylko ten Robespierre przyjechał.

Stella.

Panie Stanisławie, niech się pan zatrzyma jeszcze chwilkę. Ja nie piję herbaty, więc tylko papę posadzę i zaraz powrócę. Mam z panem pomówić.

Józwowicz.

Na usługi księżniczki.

SCENA VII.

Józwowicz sam—potém Stella.

Józwowicz.

Co tu robią ci ludzie, i co ona chce mi powiedzieć? Czyżby?... Ale nie! To niemożliwe. Jestem jakiś niespokojny, ale przecie za chwilę wszystko się wyjaśni.... Ach, jakiż ze mnie głupiec! Ona chce po prostu opowiedzieć, co wié o zdrowiu księcia. To ten księżycowy wieczór tak mnie rozstraja, że mi tylko wziąć gitarę w rękę.

Stella.

(*wchodząc*) Panie Stanisławie!

Józwowicz.

Jestem tu, księżniczko!

Stella.

Starałam się, żeby pan długo nie czekał. Siądę tu koło pana i pogadamy, tak jak to dawniéj, gdy byłam mała jeszcze i słaba, a pan mnie leczył. Pamiętam, że nieraz zdarzało mi się usnąć, a pan mnie na ręku odnosił śpiącą.

Józwowicz.

Pieszczota całego domu była bardzo słaba wówczas.

Stella.

A dziś, jeśli jest zdrowa, to dzięki panu tylko; jeśli coś umié, to również dzięki panu. Jestem sobie rośliną wypielęgnowaną ręką pana.

Józwowicz.

Zatem i zasługą i chlubą moją największą. W życiu jakie pędziłem, mało bywa chwil cichych i ciepłych— a spokoju zaznałem w tym domu tylko.

Stella.

Zawsze pan równie dobry—więc téż i ja uważam pana jakby starszego brata. Przecie pan się o to nie gniéwa?

Józwowicz.

Takie słowa pani, to jedyny uśmiech mego życia. Ja panią nietylko czczę, ale i kocham bardzo głęboko— jak siostrę, jak dziecko własne.

Stella.

Dziękuję. W niczyj rozum i prawość nie ufam tyle, ile w pana, i dlatego chciałam pomówić o ważnych rzeczach. Spodziewam się nawet, że to co powiem, ucieszy pana, jak i mnie cieszy, że pan wynosi się coraz wyżéj nad zwyczajnych ludzi. Czy to już pewne, że pan ma zostać posłem?

Józwowicz.

(*niespokojnie*) Nie! to tylko prawdopodobne. Ale mów pani o tém, co jéj dotyczy.

Stella.

Więc... Ach, Boże!... Pan jednak nie opuści papy: prawda?

Józwowicz.

(*oddychając głęboko*) O! pani chce mówić o zdrowiu księcia.

Stella.

Nie. Wiem, że papo ma się teraz lepiéj. Doprawdy, nie spodziewałam się, że to tak trudno... Boję się trochę pańskich surowych sądów o ludziach.

Józwowicz.

(*z przymusowym spokojem*) Nie bierz jednak pani na tortury mojéj ciekawości!

Stella.

A więc zamknę oczy i powiem, choć to żadnéj pannie nie łatwo. Pan zna oddawna pana Jerzego?

Józwowicz.

(*coraz niespokojniéj*) Znam, pani.

Stella.

Jak on się panu podoba?

Józwowicz.

Co pani zależy na mojém zdaniu?

Stella.

To... to mój narzeczony.

Józwowicz.

(*wstając*) Narzeczony?!....

Stella.

Mój Boże! Więc się panu nie podoba mój wybór?

(*chwila milczenia*).

Panie Stanisławie....

Józwowicz.

Chwilę tylko... chwilę... Wybór pani, jeśli wyszedł z jéj serca i woli, musi być dobry... Tylko... była to dla mnie wiadomość... niespodziana—więc... przyjąłem ją może zażywo — zbyt żywo. Ale nie mogłem jéj przyjąć obojętnie, przez życzliwość dla.... domu państwa. Zresztą moje zdanie nic tu nie znaczy. Owszem — winszuję pani i życzę szczęścia—księżniczko. Życzę szczęścia, serdecznie życzę szczęścia.

Stella.

Będę teraz spokojniejsza: dziękuję panu.

Józwowicz.

Wróć pani do papy. Szczęście jakie spadło na dom książęcy, i mnie trochę zbiło z nóg, bo spadło zbyt niespodzianie. Potrzebuję ochłonąć — potrzebuję oswoić się z tą myślą. W każdym razie winszuję wyboru—wróć pani do papy.

Stella.

Dobranoc panu. (*we drzwiach zatrzymuje się chwilę, patrzy na Józwowicza niespokojnie i wychodzi*).

SCENA VIII.

Józwowicz.

(*sam*) Zapóźno! zapóźno!...

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU PIĘRWSZEGO.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia tenże sam salon.

SCENA I.

Józwowicz. — Antoni.

Józwowicz.

Tutaj, Antoni, tutaj. Będziem się tu mogli rozmówić swobodnie, bo mój pokój odnawiają. Co przynosisz z miasta?

Antoni.

Dobre nowiny. Za godzinę przybędzie tu deputacya wyborców. Trzeba, żebyś im co powiedział — rozumiesz?... Tak coś o oświacie, drogach, mostach, niesłusznych podatkach od soli i mlewa. Ale przecie ty to wiesz lepiéj odemnie.

Józwowicz.

Wiem, wiem; a jak tam mój program?

Antoni.

Wrażenie ogromne — winszuję ci. Rzecz napisana z chłodem, powagą i naukową ścisłością. Cyfry choć kłują

w oczy, nie znoszą repliki. Dzienniki konserwatywne wściekają się, — tém bardziéj, że nie pozostaje im nic innego, jak plwać.

Józwowicz.

To dobrze. Co daléj?

Antoni.

Przed trzema dniami byłeś jednak na przedmieściu zachwiany, ale dowiedziałem się o tém, zebrałem wyborców i palnąłem mówkę: „Obywatele! — powiadam w końcu—na wszystkie wasze i społeczne biédy, znam tylko jedno lekarstwo: zowie się Józwowicz! Niech żyje postęp!"— Uciąłem także trochę konserwatystów, ale umiarkowanie: nazwałem ich tylko pasibrzuchami....

Józwowicz.

Nie można powiedzieć—jak na ciebie, było to umiarkowanie. Ty jesteś dzielny człowiek, Antoni. Jest więc nadzieja zwycięztwa?

Antoni.

Prawie pewna. Zresztą, czy teraz zwyciężymy, czy nie — przyszłość przed nami. A wiesz dlaczego? bo pominąwszy wszystkie wrzaski wyborcze, my jednak, zszedłszy się tu we dwóch i mówiąc o naszych sprawach, nie potrzebujemy sobie parskać śmiechem w oczy jak rzymscy augurowie. Postęp i prawda są po naszéj stronie, a każdy dzień robi nową szczerbę w tym zbutwiałym murze, który kopiemy. My tylko pomagamy wiekom, więc musimy zwyciężyć. Mówię chłodno: ten lud nasz, ci nasi wy-

borcy, to jeszcze owce, ale my chcemy z owiec ludzi zrobić i w tém nasza siła. Przeciwny obóz będzie wył, wściekał się, obrzucał nas błotem, podkopywał, czernił, ale i my mamy ostre zęby. Po naszéj stronie słuszność, inteligencya, nauka—po ich herby, które myszy jedzą. Co do mnie, gdybym nie czuł, że w zasadach moich leży prawda i postęp, pierwszy plunąłbym na wszystko i poszedł do klasztoru.

Józwowicz.

A jednak jeśli teraz nie wygramy, to będzie fatalne, Antoni.

Antoni.

Jestem pewny, że pobijemy. Między nimi tam popłoch, jakby już po klęsce! Tyś straszny dla nich kandydat! Ale jeden tylko współzawodnik niebezpieczny: Husarski, szlachcic bogaty i popularny. Drugi, Miliszewski, to dla ciebie korzyść. Rozdzielili się tylko stawiając jego kandydaturę. Sam téż im to trochę podszepnąłem.

Józwowicz.

Raz dostawszy się do sejmu, postaram się o wpływ.

Antoni.

I zagarniesz go. Wierzę i dlatego nie żałuję pracy. Cha! cha! „Zabrali nam już wszystko — mówił wczoraj w klubie hrabia Hornicki — znaczenie, pieniądze, nawet dobre maniery."—No, ja tam przynajmniéj nie zabrałem im dobrych manier. Niech ich tam dyabli wezmą!

Józwowicz.

Istotnie. Dobrych manier im nie zabrałeś.

Antoni.

Ale! mówią w mieście, że twój książę dał tysiąc reńskich na pogorzelców. To może sprawić złe wrażenie dla nas. Trzeba, żebyś i ty co zrobił.

Józwowicz.

Zrobiłem co należało.

Antoni.

A teraz, powiem ci jeszcze... Uważaj-no, Józwowicz. Wczoraj więc... Ale cóż to jest u licha? ja mówię, a ty myślisz o czém inném.

Józwowicz.

Wybacz. Dotknęło mnie wielkie nieszczęście osobiste. Nie mogę tak swobodnie myśléć jak zwykle.

Antoni.

Cóż znowu?

Józwowicz.

Nie zrozumiałbyś, Antoni!

Antoni.

Proszę cię! jestem furmanem wozu, na którym jedziesz. Powinienem wiedzieć o wszystkiém.

Józwowicz.

Nie. Nic ci na tém nie zależy.

Antoni.

Ale zależy na twojéj energii, którą zdajesz się tracić. Nie potrzebujemy Hamletów.

Józwowicz.

(ponuro) Mylisz się, Antoni. Nie dałem za wygraną.

Antoni.

Widzę. Zęby jakoś ściskasz mówiąc o tém. Zresztą niech mnie powieszą, jeśli w twoim charakterze leży dawać za wygrane.

Józwowicz.

Może być że nie. Pracuj bym został posłem. Dwie gry przegram, jeśli ty przegrasz.

Antoni.

Musieli ci dyablo przypiec, bo strasznie syczysz.

Józwowicz.

Stara historya. Chłop sześć lat nie sypiał, nie jadał, ręce okrwawił, grzbiet zgarbił, a nosił deski na chałupę; po sześciu latach przyszedł pan, kopnął nogą w chałupę i powiedział: tu stanie mój zamek. Jesteśmy dość sceptyczni, żeby się śmiać z tego.

Antoni.

To był prawdziwy pan!

Józwowicz.

Pan z panów: z głową tak wyniosłą, że i nie zauważył, co mu tam pod nogą pękło.

Antoni.

To historya w moim guście. Cóż chłop?

Józwowicz.

Wedle staréj tradycyi chłopskiéj, myśli o hubce i krzesiwie.

Antoni.

Królewska myśl! Doprawdy zbyt pogardzamy tradycyą. Są w niéj rzeczy bardzo zdrowe.

Józwowicz.

Dość. Mówmy o czém inném.

Antoni.

(*rozglądając się dokoła*) Stary dom i okazały? Coby to była za chałupa!

Józwowicz.

O czém mówisz?

Antoni.

O niczém. Józwowicz! czy stary książę ma córkę?

Józwowicz.

Tak. Alboż co?

Antoni.

(*śmiejąc się*) Hi, hi! Dalibóg, od twego nieszczęścia i twéj historyi zaleciało mnie damskiemi perfumami. Zwietrzyłem tu jakąś książęcą spódniczkę. Poza posłem jest Józwowicz, jak poza frakiem szlafrok. Witajże mi w szlafroku, zakochany pośle! Ach, jak tu pachną perfumy!

Józwowicz.

Sprzedaj na innym targu twoję domyślność. To sprawa osobista.

Antoni.

Albo i nie, bo to znaczy, że ty w sprawy ogólne kładziesz tylko pół duszy. To się na licho zdało. Patrz na mnie: szczują mnie jak psa po dziennikach, wyszydzają w komedyach, a ja o to nie dbam. Powiem ci więcéj! czuję, że pozostanę zawsze na dole, choć nie brak mi sił, ani inteligencyi. Mógłbym pokusić się o piérwsze miejsce w obozie, o buławę, a jednak tego nie robię. Dlaczego? bo znam siebie na wylot, bo wiem, że nie mam statku, powagi, taktu. Byłem i jestem świszczypałką, narzędziem, którém się posługują tacy jak ty, a które jutro może nogą kopną, gdy im przestanie być potrzebne. Ale miłość własna mnie nie zaślepia; o siebie nie dbam: pracuję dla moich przekonań i kwita. Z urzędu wypędzą mnie lada dzień, w domu u mnie często biéda, a choć kocham żonę i moje pędraki, mniejsza o wszystko. Gdy idzie gra, niech idzie, a gdy sprawa przekonań, będę dla niéj żył, agitował, burzył. Jam w to włożył całą duszę. A tobie staje w drodze jedna książęca spódniczka! Nie spodziewałem się tego po tobie, Józwowicz. Tfu! pluń na wszystko i chodź z nami.

Józwowicz.

Mylisz się, Brutusie. Nie pragnę męczeństwa, ale zwycięztwa; im zaś więcéj węzłów osobistych łączy mnie ze sprawą, tém gorliwiéj będę jéj służył: umysłem, sercem, czynem, wszystkiem co składa człowieka—nie rozumiesz?

Antoni.

Amen! Oczy mu błyszczą jak wilkowi... Poznaję cię.

Józwowicz.

Czego chcesz więcéj?

Antoni.

E! już niczego. Powiem ci tylko, że nasz program mówi: bij przeciwne zasady, nie ludzi.

Józwowicz.

Niechże twa dziewicza cnota się uspokoi: nie otruję nikogo.

Antoni.

Wierzę. Jednakowoż, jeszcze ci coś powiem: znam cię dobrze, cenię twoję energią, twoję naukę, twój rozum, ale—nie chciałbym ci stanąć na drodze.

Józwowicz.

Tém lepiéj dla mnie.

Antoni.

Zresztą jeśli chodzi o pąków, to mimo naszego programu, daruję ci ich.—Głów im przecie nie pourywasz!

Józwowicz.

Zapewne. Teraz wracaj i pracuj dla mnie, a raczéj dla nas.

Antoni.

Dla nas, Józwowicz. Nie zapominaj o tém.

Józwowicz.

Bez przysiąg nie zapomnę.

Antoni.

Więc jakże sobie tu z pankiem poradzisz?

Józwowicz.

Czy wymagasz zwierzeń?

Antoni.

Najprzód nie potrzebuję ich, bo w naszym obozie jest się dosyć domyślnym. Chodzi o córkę księcia i kwita. Ale mnie ciągle wraca myśl, że ty dla niéj możebyś i sprawę poświęcił. Pracując dla ciebie, odpowiadam za ciebie, więc bądźmy szczerzy.

Józwowicz.

Bądźmy szczerzy.

Antoni.

Zatém powiedziałeś sobie: wysadzę z siodła panka— i wysadź go. To twoja rzecz, ale ja jeszcze raz pytam: dla nas czy dla księżniczki chcesz zostać posłem?—to znowu moja rzecz!

Józwowicz.

Kładę ci kartę na stół. Ja, ty i my wszyscy nowi ludzie, mamy to do siebie, żeśmy nie lalki wycięte z papiéru i pomalowane jedną farbą. Jest w nas miejsce na przekonania, na miłość, na nienawiść, słowem, jak ci już mówiłem: na wszystko z czego się składa człowiek zupełny. Natura dała mi serce i prawo do życia, więc pragnę

szczęścia; dała mi umysł—więc służę wybranéj idei. Co to jedno drugiemu przeszkadza? Czemu księżniczkę przeciwstawiasz sprawie—ty człowiek trzeźwy i rozumny?—czemu frazesem chcesz zastąpić życie? Mam prawo do szczęścia i zdobędę je i będę umiał pogodzić życie z ideą, jak żagiel z okrętem. Tém pewniéj popłynę. Zrozumiéj mnie. W tém siła nasza, że umiemy godzić, i wyższość nad nimi—bo oni właśnie nie umieją żyć. Ile będę wart bez téj kobiéty—nie wiem. Nazwałeś mnie Hamletem. Możebym nim został, ale wy nie potrzebujecie Hamletów.

Antoni.

W głowie przewracasz mi jak w młynie i zdaje mi się znowu, że masz słuszność. Jednakowoż dwie walki będziesz prowadził zamiast jednéj i siły rozproszysz.

Józwowicz.

Nie!—sił mam dosyć.

Antoni.

Powiédz krótko: ona jest narzeczoną?

Józwowicz.

Tak.

Antoni.

I kocha narzeczonego?

Józwowicz.

Albo się łudzi.

Antoni.

W każdym razie nie kocha ciebie.

Józwowicz.

Jego naprzód muszę usunąć. — Tymczasem, ty leć i pracuj.

Antoni.

(*patrząc na zegarek*) Za chwilę przybędzie do ciebie deputacya.

Józwowicz.

Dobrze. Książę tu idzie z hrabiną Miliszewską i jéj synem, moim współzawodnikiem. Chodźmy.

SCENA II.

Książę — Stella — Pani Czeska — Hrabina Miliszewska — Jan Miliszewski — Podczaski — Hrabina.

Hrabina.

Więc mówię księciu, że taka rzecz w głowie się prawie nie chce pomieścić. Świat chyba teraz dziczeje zupełnie.

Książę.

Ja przecie to samo mówię, pani hrabino. Stella? czy ja tego nie mówię?

Stella.

O! bardzo często.

Hrabina.

(*z cicha do syna*) Siadaj koło księżniczki i baw ją, Jean, puszczaj się!

Jan.

Puszczę, maman!

Hrabina.

Ale to zuchwalstwo przeszło już miarę. Posłałam pana Podczaskiego do wyborców, a oni mówią: „nie potrzebujemy posłów bez głowy.“ Dziwi mnie tylko, że to i księcia nie oburza. Do czego to doszło i do czego dojdzie. Ja tu latam, biegam, kręcę się jak muszka, poruszam niebo modłami, a oni śmią stawiać przeciw kandydaturze mego syna, kandydaturę jakiegoś pana Józwowicza!

Książę.

Łaskawa pani, co ja mogę na to poradzić?

Hrabina.

I kto jest ten, ten pan Józwowicz?—doktor! Cóż to jest doktor? Jean ma wpływy, znaczenie, stosunki, koligacye; a on co? Zkąd się tu wziął, kto o nim kiedy słyszał! Doprawdy, nie mogę mówić spokojnie i myślę, że to chyba koniec świata się zbliża. Nieprawda panie Podczaski?

Podczaski.

(*z ukłonem*) Tak jest, pani hrabino dobrodziko! Gniéw boży!... nigdy tak często nie grzmiało.

Książę.

Grzmiało? pani Czeska—co? grzmiało?

Czeska.

Zwyczajnie, jak z końcem wiosny. Co tam!

Hrabina.

(*pocichu*) Jean, puszczaj się!

Jan.

Puszczam się, maman!

Hrabina.

Zobaczy książę, że oni Janka nie obiorą posłem jedynie przez nienawiść dla nas, na złość nam. Bo zresztą czy to Jean nie potrafiłby być posłem? czy to on nie skończył nauk w Metz? Mówią, że nie zna kraju i nie rozumié jakichś tam potrzeb. Tu przedewszystkiém trzeba nie pozwolić, by tacy Józwowicze znaczyli coś w kraju. Prawda, mój książę.

Książę.

Nie pozwólże mu pani, kiedy on sobie sam pozwoli.

Hrabina.

I otóż właśnie koniec świata, że tacy ludzie mogą sobie pozwalać co im się podoba. Śmią mówić, że Jean nie potrafiłby być posłem, a pan Józwowicz potrafi? Jean zawsze celował w naukach w Metz. Jean! wszakże celowałeś w naukach i talentach?

Jean.

Celowałem, maman!

Podczaski.

Koniec świata! Święte słowa pani hrabiny.

Stella.

Czemuż pan poświęcał się szczególnie?

Jean.

Ja, pani, studyowałem historyą herezyi.

Książę.

Studyował kogo, pani Czeska—co?

Hrabina.

Dotychczas nie miewaliśmy między sobą talentó
co oni nam ciągle wyrzucali, a przecie do dyplomacyi
trzeba niemałego talentu.

Podczaski.

Pan hrabia ma nawet i minę dyplomaty.

Książę.

(*n. s.*) No, dalibóg—niebardzo!

Czeska.

Pan hrabia jest małomówny i poważny.

Jan.

Nie, pani. Czasem dosyć mówię.

Hrabina.

Co do mnie z góry zapowiadam, że jeśli Janek
nie utrzyma, wyjeżdżam z kraju.

Podczaski.

I sami sobie winę przypiszą.

Hrabina.

Ale jeśli Janek się nie utrzyma, to będzie księ
wina.

Książę.

Moja?

Hrabina.

Jak książę może pozwolić takiemu panu Józwowiczowi, by współzawodniczył z osobami z towarzystwa? jak książę może go trzymać?

Książę.

Już to co prawda, to nie ja jego, ale on mnie trzyma, bo gdyby nie on, to jabym już dawno (*robi znak ręką*).

Hrabina.

Tembardziéj. Więc on księciu w domu potrzebny, a jak będzie siedział w mieście, kto będzie księcia doglądał?

Książę.

A prawda, Stelka? a prawda?

Hrabina.

Książę musi mu zakazać. Nie puszczę księcia, póki mi nie przyrzeknie, że mu zakaże. To niesłychana rzecz! Książę ma przecie prawo, on jest u księcia, książę go wychował, więc ma nad nim władzę.

Stella.

Droga pani, doktor jest przyjacielem papy. Papa może go tylko prosić, a i to nie wiem, czy byłoby skuteczne.

Hrabina.

(*z gniéwem*) Do tego więc doszło? Więc książę będzie go popierał, więc zostanie narzędziem w jego ręku i przez niego będzie służył demokracyi?

Książę.

Co? ja służę demokracyi? Stelka—słyszysz? ja służę demokracyi? (*stuka laską*).

Hrabina.

Tak wszyscy powiedzą. Pan Józwowicz jest kandydatem demokracyi.

Książę.

Ale ja nie jestem, i kiedy tak, to i jemu nie pozwolę. Mam już tego dosyć, niechże się raz skończy. Już mi te demokracye pana Józwowicza ością stanęły. Niech nie mówią, że jestem narzędziem demokracyi! (*dzwoni—wchodzi służący*) Prosić tu doktora natychmiast.

Hrabina.

Otóż teraz książę jest prawdziwym księciem.

Książę.

Ja służę demokracyi!

Stella.

Papo! papo!

Hrabina.

A my tymczasem pożegnamy księcia. Jean zabieraj się. Adieu droga Stello, adieu moje dziecko. (*do syna*) Pocałuj księżniczkę w rękę!

SCENA III.

Ciż — Józwowicz.

Józwowicz.

Przepraszam księcia, jeślim się spóźnił, ale przybyła do mnie deputacya, musiałem z nią skończyć!

Hrabina.

Co, deputacya tu jest? Jean, puszczaj się!

Józwowicz.

(*z ukłonem*) Niech się hrabia spieszy, bo odjadą!

Podczaski.

Padam do nóg Jaśnie Oświeconego Księcia (*Hrabina, Jan i Podczaski wychodzą—za niemi Stella i pani Czeska*).

SCENA IV.

Józwowicz—Książę.

(*chwila milczenia*).

Książę.

(*stukając laską*) Oświadczam panu, że mu zakazuję starać się o mandat.

Józwowicz.

A ja, że nie posłucham zakazu.

Książę.

Pan mnie do wściekłości doprowadzasz.

Józwowicz.

Książę mi przyszłość zamykasz.

Książę.

(*w pasyi*) Ja pana od małego wychowałem.

Józwowicz.

Ja księcia—zachowuję.

Książę.

Ja dla pana byłem jakby ojcem.

Józwowicz.

Książę! pomówmy spokojniéj. Jeśli książę byłeś dla mnie ojcem, ja jestem dlań dotychczas z przywiązaniem synowskiém. Ale ojciec nie powinien synowi zamykać drogi do publicznego zawodu.

Książę.

Publiczne zawody nie dla takich jak waspan.

Józwowicz.

(*śmiejąc się*). Przed chwilą nazwałeś mnie książę synem.

Książę.

Jakim synem, co za synem!

Józwowicz.

Jakie synowstwo, takie posłuszeństwo!

Książę.

A! wykręca się, wykręca! Stelka? A! niéma jéj!

Józwowicz.

Mój książę! gdybym istotnie był waszym synem, miałbym tytuł, majątek, słowem wszystko, co książę posiadasz; ale jako człowiek biédny, sam sobie muszę torować drogę i nikt niéma prawa mi jéj tamować, zwłaszcza, jeśli jest prosta i uczciwa. (*śmiejąc się*) Chyba książę zechcesz mnie adeptować, żeby ród nie zaginął.

Książę.

Co ty pleciesz, Józwowicz, co ty pleciesz!

Józwowicz.

Tylko żartuję. No, drogi książę, przestańmy się irytować, bo to nam szkodzi.

Książę.

A prawda! irytacya mnie szkodzi. Czemu ty mi u dyabła, chłopcze, nie ustąpisz z tém poselstwem?

Józwowicz.

Trzeba się postawić w mojém położeniu. To moja przyszłość.

Książę.

A mnie tymczasem napadają tu, irytują i jeszcze do łóżka zapędzą. Zamłodu byłem w tylu bitwach i nie bałem się... Mogę pokazać krzyże; nie bałem się śmierci w bitwie, ale te wasze łacińskie choroby..... Czegóż się tak na mnie patrzysz?

Józwowicz.

Patrzę jak zwykle, a co do choroby, powiem księciu, że więcéj jéj w wyobraźni, niż w rzeczywistości. Organizm jest silny, i z moją pomocą będziem żyć Matuzalowe lata.

Książę.

Jesteś pewny: co?

Józwowicz.

Najpewniejszy.

Książę.

Poczciwy chłopiec! A nie odstąpisz-że ty mnie?

Józwowicz.

Może książę być pewny.

Książę.

No, to bądźże sobie posłem, czy dyabłem. Stelka!— a! niéma jéj! Dalibóg, że ten Miliszewski, widzisz, głupi: co?

Józwowicz.

Nie mogę przeczyć.

SCENA V.

Ciż—Stella i pani Czeska.

Stella.

Wchodzę, bom się obawiała, żeby panowie nie posprzeczali się zanadto. Cóż, jak się skończyło?

Książę.

A cóż, ten niegodziwiec zrobił co chciał: mało brakło, a kazałby mi się jeszcze prosić, żeby przyjął mandat.

Józwowicz.

Istotnie, książę raczył zgodzić się na moje zamiary, i pozwolił starać mi się o wybór.

Książę.

Tak, pozwoliłem.

Stella.

(*grożąc*) Ej doktorku!

Czeska.

Ile to zabiegów i sporów! Czy to nie lepiéj, żeby jeden drugiemu ustąpił. Przecie przysłowie nawet mówi: mądry głupiemu ustąpi.

Józwowicz.

Trzymaliśmy się dotąd téj zasady we wszystkich naszych sprawach.

Stella.

Niech papa zejdzie teraz do ogrodu. Pan Jerzy i pan Karol przyjechali. Czekają przy łodziach, bo mamy jeździć po jeziorze. Pan Karol ma tu przyjść po mnie, jak wszystko będzie gotowe.

Książę.

Pani Czeska, więc chodźmy (*odchodzą*). Widzi pani, ten Miliszewski... (*odchodzą*).

SCENA VI.

Józwowicz—Stella—późniéj Drahomir.

Stella.

Jak tam zdrowie ojca, kochany doktorze?

Józwowicz.

Jak najlepiéj. Ale pani naprawdę pobladła.

Stella.

O! jam zdrowa.

Józwowicz.

Więc chyba trochę smutna.

Stella.

I to nie. Może tylko poważniejsza niż dawniéj.

Józwowicz.

Jak zwykle—narzeczona.

Stella.

Tak...

Józwowicz.

Jednakże trzebaby się bawić i rozrywać, bo zdrowie tego wymaga.

Stella.

Doprawdy, nie pragnę zabawy.

Józwowicz.

Jeśli nie zabawy, to choć wesołości... Wszyscy tu jesteśmy zbyt zgorzkniali dla pani; często nawet, może nie umiemy pani zrozumiéć.

Stella.

Wszyscy aż nadto jesteście dobrzy.

Józwowicz.

A przynajmniéj troskliwi. Jeśli pani ma chwilkę czasu, siądźmy i pomówmy. Niech ta troskliwość wytłómaczy moję śmiałość. Z powagą narzeczonéj chodzi zwykle pogoda i szczęście. Kto bez żalu całe serce oddaje, ten nie może tęsknić za niczém i jasno patrzy w przyszłość.

Stella.

W każdéj przyszłości jest coś, co chwilami przejąć może niepokojem najodważniejszą duszę.

Józwowicz.

Co takiego, pani?

Stella.

Choćby to, że ta przyszłość nadejdzie dopiéro.

Józwowicz.

Nazywałaś mnie nieraz pani sceptykiem, a jednak, to ja mówię: kto kocha, ten wierzy.

Stella.

Więc co, doktorze?

Józwowicz.

Więc kto wątpi....

Stella.

Panie Stanisławie....

Józwowicz.

Ja nie badam, księżniczko. Chwilami widzę, że pogoda znika z twarzy pani, a zatém dopytuję jak doktor, jak przyjaciel. Uspokój mnie pani. Proszę pamiętać, że pyta człowiek, którego nazwałaś pani także bratem, i który sam jeden wié, jak mu jest drogie szczęście takiéj siostry. Nie mam nikogo na świecie: wszystkie uczucia rodzinne związałem z domem waszym. I ja mam serce,

które się troska. Uspokój pani moje obawy: oto wszystko czego żądam.

Stella.

Jakie obawy? Ja nie wiem...

Józwowicz.

Obawy, których wypowiedzieć prawie nie śmiem. Od czasu jak tu jestem, oczy moje nie odwracają się od pani, i im więcéj się wpatruję, tém więcéj się lękam. Pani boisz się przyszłości, pani nie patrzysz w nią z ufnością i nadzieją.

Stella.

Niech mi pan pozwoli odejść....

Józwowicz.

Nie, pani. Ja mam prawo pytać, a jeśli pani nie śmiesz spojrzeć w głąb swego serca, to mam prawo i powiedzieć, że to słabość i brak odwagi; a taką grzeszną słabość płaci się późniéj własném i cudzém szczęściem. I ja cierpię, pytając, ale trzeba—trzeba. Słuchaj mnie, pani, w kim jest choć cień wątpienia, ten myli się co do natury swych uczuć.

Stella.

Doktorze!... Alboż można się tak mylić?

Józwowicz.

Można. Czasem wziąć można sympatyą, współczucie i litość za miłość.

Stella.

Okropna pomyłka!!...

Józwowicz.

Którą poznaje się wówczas, gdy serce rwie się w inną stronę. Wówczas powaga narzeczonéj jest skrywanym bólem. Jeśli się mylę, przebacz mi pani!

Stella.

Panie Stanisławie, ja nie chcę myśleć o takich rzeczach.

Józwowicz.

Zatém, nie mylę się. Nie patrz na mnie pani z przerażeniem, ja chcę cię ratować, dziecko kochane! Gdzie serce twoje? Jeśliś poznała w téj chwili, że nie kochasz Jerzego, to taż sama chwila powié ci kogo kochasz. Nie! nie cofnę pytania! Gdzie serce twoje? Na Boga! jeśli to ktoś nierówny ci, on się wzniesie aż do ciebie. Ale nie! i ja już szaleję.

Stella.

Chcę odejść i muszę odejść.

Józwowicz.

(*zastępując jéj*) Nie! nie odejdziesz, póki nie odpowiesz. Kogo kochasz?

Stella.

Doktorze, oszczędzaj mnie—bo inaczéj — zwątpię o wszystkiem... Zlituj się nademną...

Józwowicz.

(*gwałtownie*) Kogo kochasz?!

SCENA VII.

Ciż — Drahomir.

Drahomir.

Księżniczko!

Stella.

Ach!

Drahomir.

Co to? przestraszyłem panią. Przyszedłem tylko powiedzieć, że czekamy przy łodziach... Co pani jest?

Stella.

Nic! Idźmy! . . . . . .

(*Drahomir podaje jéj rękę, wychodzą*).

SCENA VIII.

Józwowicz (*sam*).

(*patrząc za odchodzącymi*) Aa! ro... zu... miem!

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Tenże sam salon.

SCENA I.

Podczaski wchodzi piérwszy—za nim służący.

Podczaski.

Powiedz doktorowi, że pan Podczaski kłania mu się i czeka na niego w pilnym interesie.

Służący.

Pan doktor bardzo zajęty, bo i księżniczka niezdrowa, ale mu powiem (*wychodzi*).

Podczaski.

(*sam*) Fiu! fiu! hrabina posyła na przedmieścia: „Podczaski leć, Podczaski agituj! Podczaski namawiaj!" a pieniędzy nie daje. Latam, kłaniam się, namawiam, ściskam łyków, aż im oczy wyłażą, a jak proszę żeby pożyczyła sto reńskich, to mi powiada: zobaczymy po wyborach! Tak? Ano dobrze! Więc to ja mam babie borgować, nie ona mnie? mam za swoje pić z łykami?—A to wolę pić sam! Do dyaska z taką służbą! Padam do nóg

pani hrabino dobrodziko, całuję stopki. Jeśli ma tak być, to trafię gdzieindziéj. Kiepska służba! wolę pójść do doktora. Tacy jak doktor, płacą, bo mają rozum. A że on i tak wszystkich za łeb weźmie, to człowiek i w znaczeniu się podniesie. Arystokratka, a szlachcicowi stu reńskich nie chce pożyczyć....

SCENA II.

Podczaski—Józwowicz.

Podczaski.

Kłaniam panu doktorowi dobrodziejowi, ścielę się do stópek pana doktora dobrodzieja!

Józwowicz.

Czém mogę służyć, panie Podczaski?

Podczaski.

Panie dobrodzieju! ja bez ogródek, wprost do materyi. Panu dobrodziejowi wiadomo, jakie usługi oddawałem pani hrabinie Miliszewskiéj?

Józwowicz.

Trochę.

Podczaski.

Jako były obywatel ziemski... gdyż miałem kolonię...

Józwowicz.

(*przerywając*) Po stracie kolonii mieszkasz pan na Łyczakowie i agitujesz pan dla młodego hrabiego Miliszewskiego przeciw mnie.

Podczaski.

Niech Bóg uchroni... To jest, panie dobrodzieju, tak było, ale przejrzałem dość wcześnie. Robiło się co mogło. Ma się tam jakieś stosunki między łyka... między mieszczaństwem. Umieją uczcić pochodzenie. Niech jednak pan dobrodziéj będzie pewny...

Józwowicz.

Krótko, czego pan żądasz?

Podczaski.

Bóg widzi, panie dobrodzieju, służyłem pani hrabinie wiernie i wykosztowałem się nie mało, ale przeciw tak rozumnemu człowiekowi jak pan dobrodziéj... wszedłszy w sumienie—chybaby ze szkodą kraju, a tego nie chcę.

Józwowicz.

Uznaję pańskie obywatelskie uczucia. Nie chcesz pan być przeciw mnie?

Podczaski.

Nie chcę, panie dobrodzieju, nie chcę.

Józwowicz.

Masz pan słuszność. Więc za mną?

Podczaski.

Gdybym się ośmielił służby moje ofiarować...

Józwowicz.

Przyjmuję.

Podczaski.

(*n. s.*) Takich to rozumiem—sto reniów, jak w kieszeni. *(głośno)* Wdzięczność moja.

Józwowicz.

(przerywając) Moja okaże się po wyborach.

Podczaski.

Po wy-bo-rach?

SCENA III.

Ciż — Jan Miliszewski — później Antoni.

Jan.

Dzień dobry, doktorze! czy tu niéma mamy?

Józwowicz.

Nie, hrabio, niéma mamy.

Jan.

A bo myśmy tu przyjechali oboje, ale mama zaraz poszła do apartamentów księcia, ja trochę zostałem, i teraz nie mogę trafić do apartamentów księcia *(spostrzegając Podczaskiego, który się klaniał od początku sceny)*. A! pan Podczaski, co pan tu robi?

Podczaski.

Padam do nóżek pana hrabiego. Ot! poradzić się przyjechałem: w nogach strzyka, w głowie strzyka!

Jan.

Czy doktor będzie łaskaw mi pokazać gdzie są apartamenta księcia?

Józwowicz.

Na lewo, w amfiteatrze.

już nic nie chcę. Znasz ją dawniéj odemnie, więc udałem się do ciebie, jako do jéj i mego przyjaciela. Odpowiedziałeś mi drwinami. W oczach błyszczy ci nienawiść do mnie, choć nie uczyniłem ci nic złego, a powitałem pierwszy jak dawnego kolegę. Sądź sam! Jabym miał większe prawo spytać: czego chcesz odemnie, gdyby nie to, (*z dumą*) że mi to wszystko jedno (*wychodzi*).

Józwowicz.

Zobaczymy.

SCENA XIV.

Józwowicz—Służący.

Służący.

Umyślny od pana Antoniego przyniósł list.

Józwowicz.

Dawaj. (*Służący wychodzi. Józwowicz patrząc na drzwi, któremi wyszedł Jerzy*) Oh! i ja już nie panuję nad nienawiścią. Zgniotę cię w proch, i teraz przed niczem się nie cofnę!.... (*rozrywa gorączkowo pieczątkę*). Przekleństwo! muszę tam jechać jeszcze dziś!

SCENA XV.

Józwowicz—Pani Czeska.

Czeska.

(*wchodząc żywo*) Doktorze, szukam pana po całym domu.

Józwowicz.

Co się stało?

Józwowicz.

Pieniędzy.

Antoni.

A, ofiarował głosy—domyślam się. Dałeś mu?

Józwowicz.

Nie.

Antoni.

To dobrze. My nie przekupujemy. Agitacya—to co innego. Ale mniejsza o to. Wiesz?—szczęście, że postawili kandydaturę Miliszewskiego; inaczéj byłbyś przepadł, bo większość miałby Husarski. Chociaż on i tak groźny, w niektórych obwodach ma większość.

Józwowicz.

Pobiją nas, Antoni?

Antoni.

Nie! Od tego jestem. Uf! jakim zmęczony: odpocznę choć przez pięć minut. (*siada*) O, jak Boga kocham, jakie tu miękkie kanapy. W okręgach Husarskiego trzeba dać pieniędzy na jakie cele publiczne. Masz ty pieniądze?

Józwowicz.

Mam trochę.

Antoni.

Byle początek—potém uzyskasz od sejmu poparcie. Zafundujemy jaką szkółkę. Uf! jakim ja zmęczony!

Józwowicz.

Zatém masz klucz od biórka, jest tam trochę gotówki i weksle na bank.

Antoni.

Dobrze, ale muszę odpocząć. Tymczasem—co tu u ciebie słychać? Zmizerniałeś, oczy ci wpadły. Musisz się tu gryźć. Dalibóg nie kochałem się w ten sposób w mojéj żonie. Mów, przez ten czas odpocznę, ale mów otwarcie.

Józwowicz.

Bądź spokojny, z tobą będę otwarty.

Antoni.

Cóż daléj?

Józwowicz.

To małżeństwo nie przyjdzie do skutku.

Antoni.

Dlaczego?

Józwowicz.

Taki czas przyszedł, że tym ludziom nic się nie udaje.

Antoni.

Na strych mi z temi pawianami! Cóż ten twój ludożerca? ten Pretwic?

Józwowicz.

Długoby mówić. Księżniczka brała litość i współczucie, jakie dla niego czuła, za coś głębszego. Dziś wié, że go nie kocha.

Antoni.

Dobryś! Doprawdy, możnaby powiedzieć, że ściga tych ludzi jakiś fatalizm. To los ras przeżytych.

Józwowicz.

I logika rzeczy nieubłagana.

Antoni.

Więc ona nie pójdzie za niego? W gruncie mi ich żal. Niech ich tam licho porwie!

Józwowicz.

Poszłaby, choćby słowa miała dotrzymać za cenę życia. Ale tu ktoś trzeci zaplątał się w tę sprawę—hrabia Drahomir.

Antoni.

Co rusz, to hrabia! Więc ona zdradza Jerzego?

Józwowicz.

Kto cię uczył sądzić ludzi, niech ci wróci pieniądze.

Antoni.

Ale bo prawdę rzekłszy, za te wszystkie wasze salonowe wielkie sprawy nie dałbym pięciu centów.

Józwowicz!

Ona i Drahomir nie rozumieją nawet, że się kochają. Jakaś siła nieprzeparta ciągnie jedno ku drugiemu—jaka?—nie pytają. To dzieci niewinne.

Antoni.

Więc ja o coś spytam. Co ci z tego przyjdzie?

Józwowicz.

Słuchaj demokrato! gdy dwóch rycerzy kocha się w jednéj kasztelance, miłość kończy się zwykle dramatycznie, i kasztelanka dostaje się komuś trzeciemu.

Antoni.

A rycerze?

Józwowicz.

Mniejsza o nich, niech zginą.

Antoni.

(*deklamując*) „Na grobie jego rośnie mech,
Ach! wszakto kurek zdechł!"
Co myślisz, że się stanie?

Józwowicz.

Nie wiem.... Pretwic to człowiek gwałtowny.... Nie przewiduję nic, widzę tylko logikę rzeczy, która mi sprzyja i nie będę takim głupcem, by jéj wbrew własnemu szczęściu przeszkadzać.

Antoni.

Oh! jestem pewny, że jak będzie trzeba, to ty jéj nawet pomożesz.

Józwowicz.

Ha! jestem doktorem. Obowiązkiem moim jest pomagać naturze.

Antoni.

Ot i gotowy program! Znam cię! Przychodzi mi tylko jedna myśl: zkąd wiesz, że tak jest, jak mówisz? Może to wszystko koszałki opałki?

Józwowicz.

Mogę mieć zupełną pewność przez dawną nauczycielkę księżniczki.

Antoni.

Dowiedz się jak najprędzéj.

Józwowicz.

Za chwilę pani Czeska tu nadejdzie: prosiłem ją o to umyślnie.

Antoni.

To ja zmykam. Wiesz co jeszcze? Nie pomagaj ty zanadto naturze, bo to byłoby....

SCENA IV.

Ciż — Pani Czeska.

Czeska.

(wchodząc) Życzył pan sobie ze mną pomówić?

Józwowicz.

Tak jest.

Antoni.

(kłania się pani Czeskiéj, następnie do Józwowicza) Więc idę po pieniądze i wracam za chwilę. Przyniosę ci kwity.

Józwowicz.

Dobrze *(Antoni wychodzi)*.

Czeska.

Kto jest ten pan?

Józwowicz.

Sternik.

Czeska.

Jakto?

Józwowicz.

On prowadzi okręt, na którym płynę; zresztą straszliwie poczciwy człowiek.

Czeska.

Nie rozumiem dobrze. O czém pan chciał ze mną mówić?

Józwowicz.

O księżniczce. Jesteście panie jak matka z córką, zatém pani powinnaś wiedzieć wszystko. Co jéj jest? Ona tai jakieś zmartwienie. Jako doktor, pani, i ja powinienem wiedzieć wszystko, bo żeby leczyć słabości fizyczne, trzeba znać nieraz powody moralne. *(n. s.)* Duchu Eskulapa, przebacz mi ten frazes!

Czeska.

Mój dobry panie, o co pan pyta?

Józwowicz.

Mówiłem pani, że księżniczka tai jakieś zmartwienie.

Czeska.

Nie wiem.

Józwowicz.

Oboje zarówno ją kochamy, więc mówmy szczerze...

Czeska.

Jestem gotowa.

Józwowicz.

A zatém, czy ona kocha narzeczonego?

Czeska.

Co pan mówi, doktorze? Inaczéj nie byłaby narzeczoną. Doprawdy, że wy wszystko lubicie tak brać na rozum, że czasem więcéj niż się powinno mieścić. Kogożby miała kochać? Naturalnie, że skoro jest narzeczoną, to kocha. Ja to uważam za tak proste, że nawet nie mówię więcéj o tém ze Stelką.

Józwowicz.

Powiadasz, pani: nie mówię więcéj, zatém była mowa poprzednio.

Czeska.

Tak jest. Mówiła mi, że nie wié czy go dość kocha. Ale bo to mój panie, każda czysta dusza obawia się, czy spełnia jak należy obowiązek. Co téż panu mogło przyjść na myśl.

Józwowicz.

(kłaniając się) To tylko chciałem wiedzieć (*n. s.*). Szkoda tu czasu!

SCENA V.

Ciż — Jan Miliszewski.

Jan.

Dotychczas nie mogłem znaleźć mamy. Dzień dobry pani! Może przeszkadzam?

Czeska.

Nie, my już skończyliśmy. (*do Józwowicza*) Ona spełni obowiązek: niech pan będzie spokojny.

Józwowicz.

Dziękuję *(Czeska wychodzi)*.

Jan.

Doktorze?

Józwowicz.

Słucham.

Jan.

Ja muszę mówić o rzeczach bardzo delikatnych.

Józwowicz!

Proszę otwarcie.

Jan.

Zróbmy z sobą układ jak dobrzy ludzie. Mama chce, żebym ja został posłem, ale ja nie mam ochoty.

Józwowicz.

Zbytek skromności.

Jan.

Pan to mówi nieszczerze, a ja nie umiem się bronić. Wcalebym się nie starał o to poselstwo, gdyby nie mama. Widzi pan, jest taka rzecz: jak mama chce czego, to musi być. Wszystkie Srokoszyńskie są takie, a mama z domu Srokoszyńska.

Józwowicz.

Pan hrabia ma przecie własną wolę.

Jan.

W tém właśnie biéda, że się tak złożyło, że znowu Miliszewscy zawsze słuchają kobiet. My się tém odznaczamy, panie!

Józwowicz.

Rycerski znak. Ale czem mogę służyć?

Jan.

Oto ja panu nie będę przeszkadzał w poselstwie.

Józwowicz.

Szczerość za szczerość: pan zamiast przeszkadzać, pomagałeś mi dotąd.

Jan.

Nie wiem jakim sposobem, ale jeśli tak, to niech mnie doktor pomoże z kolei.

Józwowicz.

W czém?

Jan.

To właśnie rzecz delikatna. Ale sekret, doktorze, przed mamą.

Józwowicz.

Naturalnie.

Jan.

Mama chce żebym się żenił z księżniczką, a ja, panie, nie chcę....

Józwowicz.

Pan nie chce?

Jan.

Pan się dziwi?

Józwowicz.

Wyznaję....

Jan.

Nie chcę, bo nie chcę. Jak się człowiek niéma ochoty żenić, no, to się niéma ochoty żenić. Pomyśli pan, że się kocham w kim innym? Może. Dość że nie w księżniczce. Naturalnie, że jak mama zawoła: „Jean puszczaj się!" to się puszczam, bo cóż mam robić? Miliszewscy umieli sobie radzić z mężczyznami, ale z kobietami, oho!

Józwowicz.

Nie rozumiem tylko, w czém mogę być pożyteczny?

Jan.

Doktor przecie wszystko może w tym domu, niech doktor sprawi, ale w sekrecie przed mamą! żebym ja dostał odkosza.

Józwowicz.

Panie hrabio, dla pana co w mocy ludzkiéj....

Jan.

Dziękuję.

Józwowicz.

I podejmuję się tém chętniéj, że księżniczka jest narzeczoną.

Jan.

A to nie wiedziałem, że mi tu ktoś w drogę właził.

Józwowicz.

(*n. s.*) Dobra myśl. *(głośno)* Pan Jerzy Pretwic.

Jan.

A to mnie tu chcieli na dudka wystrychnąć!

Józwowicz.

Pan Pretwic jest zuchwałym człowiekiem. Wyznaję nawet panu, że miałeś słuszność, nazywając sprawę delikatną. Pana Pretwica ludzie boją się, gdy więc pan ustąpisz, świat będzie mógł pomyśleć.....

Jan.

Że i ja się boję? A to nie ustąpię! O, mój panie, jak widzę, to pan nie zna wcale Miliszewskich. My tylko z kobiétami nie umiemy sobie dawać rady, ale żaden Miliszewski nie był tchórzem. Wiem, że ludzie śmieją się ze mnie, ale kto mię nazwie tchórzem, tego oduczę się śmiać. Ja tu zaraz pokażę, czym tchórz. Cóżto pan Pretwic? Gdzie on teraz jest?

Józwowicz.

W téj chwili w ogrodzie. *(pokazując przez okno)* Widzi go pan tam nad jeziorem.

Jan.

Do widzenia!

SCENA VI.

Józwowicz sam —potém Antoni.

Józwowicz.

Wielcy ojcowie bezdzietni! Cha! cha! . . . . .

. . . . . .

Antoni.

(*wbiegając*) Jesteś tu? Masz kwity. Czego się śmiejesz?

Józwowicz.

Miliszewski poleciał wyzwać na pojedynek Pretwica.

Antoni.

Co znowu? czy oni powaryowali?

Józwowicz.

W pięknem świetle stanie przed nią Pretwic, ten rycerz bez skazy, jeśli będzie miał awanturę z takim głupcem. W pięknem świetle!

Antoni.

To tyś tak nakręcił?

Józwowicz.

Jak powiedziałem ci: dopomagam naturze.

Antoni.

Dopomagajże sobie, a ja zmykam.

Józwowicz.

Bądź zdrów! Albo nie: idę z tobą, nie mogę dopuścić, by awantura poszła zadaleko.

Antoni.

Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że z twoich pieniędzy kupię jeść moim pędrakom. Oddam ci później: pozwalasz?

Józwowicz.

Jak możesz pytać, Antoni? (*wychodzi*).

SCENA VII.

Stella z kapeluszem w ręku i Drahomir.

(wchodzą drzwiami od ogrodu).

Stella.

Zmęczyła mnie trochę przechadzka. Widzi pan, panie Karolu, jaka jestem słaba (*siada*). Gdzie jest pan Jerzy?

Drahomir.

Z młodym Miliszewskim, który prosił go o rozmowę. Pani zaś Miliszewska traktuje z księciem. Zdaje mi się nawet, że tam odbywa się mała scena. Hrabina nie wiedziała, że pani jesteś narzeczoną i miała podobno inne zamiary. Ale daruj mi pani! ja się śmieję, a pani to sprawia przykrość.

Stella.

I ja miałabym się ochotę śmiać, gdybym nie wiedziała, ile to papie sprawi kłopotów. Zresztą, żal mi pana Miliszewskiego.

Drahomir.

Pojmuję, co może czuć w jego położeniu serce prawdziwie kochające, ale o pana Jana jestem spokojny. Pocieszy się, jeśli mama każe.

Stella.

Czasem można bardzo się omylić na ludziach.

Drahomir.

Czy mowa o mnie, czy o Miliszewskim?

Stella.

Niech będzie o panu. Przedstawiono mi pana z góry, jako zbiór wszystkich doskonałości.

Drahomir.

A pani znalazła zbiór wszystkich wad?

Stella.

Przecie tego nie mówię.

Drahomir.

Ale, myślę. Za to ja nie zawiodłem się: portret pani, jak mi go odmalowali Jerzy i doktor, zgadza się z rzeczywistością.

Stella.

Jakiż był portret?

Drahomir.

Ze skrzydłami u ramion.

Stella.

To znaczy, że mam tyle powagi co motyl?

Drahomir.

Skrzydła aniołów godzą się z powagą.

Stella.

Prawdziwa przyjaźń powinna prawdę mówić. Proszę o jaką gorzką.

Drahomir.

Czy bardzo gorzką?

Stella.

Jak piołun, albo jak chwilami... życie.

Drahomir.

A więc: nie jesteś pani dobrą dla mnie.

Stella.

Za jakiż grzech mam rozpocząć pokutę?

Drahomir.

Za brak przyjaźni dla mnie.

Stella.

Piérwsza odwołam się do przyjaźni, ale w czémże nie spełniam jéj warunków?

Drahomir.

Bo dzielisz się pani ze mną wesołością, zabawą, śmiechem, a gdy nadleci chwila smutku i goryczy, to te gorzkie kwiatki i ciernie zabierasz sobie wyłącznie. Podziel się pani ze mną i taką chwilą, proszę bardzo!

Stella.

Nie chciałam nigdy mącić wesołości pana, to nie egoizm.

Drahomir.

Moja wesołość nie płynie także z egoizmu. Jerzy powiedział mi o pani, gdym tu przybył: „ja umiem tylko patrzeć na nią i modlić się do niéj; tyś młodszy, weselszy, staraj się ją rozweselić i zabawić;" więc oto przyniosłem tu całą moję wesołość, jak towar na plecach i złożyłem ją u nóg pani. Ale od pewnego czasu widzę, że panią mę-

czę tylko; widzę na twarzy pani jakąś chmurkę, podejrzywam jakiś tajony smutek, więc jako druh serdeczny oddałbym życie, żeby go rozproszyć.

Stella.

(*cicho*) Panie Karolu....

Drahomir.

(*składając ręce*) Pozwól mi pani mówić. Roztrzepańcem byłem w życiu, alem szedł za głosem serca i sercem pani smutek odgadłem. Odtąd padł cień i na moję wesołość... alem się przezwyciężał. Łzy wypłakanéj nic już nie wróci, w drodze jednak do oczu, może ją przyjazna ręka zatrzymać.... Więc się przezwyciężałem....—by łzy do pani oczu nie puścić. Jeślim pobłądził, jeślim złą drogę obrał, proszę o przebaczenie. Życie się pani złoży, jak bukiet kwiatów, bądź więc pani weselsza, bądź weselsza.

Stella.

(*wzruszona, podając mu rękę*) Będę przy panu. Grymaśna ze mnie dziewczyna, rozpieszczona i słaba trochę. Sama często nie wiem, co mi jest i czego pragnę. Jam szczęśliwa, doprawdy szczęśliwa. To są chwile przelotne, ale obiecuję poprawę. Nie jednę jeszcze chwilę spędzimy wesoło...

Drahomir.

A więc: co tam! jak mówi pani Czeska. Starajmy się przezwyciężyć; będziemy się śmiać, biegać po ogrodzie i płatać psoty mamie i synowi Miliszewskim.

Stella.

Odgadłam tajemnicę pańskiéj wesołości i szczęścia: to prawość serca i dobroć.

Drahomir.

Nie, pani. Wielkie ze mnie nic-potem. Byłem tylko dotąd dość spokojny, ale prawdziwe szczęście nie w tém leży.

Stella.

Czasem myślę że go wcale niéma na świecie.

Drahomir.

Rozum go nie uchwyci i nie poleci za tą wizyą skrzydlatą. Czasem może ona i przelatuje blizko, ale nim się człowiek obejrzy, nim wyciągnie ręce: bywa zapóźno!

Stella.

Jakie to bolesne słowo: zapóźno.

SCENA VIII.

Ciż—Józwowicz.

Józwowicz.

(*wchodzi śmiejąc się*) Cha! cha! czy państwo wiecie, co się stało?

Stella.

Coś zabawnego, doktorze?

Józwowicz.

Rzecz okropna, tragiczna, straszna, ale przedewszystkiem śmieszna! Miliszewski chciał wyzwać Jerzego.

Stella.

Mój Boże!

Józwowicz.

Śmiéj się pani razem ze mną. Gdyby to było coś niebezpiecznego, przeciebym pani nie przestraszał.

Drahomir.

Na czémże się skończyło?

Józwowicz.

Wiecie państwo, że aż się pogniewałem na Jerzego. Wyobraźcie sobie: wziął tę rzecz poważnie.

Drahomir.

Proszę cię, cóż miał zrobić?

Józwowicz.

A tożby dla człowieka, jak Jerzy, wstyd był strzelać się z takim biédakiem!

Stella.

Doktor ma słuszność. Nie rozumiem pana Jerzego.

Józwowicz.

Niech się nie gniewa nasza księżniczka. Już ich pogodziłem. Jerzy tylko nie wniknął w głąb rzeczy i przyrodzona krewkość go uniosła. Ale teraz, gdy się zastanowił i gdym mu wytłumaczył rzecz całą, zgodził się, że byłoby to co najmniéj śmieszne. On ma dużo rozsądku, Jerzy.

Drahomir.

Cóż Miliszewski?

Józwowicz.

Odesłałem go do mamy. To także dobry chłopiec.

Stella.

Jednak pan Jerzy dostanie odemnie burę.

Drahomir.

Niech tylko pani nie będzie zbyt surowa.

Stella.

Panowie się śmieją. a mnie przykro, że panu Jerzemu trzeba było to tłumaczyć. Doprawdy, zaraz mu dam burę (*odchodzi*).

SCENA IX.

Drahomir—Józwowicz.

Drahomir.

Co to za anioł ta księżniczka!

Józwowicz.

Tak. Niéma ani jednéj skazy na téj kryształowéj naturze.

Drahomir.

Musi tak być, skoro ty nawet, doktorze sceptyku, mówisz o niéj z takim zapałem.

Józwowicz.

Sześć lat upływa jak tu jestem. Gdym tu przyjechał piérwszy raz, wybiegła do mnie w krótkiéj sukience i z główką w papilotach — ot, takie jeszcze maleństwo.

Odtąd przy mnie to rosło. Sześć lat ma swoje prawa, trudno się nie przywiązać.

Drahomir.

Wierzę. *(po chwili w zamyśleniu)* Dziwne wy jednak macie serca, wy ludzie pracy...

Józwowicz.

Dlaczego?

Drahomir.

Bo... wiem co mi pan możesz powiedzieć o jéj towarzyskiéj pozycyi; ale to nic nie znaczy: serca są równe; więc jakże się to stało, że pan tak blizki księżniczki, umiał tak nad sobą panować i nie... i nie...

Józwowicz.

(przerywając) Co takiego?

Drahomir.

Trudno mi wyrażenie znaleźć!

Józwowicz.

To ja znajdę. Pytasz pan, dlaczegom się w niéj nie zakochał?

Drahomir.

Cofnąłem się przed słowem zbyt śmiałém.

Józwowicz.

Doprawdy, jeśli tak brak hrabiemu odwagi, to go wyręczę i spytam: a pan?

Drahomir.

(*po chwili walki z sobą*). Wobec Boga i ludzi oświadczam, że krew tylko zmywa takie słowa.

Jerzy.

Krew. (*pokazując na doktora*) Oto świadek twych słów.

Józwowicz.

Służę panom.

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Tenże sam salon.

SCENA I.

Józwowicz.

(*wchodzi czytając depeszę*) „Rezultat dotychczas wiadomy: Józwowicz głosów 613, Husarski 604. Godzina 10-ta: Józwowicz 700, Husarski 700. Godzina 11-ta: Józwowicz 814, Husarski 750. Walka zacięta. Ostateczny rezultat będzie wiadomy o trzeciéj" (*patrzy na zegarek*).

SCENA II.

Józwowicz.—Jerzy.

Józwowicz.

Ty tutaj!

Jerzy.

Cofasz się jak przed widmem.

Józwowicz.

Przecie to dziś?

Jerzy.

Prosto ztąd jadę na plac. Mam jeszcze godzinę

czasu. Pojedynek odbędzie się w Dąbrowie na gruntach Miliszewskich, zatém niedaleko.

Józwowicz.

Zablizko ztąd.

Jerzy.

Miliszewski jako świadek nalegał. Zresztą od tego ty jesteś, żeby wiadomość tu przyszła jak najpóźniéj.

Józwowicz.

Wszakże doktor Krzycki będzie według umowy na placu?

Jerzy.

Tak jest!

Józwowicz.

Proś go jeszcze raz, by mi przysłał wiadomość natychmiast. Sambym wam towarzyszył, ale muszę być tu.

Jerzy.

Bardzo słusznie. Jeśli zginę....

Józwowicz.

Nie przypuszczaj z góry.

Jerzy.

Są ludzie przeklęci przez los w godzinie urodzenia, dla których jedyném odkupieniem jest śmierć. Ja do takich ludzi należę. Myślałem o wszystkiem długo i spokojnie. Bóg widzi, że więcéj się życia lękam niż śmierci. Niéma dla mnie wyjścia, bo jeśli nawet nie zginę, powiedz mi co będzie wówczas, co mnie czeka, gdy zabiję człowieka, którego ona kocha? Powiedz mi? Będę żył

bez niéj i przeklinany przez nią. Czy wiesz, że kiedy wspomnę na moje położenie, kiedy pomyślę o tém co się stało, to zdaje mi się, że jakiś zły duch wmięszał się między nas i tak poplątał wszystko, że tylko śmierć rozplątać te węzły może.

Józwowicz.

Pojedynek często się kończy raną, skaleczeniem.

Jerzy.

Zelżyłem Drahomira ciężko i takiéj obelgi rana nie zmywa. Wierz mi, że jeden z nas zginąć musi. Ale przychodzę mówić o czém inném.

Józwowicz.

Słucham cię.

Jerzy.

Prawdę mówiąc, ponieważ nie wiem, czy za godzinę żyć będę, przyjechałem popatrzeć jeszcze na nią, bo... bo ją kocham nad wszystko w świecie. Byłem może dla niéj zaszorstki, zanieszczęśliwy, zagłupi, ale... kochałem. Oto niech Bóg, który teraz patrzy w serce moje, potępi mnie na zawsze, jeślim nie pragnął jéj szczęścia. Jak mnie tu widzisz, tak w téj chwili jéj żal mi najwięcéj i cierpię bardzo, gdy myślę o jéj przyszłości. Słuchaj! czy zginę, czy nie, ona stracona dla mnie; nie ożeni się z nią i Drahomir, bo nie może się żenić z kobiétą, któréj zabił narzeczonego. Z nas trzech, ty jeden zostaniesz przy niéj, strzeż jéj, czuwaj nad nią. Oddaję ją, mój skarb jedyny jaki miałem, w twoje uczciwe ręce.

Józwowicz.

(*spokojnie*) Spełnię wszystko czego żądasz.

Jerzy.

A teraz, ponieważ mogę zginąć, chcę zginąć jak chrześcianin. Jeśliś miał do mnie urazę, jeślim względem ciebie kiedy zawinił, przebacz mi! (*ściskają się za ręce—Jerzy wychodzi*).

Józwowicz.

(*sam*) Tak! Z nas trzech, ja jeden zostanę przy niéj.

SCENA III.

Antoni—Józwowicz.

Antoni.

(*wbiegając szybko*) Człowieku, czyś ty zwaryował! Tam każda chwila droga, a ty tu siedzisz. Sprawa chwieje się, porozlepiano nowe afisze, stronnicy Husarskiego łapią ludzi za poły. Na Boga, jedźże ze mną. Dorożka czeka na dole. Czegoże ty tu siedzisz?

Józwowicz.

Muszę tu zostać. Nie pojadę za nic w świecie, nie pojadę. Niech się dzieje co chce.

Antoni.

A! przysięgam, jeślim ja się tego spodziewał! Pokaż się choć na chwilę, a wygrasz na pewno! Mnie już płuc i głosu nie staje. Czyś się wściekł? Tam za niego pracują, wrzeszczą, a ten się przyczepił do spódniczki i siedzi. Pięknego posła wybieramy.

Józwowicz.

Antoni! Choćbym tam miał przepaść, krokiem się nie ruszę. Nie mogę i nie pojadę.

Antoni.

...Tak?...

Józwowicz.

Tak jest!

Antoni.

A! no, to rób co chcesz. Dobrze! winszuję *(chodzi po pokoju, po chwili wkłada ręce do kieszeni i staje przed Józwowiczem).* Co to wszystko znaczy?

Józwowicz.

To znaczy, że muszę tu być. W téj chwili Drahomir z Pretwicem stoją naprzeciw siebie z bronią w ręku. Gdyby wiadomość doszła o tém niespodzianie do księżniczki, mogłaby ją życiem przypłacić.

Antoni.

Strzelają się?

Józwowicz.

Na śmierć i życie. Za chwilę będzie tu wiadomość, który z dwóch zginął (*chwila milczenia*).

Antoni.

Józwowicz! kto to wszystko zrobił?

Józwowicz.

Ja! Zgniotłem tych co mi stawali w drodze, i zgniotę zawsze. Masz mnie, jakim jestem.

Antoni.

A no, jeśli tak, to i mnie już nie spieszno. Czy wiesz co ci powiem?

Józwowicz.

Usuń się na chwilę, księżniczka tu nadchodzi (*otwiera drzwi bocznego pokoju*) Wejdź tam.

SCENA IV.

Józwowicz—Stella.

Stella.

Mój doktorze, co się tu dzieje w tym domu?

Józwowicz.

O co pani pyta?

Stella.

Pan Jerzy przyszedł do mnie jakiś wzruszony i żegnał się ze mną; prosił mnie, bym mu przebaczyła, jeśli kiedy względem mnie zawinił.

Józwowicz.

(*n. s.*) Głupiec sentymentalny!

Stella.

Mówił mi, że może na kilka dni zmuszony będzie wyjechać. Mam przeczucie, że coś ukrywacie przedemną. Co to znaczy, doktorze? Nie dręczcie mnie dłużéj. Taka już jestem biédna, że doprawdy, należy mi się trochę litości.

Józwowicz.

Niech pani się o nic nie troszczy. Cóżby się dziać mogło. Przywidzenie, czyste przywidzenie. Opieka serc troskliwych otacza panią. Zkąd takie dziwne przypuszczenia? Niech pani teraz wróci do siebie i nie przyjmuje nikogo. Za chwilę nadejdę.

Stella.

Więc naprawdę niéma nic złego?

Józwowicz.

Ależ co znowu! Proszę mi wierzyć, że potrafiłbym usunąć wszystko, coby groziło szczęściu pani.

Stella.

(*podając mu rękę*) O! panie Stanisławie, szczęście to rzecz zbyt trudna, niechby tylko spokój nas nie opuszczał (*chce odchodzić przez pokój, w którym jest Antoni*).

Józwowicz.

Tędy, księżniczko. W tamtym pokoju czeka ktoś na mnie. Za chwilę przyjdę do pani. Proszę nie przyjmować nikogo. Antoni!

(*Księżniczka odchodzi*).

SCENA V.

Antoni — Józwowicz — później Służący.

Antoni.

Jestem. Biédne, biédne dziecko!

Józwowicz.

Dla niéj nie mogę odjechać. Muszę tu być i nie puszczać do niéj wieści z nieszczęściem, bo to mogłoby ją zabić.

Antoni.

Jakto? więc ty, wiedząc o tém, narażasz ją jednak? Kochasz ją i poświęcasz dla siebie?

Józwowicz.

(*gorączkowo*) Kocham ją i muszę ją mieć, choćby ten dom zwalił się nam na głowy.

Antoni.

Człowieku, ty mówisz jak nieprzytomny.

Józwowicz.

Człowieku, ty mówisz jak niedołęga, nie jak mężczyzna. W ustach macie pełno frazesów i siły, a nie umiecie spojrzeć w oczy faktom. Kto śmie powiedzieć: nie masz prawa się bronić?

Antoni.

(*po chwili*) Bądź zdrów!

Józwowicz.

Dokąd idziesz?

Antoni.

Wracam do miasta.

Józwowicz.

Jesteś ze mną, czy przeciw mnie?

Antoni.

Jestem uczciwym człowiekiem.

Służący.

(*wchodzi*) Posłaniec przyniósł list z Miliszewa.

Józwowicz.

Dawaj. Odejdź! (*rozrywa pieczątkę i czyta*). „Pojedynek odbył się. Pretwic nie żyje" (*po chwili*) A a!...

Antoni.

Nim odejdę, winienem ci odpowiedź, boś mnie pytał, co znaczy, że się oddalam. Służyłem ci wiernie jak pies, bom wierzył w ciebie. Ty umiałeś mnie użyć, a może i zużyć. Wiedziałem, żem był narzędziem, ale ja o takie rzeczy nie dbam; jednakże teraz...

Józwowicz.

Teraz opuszczasz sprawę?

Antoni.

O, ty mnie nie znasz. Cobym robił na świecie, gdybym ją opuścił. A zresztą, czy sądzisz, że sprawa to ty jeden? Ja nie opuszczę jéj dlatego, żem się zawiódł na tobie. Ale chodzi mi o co innego. Byłem tak głupi, żem się do ciebie przywiązał, a teraz żal mi tego, bo jako człowiekowi prywatnemu, muszę powiedzieć ci: przebrałeś miarę, na złe użyłeś téj siły, która jest w tobie. O! wiem, wiem, możeby dla mnie korzystniéj było nie mówić ci tego; może czepiać się ciebie, to przyszłość dla takiego odrapańca jak ja, który niebardzo ma co w domu dać jeść żonie i dzieciom. Ale nie mogę! dalibóg, nie mogę! Goły

jestem i goły zostanę, niech więc przynajmniéj mam czyste sumienie. Ot co! Byłeś mi tak blizki jak i żona i dzieci, bliższym jeszcze! od dziś jesteś tylko cyfrą polityczną, ale w przyjaźni, szukaj kogo innego. Wiesz, żem ja nie skrupulat; człowiek się ociera o ludzi i nie jedno w sobie zetrze: tyś jednak przebrał miarę. Niech mnie powieszą, jeśli nie wolę kochać ludzi niż ich tłuc. Mówią, że uczciwość i polityka to co innego. Gdzieindziéj, tak! Ale u nas te rzeczy musisz połączyć. Dlaczego to nie mają iść razem? Ja nie opuszczam naszéj sprawy, ale z naszéj przyjaźni kwita, bo kto mówi, że kocha ludzkość, a czai się i wali podstępem ludzi po łbie, ten jest kłamcą, rozumiesz?

Józwowicz.

Twojéj przyjaźni nie będę ciągnął przemocą, ale posłuchaj mnie poraz ostatni. Jeśli zacznie się dla mnie czas klęsk, to zacznie się od tego, że tacy ludzie jak ty, przestaną mnie rozumieć. Oto mojemu losowi, moim prawom do szczęścia, mojéj przyszłości człowiek ten, który zginął, wszedł w drogę nagle, ślepo, fatalnie i zabrał mi wszystko. Wszedł uzbrojony w dostatki, nazwisko, stosunki i całą tę broń niezwalczoną, którą daje fortuna i urodzenie. Com miał przeciw niemu? z czém mogłem walczyć? co przeciwstawić jego potędze? Nic, prócz tego, co jest bronią nowych ludzi, tę trochę inteligencyi zdobytéj krwawą pracą i wysileniem. Oto wypowiedział mi głuchą wojnę. Broniłem się. Czém? Bronią, jaką mi dała natura. Gdy nadepczesz robaka, nie bierz mu za złe, że się broni żądłem, bo niéma czém inném się bronić.

Gdy masz usunąć kamień leżący na drodze, usuwaj jak chcesz. To prawo ludzkie! Tak jest! postawiłem wszystko na jednę kartę i wygrałem, ale to nie ja, to rozum zwyciężył siłę, nowy czas dawne wieki. I ty mi to bierzesz za złe? Czego chcesz? jam wierny zasadzie; tylko że wy się cofacie, ja nie! To jedna strona, a druga? Dla mego szczęścia potrzeba mi téj kobiety, bo ją kocham! dla moich celów, jéj majątku i stosunków. Dajcie mi taką broń w ręce, a ja spełnię i przeprowadzę wszystko!.... Czy ty rozumiesz, jaka olbrzymia praca, jakie wielkie cele i plany przedemną? Chcecie, bym rozbił mur ciemnoty, zacofania, lenistwa, żebym tchnął życie w to co zwiędło: ja wołam środków! Nie macie! Więc ja je zdobędę lub zginę. Ale co? Tym wielkim celom, tym wielkim planom, téj jasnéj przyszłości, nietylko mojéj, ale ogólnéj, staje w drodze jeden panek, jeden błędny rycerz, jeden awanturnik, którego całą zasługą, że urodził się z herbem, i ja nie mam prawa go zgnieść? I wy chcecie bym upadł głową do jego wielmożnych nóg, bym mu wszystko poświęcił? Nie!... nie znacie mnie! Dość sentymentów. Trzeba siły, i ja ją mam, i utoruję sobie i wam drogę, choćbym miał setki takich Pretwiców podeptać.

Antoni.

Nie, Józwowicz! Tyś zawsze robił ze mną coś chciał, ale teraz nie pobijesz mnie. Póki chodziło o przekonania, jam był z tobą; aleś ty zaczepił jakąś zasadę większą od ciebie i odemnie, i trwalszą i niezmienną. Ty mi tego nie wytłómaczysz i sam strzeż się. Lada powód, a jako człowiek runiesz z całą twoją energią. To siła większa

niż twoja; strzeż się, bo z nią przegrasz! Zasady, kochanku, się zmieniają, ale prosta uczciwość zawsze jednaka. Rób co chcesz, ale strzeż się. Co u dyabła! krew ludzka się mści, to także prawo natury. Ty mnie pytasz, czy ja cię opuszczam? Może radbyś, by ci zostawić wolność strzelania do ludzi z za płota, gdy ci to będzie dogadzało. Nie, bratku!... Odtąd rozpoczyna się między nami ścisły rachunek, bo nie możemy ci ufać. Musisz nam zdać rachunek! Będziesz posłem, ale jeśli myślisz, że my tobie, nie ty nam służyć będziesz, to się mylisz. Cóżeś to ty sądził? że szczeble téj drabiny po któréj się drapiesz, składają się z łajdaków? Hola! My, cośmy cię zrobili posłem, my, w których uczciwość nie wierzysz podobno, będziemy cię teraz strzedz i sądzić. Jeśli zbroisz, to zetrzemy cię w proch. Nie sprawa dla ciebie, ale ty dla sprawy. Wybraliśmy cię, teraz służ!

Józwowicz.

(gwałtownie) Antoni!

Antoni.

Spokojnie! Wieczorem masz się stawić w mieście przed wyborcami. Do widzenia.... panie Józwowicz!... *(wychodzi).*

Józwowicz.

(sam) Ten jest pierwszy....

SCENA VI.

Józwowicz—Jan Miliszewski.

Jan.

(ukazuje się w uchylonych drzwiach) Psst!

Józwowicz.

Kto tam jest?

Jan.

To ja, Miliszewski. Czy doktor sam?

Józwowicz.

Wejdź pan! No i cóż?

Jan.

Skończone. Ach, doktorze! nie żył i pięciu minut. Kazałem odwieźć ciało do Miliszewa do kościoła.

Józwowicz.

Wszak matki pana niéma?

Jan.

Wyprawiłem ją do miasta. Dziś są wybory, a mama nie wié, że ja się cofnąłem, więc będzie czekać na wieczorne dzienniki w nadziei, że moje nazwisko znajdzie między wybranymi.

Józwowicz.

Nikt po drodze nie widział?

Jan.

Boję się, że zobaczą krew. Krwawił po drodze okropnie.

Józwowicz.

Dziwna rzecz! Strzelał jak mistrz!

Jan.

Doktorze, on umyślnie dał się zabić. Przecie tam byłem, widziałem doskonale: nie położył nawet palca na

cynglu. On wcale nie chciał Drahomira zabić. Sześć kroków, taka blizka meta. Oh! to okropnie patrzyć na cudzą śmierć!—naprawdę wolałbym sam zginąć. Strzelali na komendę: raz! dwa! trzy! słyszymy strzał, ale jeden. Lecimy, Pretwic postąpił dwa kroki i ukląkł, chciał mówić: krew rzuciła mu się ustami; potém wziął pistolet i strzelił w bok. Myśmy już stali wkoło, a on powiada do Drahomira: „Łaskęś mi zrobił, dziękuję. To życie do ciebie należało, boś je uratował. Przebacz—powiada—bracie!" powtórzył jeszcze raz: „Daj rękę" i zaczął konać.... (*obciera chustką pot z czoła*). Drahomir rzucił mu się na piersi.... O, doktorze! doprawdy to okropne. Biédna panna Stella! co się z nią stanie teraz?

Józwowicz.

Cicho! na miłość boską, przy niéj ani słowa! Ona chora.

Jan.

Będę milczał.

Józwowicz.

Opanuj pan wzruszenie.

Jan.

Kiedy nie mogę nóg opanować, bo się podemną trzęsą.

SCENA VII.

Ciż — Książę wsparty na ramieniu Stelli i pani Czeska.

Książę.

Myślałem, że tu i Pretwic jest z wami. Józwowicz, gdzie jest Pretwic?

Józwowicz.

Nie wiem.

Stella.

Czy panu nie mówił dokąd wyjeżdża?

Józwowicz.

Nie wiem.

Czeska.

(*do Jana*) Co panu jest, panie hrabio, pan taki blady.

Jan.

O, wcale nie. To z gorąca.

Książę.

Józwowicz! Mówił mi Pretwic....

SCENA VIII.

Drzwi otwierają się nagle, wbiega hrabina Miliszewska.

Hrabina.

Jean! gdzie mój Jean? O Boże, co się dzieje! Co za okropność!

Józwowicz.

(*biegnąc ku niéj żywo*) Milcz pani!

Stella.

Co się stało?

Hrabina.

Więc to nie ty zabiłeś Pretwica? nie tyś się pojedynkował?

Józwowicz.

Milcz pani.

Stella.

Kto zabity, pani?

Hrabina.

Więc to Drahomir? Steluniu droga, Drahomir : bił Pretwica!

Stella.

Za-bił! Boże! Boże! co się dzieje!...

Józwowicz.

Księżniczko! to nieprawda!

Stella.

Zabił? (*słania się i pada*).

Józwowicz.

Zemdlała!... wynieśmy ją do sypialni.

Książę.

Dziecko moje!

Czeska.

Steluniu!... *(Książę i Józwowicz wynoszą Stellę, Hr bina i Czeska idą za niemi).*

Jan.

(*sam*) O, to okropne! wyprawiłem mamę umyśln

do miasta. Któżby się spodziewał, że wróci... (*we drzwiach ukazuje się hrabina*) Mamo, jakże księżniczka?

Hrabina.

Doktor ją cuci. Dotychczas się nie rozbudziła. Jean, wyjeżdżajmy ztąd.

Jan.

(*z rozpaczą*) Nie wyjadę. Po co mama wróciła z miasta?

Hrabina.

Po ciebie. Dziś wybory, zapomniałeś.

Jan.

Ja nie chcę być posłem! Po co mama powiedziała tu o śmierci Pretwica?

SCENA IX.

Ciż—Józwowicz.

Hrabina i Jan.

(*razem*) Co tam? co tam?

Józwowicz.

Tam, niéma już co robić. *(W pałacowéj kaplicy odzywa się sygnaturka).*

Jan.

(*z przestrachem*) Co to? dzwonek w kaplicy? *(Józwowicz podchodzi naprzód sceny i siada).*

SCENA X.

Ciż—Podczaski.

Podczaski.

(*wpadając nagle*) Zwycięztwo na całéj linii! Deputacya tu jest! (*Głosy za sceną*): „Niech żyje! niech żyje!"

Podczaski.

Wygrana! niech żyje!

Józwowicz.

....Przegrałem strasznie!...

KONIEC.

V.

BARTEK ZWYCIĘZCA.

BARTEK ZWYCIĘZCA.

I.

Bohatér mój nazywał się Bartek Słowik, ale ponieważ miał zwyczaj wytrzeszczać oczy, gdy do niego mówiono, przeto sąsiedzi nazywali go Bartek wyłupiasty. Ze słowikiem istotnie mało miał wspólnego, natomiast jego przymioty umysłowe i prawdziwie homeryczna naiwność zjednały mu także przezwisko: Głupi Bartek. To ostatnie było najpopularniejsze i zapewne samo jedno tylko przejdzie do historyi, chociaż Bartek nosił jeszcze czwarte urzędowe. Ponieważ wyrazy: człowiek i słowik nie przedstawiają dla ucha niemieckiego żadnéj różnicy, a Niemcy lubią w imię cywilizacyi przekładać barbarzyńskie słowiańskie nazwy na bardziéj kulturny język, przeto w swoim czasie przy spisach wojskowych miała miejsce następująca rozmowa:

— Jak się nazywasz?—pytał Bartka oficer.

— Słowik.

— Szloik?... Ach! ja. Gut.

I oficer napisał „Mensch."

Bartek pochodził ze wsi Pognębina, któréj-to nazwy wsi jest bardzo wiele w Księztwie Poznańskiém i innych ziemiach dawnéj Rzeczypospolitéj. Był on, nie licząc gruntu, chałupy i paru krów, właścicielem srokatego konia i żony Magdy. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności mógł sobie żyć spokojnie i zgodnie z mądrością zawartą w wierszu.

„Koń srokacz—żona Magda,
Co ma Bóg dać—to i tak da."

Jakoż życie jego układało się zupełnie, jak Bóg dał, i dopiéro gdy Bóg dał wojnę, Bartek zafrasował się niepomału. Przyszło zawiadomienie, że trzeba się było stawić, trzeba było porzucić chałupę, grunt i zdać wszystko na babską opiekę. Ludzie w Pognębinie byli wogóle dosyć biédni. Bartek zimą, bywało, chodził do fabryki i tém sobie w gospodarstwie pomagał—teraz zaś co? Kto wié, kiedy się wojna z Francuzem skończy? Magda, gdy przeczytała kartkę powołującą poczęła kląć:—Ażeby ich nawidziło! żeby olśnęli... Chociażeś głupi... jednak mi cię żal; Francuzy téż ci nie przepuszczą; głowę utną, albo co!...

Czuł Bartek, że kobiéta sprawiedliwie mówi. Francuzów bał się jak ognia, a przytém i jemu było żal. Co jemu Francuzi zrobili? po co on tam pójdzie i dlaczego, na tę straszną obczyznę, gdzie niéma jednéj duszy życzliwéj. Jak się w Pognębinie siedzi, to zdaje się, ot, ni tak, ni owak, jak zwyczajnie w Pognębinie; a jak każą iść, dopiéro się widzi, że wszelako tu lepiéj, niż gdzieindziéj: ale już nic nie pomoże—taka dola, trzeba iść. Bartek uściskał babę, potém dziesięcioletniego Franka, potém splunął, przeżegnał się i wyszedł z chałupy, a Magda za

nim. Nie żegnali się zbyt czule. Ona i chłopak szlochali, on powtarzał: „No, cicho—no!" i tak znaleźli się na drodze. Tu dopiéro ujrzeli, że w całym Pognębinie działo się to samo, co u nich. Cała wieś wyległa: droga zapchana powołanymi. Idą oni do stacyi kolejowéj, a baby, dzieci, starcy i psy odprowadzają ich. Powołanym ciężko na sercu, kilku tylko młodszym fajki wiszą z gęby; kilku już pijanych na początek; kilku śpiéwa ochrypłemi głosami:

„Skrzyneckiego ręce i złote pierścienice,
Już nie będą wymachiwać siablą na wojence."

Jeden téż i drugi Niemiec z Pognębińskich kolonistów śpiewa ze strachu *Wacht am Rhein*. Cały ów tłum pstry i różnobarwny, wśród którego połyskują bagnety żandarmskie, posuwa się opłotkami ku końcowi wsi z krzykiem, gwarem i rwetesem. Baby trzymają swoich „żołnierzyków" za kark i lamentują; jakaś staruszka pokazuje żółty ząb i wygraża pięścią gdzieś w przestrzeń. Inna klnie: „niech wam Pan Bóg policzy nasze płakanie;" słychać wołania: „Franku! Kaśko! Józek! bądź-ta zdrowi." Psy szczekają. Dzwon na kościele dzwoni. Proboszcz sam odmawia modlitwy za konających, boć przecie nie jeden z tych, co teraz idą na stacyą, nie wróci. Wojna ich bierze wszystkich, ale wojna ich nie odda. Pługi pordzewieją na polach, bo Pognębin wypowiedział wojnę Francyi. Pognębin nie mógł zgodzić się na przewagę Napoleona III i wziął do serca sprawę o tron hiszpański. Odgłos dzwonu przeprowadza tłumy, które już wyszły z opłotków. Mijają figurę: czapki i pikielhauby lecą z głów. Kurz złoty wstaje na drodze, bo dzień jest

suchy i pogodny. Po dwóch stronach drogi, zboże dojrzewające szeleści ciężkim kłosem i gnie się pod wietrzykiem, który od czasu do czasu dmucha łagodnie. W niebie błękitném tkwią skowronki i każdy świergoce jakby się zapamiętał.

Stacya!—Tłumy jeszcze większe. Są tu już powołani z Krzywdy Górnéj, Krzywdy Dolnéj, z Wywłaszczyniec, z Niedoli, Mizerowa. Ruch, gwar i zamieszanie! Ściany na stacyi oblepione manifestami. Wojna tu „w Imię Boga i Ojczyzny." Landwera pójdzie bronić swych zagrożonych rodzin, żon, dzieci, chat i pól. Francuzi widocznie szczególniéj zawzięli się na Pognębin, na Krzywdę Górną, na Krzywdę Dolną, na Wywłaszczyńce, Niedolę i Mizerów. Tak przynajmniéj wydaje się tym, którzy czytają afisze. Przed stacyą przybywają coraz nowe tłumy. W sali dym z fajek napełnia powietrze i przesłania afisze. W gwarze trudno się zrozumieć: wszyscy chodzą, wołają, krzyczą. Na peronie słychać komendę niemiecką, któréj gwałtowne słowa brzmią krótko, twardo, stanowczo.

Rozlega się dzwonek: świst! zdala słychać gwałtowny oddech lokomotywy. Coraz bliżéj, wyraźniéj. To wojna zdaje się przybliżać.

Drugi dzwonek! Dreszcz przebiega wszystkie piersi. Jakaś kobieta poczyna krzyczeć: „Jadom! Jadom!" Woła ona widocznie swego Adama, ale kobiéty podchwytują wyraz i wołają: „jadą." Głos jakiś przeraźliwszy nad inne dodaje; „Francuzy jadą," i przez jedno mgnienie oka panika ogarnia nietylko kobiéty, ale i przyszłych bohatérów Sedanu. Tłum zakołysał się. Tymczasem pociąg staje

przed stacyą. We wszystkich oknach widać czapki z czerwonemi lampasami i mundury. Wojska widocznie jak mrowia. Na węglarkach czernieją posępne, podługowate ciała armat; nad otwartemi wozami jeży się las bagnetów. Widocznie kazano żołnierzom śpiewać, bo cały pociąg aż dygoce od silnych głosów męzkich. Jakaś siła i potęga bije od tego pociągu, którego końca nie dojrzeć.

Na peronie poczynają formować rekrutów; kto może, żegna się jeszcze; Bartek machnął łapami jakby skrzydłami wiatraka, oczy wytrzeszczył.

— No, Magda! bywaj zdrowa!

— Oj! moje biédne chłopisko!

— Już mnie nie obaczysz więcéj!

— Już cię nie obaczę więcéj!

— Niéma rady nijakiéj!

— Niechże cię Matka Boska strzeże i chroni...

— Bądź zdrowa: chałupy pilnuj.

Kobieta uchwyciła go za szyję z płaczem.

— Niechże cię Bóg prowadzi.

Nadchodzi ostatnia chwila. Pisk, płacz i lament kobiet zagłusza przez kilka minut wszystko: „Bądźta zdrowi! Bądźta zdrowi!" Ale owoż żołnierze są już oddzieleni od bezładnego tłumu: już tworzą czarną zbitą masę, która zwiera się w kwadraty, prostokąty i poczyna poruszać się z tą sprawnością i regularnością ruchów machiny. Komenda: „siadać!" Kwadraty i prostokąty przełamują się w środku, wyciągają się wązkiemi pasami ku wagonom i giną w ich wnętrzu. W dali lokomotywa świszcze i rzuca kłęby siwego dymu. Teraz oddycha jak smok, zionąc pod siebie strumienie pary. Lament ko-

biet dochodzi do najwyższego stopnia. Jedne zasłaniają oczy fartuchami, inne wyciągają ręce ku wagonom. Łkające głosy powtarzają imiona mężów i synów:

— Bądź zdrów Bartek!—woła z dołu Magda.— A nie leź tam gdzie cię nie poślą. Niech cię Matka Boska... Bądź zdrów! O dla-Boga!

— A chałupy pilnuj—odzywa się Bartek.

Korowód wagonów drgnął nagle; wozy stuknęły jedne o drugie i ruszyły.

— A pamiętaj, że masz żonę i dziecko — wołała Magda drepcząc za pociągiem. Bądź zdrowy, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Bądź zdrowy...

Pociąg poruszał się coraz prędzéj wioząc wojowników z Pognębina, z obydwóch Krzywd, z Niedoli i Mizerowa.

II.

W jednę stronę wraca ku Pognębinowi Magda z tłumem bab i płacze, w drugą stronę świata rwie w siwą dal pociąg, najeżony bagnetami, a w nim Bartek. Siwéj dali końca nie widać. Pognębina téż ledwo dojrzeć. Lipa tylko szarzeje i wieża na kościele się złoci, bo po niéj słońce igra. Wkrótce i lipa rozpłynęła się, a złoty krzyż wyglądał tylko jak punkt błyszczący. Dopóki ten punkt świecił, patrzył na niego Bartek, ale gdy i on zniknął, frasunkowi chłopa nie było miary. Zdjęła go niemoc wielka i czuł że przepadł. Zaczął tedy patrzeć na podoficera, bo już prócz Boga nikogo więcéj nie było nad nim. Co się teraz z nim stanie, to już w tém głowa kaprala; sam Bartek już nic nie wié, nic nie rozumié. Kapral siedzi na ławce i trzymając karabin między kolanami pali fajkę. Dym co chwila, jakby chmura zasłania mu twarz poważną i markotną. Nietylko Bartkowe oczy patrzą na tę twarz, patrzą na nią wszystkie oczy ze wszystkich kątów wagonu. W Pognębinie lub Krzywdzié, każdy Bartek lub Wojtek jest sobie pan, każdy musi myśleć o sobie za siebie, ale teraz od tego kapral. Każe im się patrzeć na prawo, będą patrzeć na prawo, każe na lewo,

to na lewo. Każdy pyta się wzrokiem: „no? a co z nami będzie?" on sam zaś tyle wié, ile i oni, i radby także, aby kto starszy dał mu pod tym względem jakie rozkazy lub objaśnienia. Zresztą chłopi boją się pytać wyraźnie, bo teraz jest wojna z całym aparatem sądów wojennych. Co wolno, a czego nie wolno, nie wiadomo. Przynajmniéj oni nie wiedzą, a straszy ich dźwięk wyrazów, takich jak *Kriegsgericht*, których dobrze nie rozumieją, ale témbardziéj się boją.

Jednocześnie czują, że ten kapral potrzebniejszy im jeszcze teraz, niż na manewrach pod Poznaniem, bo on jeden wié wszystko, on za nich myśli, a bez niego ani rusz. Tymczasem zaciężył mu widocznie karabin, bo go rzucił Bartkowi do trzymania. Bartek porwał skwapliwie za broń, dech wstrzymał, oczy wyłupił i patrzy w kaprala, jak w tęczę, ale mała mu i z tego pociecha.

Oj, coś źle słychać, bo i kapral jak z krzyża zdjęty. Na stacyach śpiewy i krzyki; kapral komenderuje, kręci się, łaje, żeby to starszym się pokazać, ale niechno pociąg ruszy, cichną wszyscy i on cichnie. Dla niego także świat ma teraz dwie strony: jedna jasna i zrozumiała, to jego izba, żona i pierzyna; druga ciemna, ale to zupełnie ciemna, to Francya i wojna. Zapał jego jak i zapał całéj armii chętnieby zapożyczył chodu od raka. Wojowników pognębińskich ożywiał istotnie duch tém widoczniejszy, że siedzący nie w żołnierzach, ale każdemu na ramieniu. A ponieważ każdy żołnierz dźwigał na ramionach tornister, płaszcz i inne wojskowe przybory, więc wszystkim było nader ciężko.

Tymczasem pociąg fukał, huczał i leciał w dal. Co stacya, przyczepiano nowe wagony i lokomotywy. Co stacya, widać było tylko pikelhauby, armaty, konie, bagnety piechurów i chorągiewki ułanów. Zapadał zwolna pogodny wieczór. Słońce rozlało się w wielką czerwoną zorzę, wysoko na niebie unosiły się stada drobnych lekkich obłoków, o brzegach poczerwieniałych od zachodu. Pociąg wreszcie przestał brać ludzi i wagony na stacyach, trząsł się tylko i leciał naprzód w ową jasność czerwoną, jakby w morze krwi. Z otwartego wagonu, w którym siedział Bartek z pognębińskimi ludźmi, widać było wsie, sioła i miasteczka, wieżyczki na kościołach, bociany poprzeginane jak haki, stojące jedną nogą na gniazdach, chałupy osobne, sady wiśniowe. Wszystko to migało przelotem, a wszystko czerwone. Żołnierze poczęli szeptać między sobą tém śmieléj, że podoficer, podłożywszy sakwy pod głowę, zasnął z porcelanową fajką w zębach. Wojciech Gwizdała, chłop z Pognębina, siedzący wedle Bartka, trącił go łokciem.

— Bartek, słuchaj-no?

Bartek zwrócił ku niemu twarz z zamyślonemi, wyłupiastemi oczyma.

— Czegoż patrzysz jak cielę, co idzie na rzeź— szeptał Gwizdała — ale ty nieboże idziesz na rzeź, i pewnikiem....

— Oj, oj!—jęknął Bartek.

— Boisz się?—pytał Gwizdała...

— Co się nie mam bać....

Zorza stała się jeszcze czerwieńsza, więc Gwizdała wyciągnął ku niéj rękę i szeptał daléj:

— Widzisz tę jasność? Wiesz, głupi, co to jest? To krew. Tu jest Polska, niby nasz kraj: rozumiesz? A hen tam daleko, gdzie się tak świeci, to właśnie Francya....

— A prędko zajedziewa?

— Albo ci pilno? Mówią, że okrutnie daleko. Ale nie bój się: Francuzy wyjdą naprzeciw...

Bartek zaczął pracować ciężko swoją pognębińską głową. Po chwili spytał:

— Wojtek?

— Czego?

— A na ten przykład, co to za naród te Francuzy?

Tu uczoność Wojtka ujrzała nagle przed sobą dół, w który łatwiéj jéj było wlecieć z głową, niż wylecieć napowrót. Wiedział, że Francuzy, to są Francuzy. Słyszał coś o nich od starych ludzi, którzy mówili o nich, że zawsze wszystkich bili; nakoniec wiedział, że to jacyś bardzo obcy ludzie: ale jak to tu wytłómaczyć Bartkowi, aby i on wiedział, jak dalece obcy.

Przedewszystkiem tedy powtórzył pytanie:

— Co to za naród?

— A juści.

Trzy narody były znane Wojtkowi: w środku „Polaki," z jednéj strony „Moskale," a z drugiéj „Niemcy." Ale Niemców były różne gatunki. Chcąc więc być jasnym więcéj, niż ścisłym, rzekł:

— Co to za naród Francuzy? Jak ci powiedzieć: musi takie Niemcy, tylko jeszcze gorsze...

A Bartek na to:

— O, ścierwa!

Do téj pory żywił względem Francuzów jedno tylko

uczucie, to jest uczucie nieopisanego strachu. Teraz dopiéro poczuł ku nim ten pruski landwerzysta wyraźniejszą patryotyczną niechęć. Jednakże nie wszystko jeszcze zrozumiał należycie i dlatego spytał znowu:

— To Niemcy będą z Niemcami wojować?

Tu Wojtek jak drugi Sokrates, postanowił pójść drogą porównań i odparł:

— Albo to się twój Łysek z moim Burkiem nie gryzą?

Bartek otworzył usta i popatrzył chwilę na swego mistrza.

— O, prawda...

— Przecie i Austryaki Niemcy—prawił Wojtek— a czy się nasi z nimi nie bili? Toć stary Świerszcz opowiadał, że jak był na onéj wojnie, to Szteinmec krzyczał na nich: „Daléj chłopy na Niemców!" Tylko, że z Francuzami nie tak łatwo!

— O, la Boga!

— Francuzy nigdy żadnéj wojny nie przegrały. Taki, jak ci się do ciebie przyczepi, to się nie wykpisz, nie bój się! Każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy nasz, a brody to ci mają jak żydy. Inszy też jest czarny, jak dyabeł. Takiego jak zobaczysz, to poleć się Bogu!

— No, to poco my do nich pójdziema?—pytał zdesperowany Bartek.

Filozoficzna ta uwaga nie była może tak głupią, jak zdawało się Wojtkowi, który widocznie pod wpływem urzędowych natchnień, pospieszył z odpowiedzią:

— Jabym też wolał nie iść. Ale nie pójdziemy my, to przyjdą oni. Niéma rady. Czytałeś, co stało druko-

wane. Dycht najgorzéj zawzięte na naszych chłopów. Ludzie gadają, że ony dlatego takie łakome na tutejsze grunta, bo chcieli wódkę przemycać z Królestwa, a rząd nie daje, i z tego jest wojna: no, rozumiesz?

— Co nie mam rozumieć — rzekł z rezygnacyą Bartek.

Wojtek mówił daléj:

— Na baby ci téż łakome, jak pies na sperkę...

— A toby na ten przykład i Magdzie nie przepuścili?

— Ony i starym nie przepuszczają!

— O!—krzyknął Bartek takim tonem, jakby chciał powiedzieć:—jeżeli tak, to będę walił!

Jakoż wydało mu się, że tego już nadto. Wódkę niechby jeszcze sobie z Królestwa przemycali, ale do Magdy im zasię. Teraz mój Bartek jął na całą tę wojnę patrzeć ze stanowiska własnego interesu i poczuł jakąś otuchę na myśl, że tyle wojska i armat występuje w obronie zagrożonéj przez bałamuctwo francuzkie Magdy. Pięści mu się zacisnęły mimowolnie i strach przed Francuzami pomieszał się w jego umyśle z nienawiścią do nich. Przyszedł do przekonania, iż niéma już chyba rady, że trzeba iść. Tymczasem jasność niebieska zgasła. Ściemniło się. Wagon na nierównych relsach począł się kołysać mocno, a w takt z jego ruchami kiwały się na prawo i lewo pikelhaúby i bagnety.

Upłynęła jedna godzina i druga. Z lokomotywy sypały się miliony iskier, które jak długie złociste kresy i wężyki krzyżowały się ze sobą w ciemnościach. Bartek długo nie mógł zasnąć. Jako owe iskry po powie-

trzu, tak w głowie jego skakały myśli o wojnie, o Magdzie, Pognębinie, Francuzach i Niemcach. Zdawało mu się, że choćby chciał, nie mógłby się podnieść z téj ławki, na któréj siedział. Usnął wreszcie, ale nie zdrowym półsnem. I zaraz nadleciały widziadła: ujrzał najprzód, jak jego Łysek gryzie się z Wojtkowym Burkiem, aż sierć z nich leci. On cap za kij, żeby ich pogodzić, aż nagle widzi co innego: koło Magdy siedzi Francuz czarny, jak święta ziemia, a Magda kontenta śmieje się i szczerzy zęby. Inni Francuzi kpią z Bartka i pokazują na niego palcami... To zapewne lokomotywa trajkoce, ale jemu się zdaje, że to Francuzy wołają: Magda! Magda! Magda! Magda! Bartek w krzyk: stulta pyski złodzieje! puszczajta babę! A oni: Magda! Magda! Magda! Łysek i Burek szczekają, cały Pognębin woła: nie daj baby! On czy skrępowany, czy co? Nie! rzucił się, targnął, powrozy pękły, Bartek Francuza za łeb i nagle...

Nagle wstrząsa nim silny ból, jakoby gwałtownego uderzenia. Bartek budzi się i zrywa na równe nogi. Cały wagon rozbudzony, wszyscy pytają co się stało? A to biedaczysko Bartek złapał podoficera przez sen za brodę. Teraz oto stoi wyciągnięty jak drut, dwa palce przy skroni, a podoficer macha rękoma i krzyczy jak wściekły:

— *Ach Sie! Dummes Vieh aus der Polakei! Hau' ich den Lümmel in die Fresse, das ihm die Zähne sektionenweise aus dem Maule herausfliegen werden!*

Podoficer aż ochrypł z wściekłości, a Bartek ciągle stoi z palcami przy skroni. Inni żołnierze gryzą wargi, by się nie śmiać, ale boją się, gdyż z ust podoficera pa-

dają jeszcze ostatnie strzały: *Ein polnischer Ochse! Ochse aus Podolien!* Nakoniec ucichło wszystko. Bartek usiadł napowrót na dawném miejscu. Czuł tylko, że policzki poczynają mu jakoś nabrzmiewać, a lokomotywa jak na złość, powtarza ciągle:

—Magda! Magda! Magda!

Czuł też wielki jakiś żal...

III.

Ranek! Rozpierzchłe, blade światło oświeca twarze senne i zmęczone z niewywczasu. Na ławkach śpią w nieładzie żołnierze: jedni z głowami pospuszczanemi na piersi, drudzy z zadartemi w tył. Wstaje jutrzenka i zalewa różowością cały świat. Jest świeżo i rzeźwo. Żołnierze budzą się. Promienny ranek wydobywa z cienia i mgły jakąś nieznaną im krainę. Hej! a gdzie teraz Pognębin, gdzie Wielka i Mała Krzywda, gdzie Mizerów? To już obczyzna i wszystko inne. Naokół wzgórza porosłe dębiną, w dolinach domy kryte czerwoną dachówką z czarnemi krzyżownicami w białych ścianach, domy piękne jak dwory, obrosłe winem. Gdzieniegdzie kościoły o spiczastych wieżach, gdzieniegdzie kominy fabryczne z pióropuszami różowych dymów. Tylko ciasno tu jakoś, równi brak i łanów zbożowych. Ludzi za to mrowie. Migają wsie i miasta. Pociąg nie zatrzymując się, mija mnóstwo pomniejszych stacyj. Coś się musiało stać, bo wszędy widać tłumy. Słońce wychyla się zwolna z za wzgórz, więc jeden i drugi Maciek poczyna głośno pacierz. Za ich przykładem idą i inni; piérwsze promienie kładą blask na chłopskie twarze, modlące się i poważne.

Tymczasem pociąg zatrzymuje się na głównéj stacyi. Tłum ludzi otacza go natychmiast: są już wieści z placu boju. Zwycięztwo! zwycięztwo! Depesze przyszły od kilku godzin. Wszyscy oczekiwali klęsk, więc gdy zbudzono ich pomyślną wieścią, radość nie zna miary. Ludzie nawpół ubrani poopuszczali domy, łóżka i pospieszyli na stacyą. Z niektórych dachów powiewają już chorągwie, a ze wszystkich rąk chustki. Do wagonów donoszą piwo, tytuń i cygara. Zapał jest nieopisany, twarze rozpromienione. *Wacht am Rhein* huczy jak burza. Niektórzy płaczą, inni padają sobie w objęcia. *Unser Fryc* pobił na głowę! wzięto armaty, chorągwie. W szlachetnym zapale tłumy oddają żołnierzom wszystko, co mają. Otucha wstępuje w serca żołnierzy i zaczynają śpiéwać także. Wagony drżą od mocnych męzkich głosów, a tłum słucha z zadziwieniem słów niezrozumiałych pieśni. Pognębińscy śpiewają: „Bartoszu! Bartoszu! oj nie traćwa nadziei." *Die Polen! die Polen!* powtarza tłum sposobem objaśnienia i kupi się koło wagonów, podziwiając postawę żołnierza, a zarazem umacniając się w radości opowiadaniem anegdot o strasznem męztwie tych polskich pułków.

Bartek ma rozpuchnięte policzki, co przy jego żółtych wąsach, wyłupiastych oczach i ogromnéj kościstéj postawie czyni go strasznym. Podziwiają go téż jak osobliwsze zwierzę. Jakichto Niemcy mają obrońców! Ten dopiéro sprawi Francuzom! Bartek uśmiecha się z zadowoleniem, bo i on jest kontent, że Francuzów pobili. Nie przyjdą już przynajmniéj do Pognębina, nie zbałamucą Magdy i nie zabiorą gruntu. Uśmiécha się tedy, ale

ponieważ twarz boli go mocno, więc krzywi się zarazem i naprawdę jest straszny. Jé za to z apetytem homerycznego bohatéra. Kiszki grochowe i kufle piwa znikają w jego ustach jak w czeluści. Dają mu cygara, fenigi: bierze to wszystko.

— Dobry jakiś naród te Niemiaszki — mówi do Wojtka, a po chwili dodaje—a widzisz, że Francuzów pobili!

Ale sceptyczny Wojtek rzuca cień na jego wesołość. Wojtek wróży jak Kassandra:

— Francuzy zawdy naprzód dają się pobić, żeby zbałamucić, a potém jak się wezmą, aż wióry lecą.

Wojtek nie wie o tém, że zdanie jego podziela większa część Europy, a jeszcze mniéj o tém, że cała Europa myli się z nim razem.

Jadą daléj. Wszystkie domy jak okiem sięgnąć, pokryte chorągwiami. Na niektórych stacyach zatrzymują się dłużéj, bo wszędy pełno pociągów. Wojsko ze wszystkich stron Niemiec spieszy wzmocnić zwycięzkich współbraci. Pociągi poubierane w zielone wieńce. Ułani zatykają na lance bukiety kwiatów, darowywane im po drodze. Między temi ułanami większość także Polaków. Nieraz słychać z wagonu do wagonu rozmowy i nawoływania:

— Jak się mata chłopcy! a gdzie Pan Bóg prowadzi?

Czasem z przelatującego po sąsiednich relsach pociągu zaleci znajoma piosenka:

Z tamtéj strony Sandomierza
Mówi panna do żołnierza....

A wtedy Bartek i jego kamraci podchwytują w lot:

Panie żołnierz chodź pokochać.
Jeszczem nie jadł—Bóg ci zapłać!

O ile z Pognębina wszyscy wyjeżdżali smutni: o tyle teraz pełni są zapału i ducha. Piérwszy pociąg z piérwszymi rannymi przybywający z Francyi, psuje jednak to dobre usposobienie. Staje on w Deutz i stoi długo, by przepuścić te które spieszą na plac boju. Ale nim wszystkie przejdą przez most do Kolonii, potrzeba kilku godzin czasu. Bartek leci razem z innymi oglądać chorych i rannych. Niektórzy leżą w zamkniętych, inni dla braku miejsca w otwartych wagonach, i tych można widzieć dobrze. Po piérwszém spojrzeniu, duch bohatérski Bartka ulatuje znowu na ramię.

— Chodźże tu Wojtek!—woła z przerażeniem—widzisz ino, ile te Francuzy napsowały narodu!—I jest na co patrzeć! Twarze blade, zmęczone; niektóre zczerniałe od prochu lub bólu, powalane krwią. Na odgłosy ogólnéj radości, ci odpowiadają tylko jękami. Niektórzy klną wojnę Francuzów i Niemców. Usta spieczone i zczerniałe wołają co chwila wody; oczy poglądają jak błędne. Tu i owdzie między rannymi widać zesztywniałą twarz konającego, czasem spokojną z błękitnemi sińcami naokół oczu, czasem wykrzywioną przez konwulsye, z przerażonemi oczyma i wytrzeszczonemi zębami. Bartek po raz piérwszy widzi krwawe owoce wojny. W głowie jego znów powstaje zamęt, patrzy jak odurzony i stoi w tłoku z otwartemi ustami; popychają go na wszystkie strony; żandarm daje mu kolbą w kark. On szuka oczyma Wojtka, odnajduje go i mówi:

— Wojtek, bój się Boga! o!

— Będzie tak i z tobą.

— Jezu Marya! I to się ludziska tak mordują. Toć, jak chłop chłopa pobije, to go żandarmy biorą do sądu i karzą!

— No, a teraz ten lepszy, kto więcéj ludzisków napsuje. Cóżeś głupi myślał, że będziesz prochem strzelał, jak na manęwrach, alboli téż do tarczy, nie do ludzi?

Tu okazała się widocznie różnica między teoryą a praktyką. Nasz Bartek był przecie żołnierzem, chodził na manewry i musztry, strzelał, wiedział, że wojna od tego, by się zabijać, a teraz jak zobaczył krew rannych, nędzę wojny, zrobiło mu się tak jakoś niedobrze i ckliwo, że ledwie się mógł na nogach utrzymać. Nabrał znów uszanowania dla Francuzów, które zmniejszyło się dopiéro wtedy, gdy przejechali z Deutz do Kolonii. Na centralnym banhofie ujrzeli poraz piérwszy jeńców. Otaczało ich mnóstwo żołnierzy i ludu, który patrzył na nich z dumą, ale jeszcze bez nienawiści. Bartek przedarł się przez tłum, rozpychając go łokciami, spojrzał na wagon i zdziwił się.

Gromada piechurów francuzkich w podartych płaszczach, małych, brudnych, wynędzniałych, napełniała wagon jak śledzie beczkę. Wielu z nich wyciągało ręce po szczupłe datki, jakiemi obdzielał ich tłum, o ile straże nie stawiały przeszkody. Bartek wedle tego co słyszał od Wojtka, zgoła inne o Francuzach miał wyobrażenie. Duch z ramienia wstąpił mu napowrót w piersi. Obejrzał się czy Wojtka niéma. Wojtek stał obok.

— Cóżeś gadał?—pyta Bartek.—Dyć to chmyzy.

Jakbym jednego bez łeb luhął, toby się ze czterech wywróciło.

— Musi jakoś zmarnieli—odrzekł również rozczarowany Wojtek.

— Po jakiemu oni szwargocą?

— Juści nie po polsku.

Uspokojony pod tym względem Bartek, poszedł daléj wzdłuż wagonów.

— Straszne kapcany!—rzekł skończywszy przegląd wojsk liniowych.

Ale w następnych wagonach siedzieli żuawi. Ci więcéj dali Bartkowi do myślenia. Z powodu że siedzieli w wagonach krytych, nie można było sprawdzić, czy każdy jest chłop, jak dwa albo trzy razy zwyczajny człowiek, ale przez okna widać było długie brody i marsowate, poważne twarze starych żołnierzy o ciemnéj cerze i błyszczących groźnie oczach. Duch Bartka znowu skierował się ku ramionom.

— Te straszniejsze—szepnął cicho, jakby się bał, by go nie słyszeli.

— Jeszcześ nie widział tych, co się nie dali wziąć— odparł Wojtek.

— Bójże się Boga!

— Obaczysz.

Napatrzywszy się żuawom, poszli daléj. Zaraz przy następnym wagonie Bartek rzucił się w tył jak oparzony.

— O, rety! Wojtek, ratuj!

W otwartém oknie widać było ciemną, prawie czarną twarz turkosa z przewróconemi białkami oczu. Musiał być ranny, bo twarz wykrzywiła mu się cierpieniem.

— A co?—rzecze Wojtek.

— To złe, nie żołnierz. Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu.

— Spojrzyj ino, jakie on ma zębiska.

— A niech go wciornaści! ja tam nie będę na niego patrzył.

Bartek umilkł, po chwili jednak spytał:

— Wojtek!

— Czego?

— A żeby takiego przeżegnać, czyby nie pomogło?

— Pogany na świętą wiarę nie mają wyrozumienia.

Dano znak do siadania. Po chwili pociąg ruszył. Gdy ściemniło się, Bartek widział ciągle przed sobą czarną twarz turkosa i straszne białka jego oczu. Z uczuć, które w téj chwili ożywiały tego pognębińskiego wojownika, nie wiele możnaby wywróżyć o jego przyszłych czynach.

IV.

Bliższy udział w walnéj rozprawie pod Gravelotte, początkowo przekonał Bartka tylko o tém, że w bitwie jest się na co gapić a niéma co robić. Z początku bowiem kazano stać i jemu i jego pułkowi z karabinem u nóg, u stóp wzgórza pokrytego winogradem. Zdala grały armaty, zbliska przelatywały pułki konne z tententem, od którego ziemia się trzęsła; migotały to chorągiewki, to kirasyerskie miecze! Nad wzgórzem po błękitném niebie przelatywały z sykiem granaty w kształcie białych obłoczków, potém dym napełnił powietrze i zasłonił horyzont. Zdawało się, że bitwa, jak burza, przechodzi stronami, ale trwało to niedługo.

Po pewnym czasie dziwny jakiś ruch powstał koło Bartkowego pułku. Poczęły koło niego stawać inne pułki, a w przerwy pomiędzy niemi nadbiegały co koń wyskoczy, armaty, które wyprzęgano na gwałt i obracano paszczami ku wzgórzu. Cała dolina napełniła się wojskiem. Teraz na wszystkie strony grzmią komendy, latają adjutanci. A nasi szeregowcy szepcą sobie do ucha: „oj! będzież nam, będzie!" lub pytają jeden drugiego z niepokojem: „czy to już się zacznie?" „Zapewne już." Oto zbliża się niepewność,

zagadka, może śmierć... W dymie, który zasłania wzgórze, wre coś i kotłuje się strasznie. Słychać coraz bliżéj basowy huk dział i stukotanie karabinowego ognia. Zdala dochodzi jakby niewyraźny jakiś trzask, to kartaczownice już słychać. Nagle, jak hukną dopiero co postawione armaty, aż ziemia i powietrze zadygotały razem. Przed Bartkowym pułkiem zasyczało strasznie. Spojrzą: leci niby róża jasna, niby chmurka, a w téj chmurce coś syczy, śmieje się, zgrzyta, rży i wyje. Chłopi wołają: granat! granat! Tymczasem pędzi ten ptak wojny, jak wicher, zbliża się, spada, pęka! Huk straszny rozdarł uszy, łoskot jakby się świat walił, i pęd, jakby od uderzenia wiatru! Zamieszanie powstaje w szeregach, stojących w pobliżu armat, rozlega się krzyk i komenda: „szlusuj!" Bartek stoi w piérwszym szeregu, karabin przy ramieniu, łeb do góry, broda podpięta, więc zęby nie kłapią. Nie wolno drgnąć, nie wolno strzelać. Stać! Czekać! Aż tu leci drugi granat, trzeci, czwarty, dziesiąty! Wicher zwiewa dym z wzgórza. Francuzi już spędzili z niego baterye pruskie, już postawili swoje i teraz zieją ogniem na dolinę. Co chwila z gęstwy winogradu wyskakują długie, białe rzuty dymu. Piechota pod zasłoną armat zstępuje coraz niżéj, by rozpocząć ręczny ogień. Są już w połowie wzgórza. Teraz widać ich doskonale, bo wiatr odrzuca dymy. Czy winograd zakwitł makiem? Nie, to czerwone czapki piechurów. Naraz nikną między wysoką łozą winną, nie widać ich: gdzieniegdzie tylko wieją trójkolorowe chorągwie. Ogień karabinowy rozpoczyna się szybki, gorączkowy, nieregularny, wybuchający nagle w coraz innych miejscach. Nad tym ogniem wyją ciągle granaty

i krzyżują się w powietrzu. Na wzgórzu czasem wybuchną okrzyki, którym z dołu odpowiada niemieckie: „hurra!" Armaty z doliny huczą nieprzerwanym ogniem. Pułk stoi niewzruszony.

Sfera ognia poczyna go jednak z kolei obejmować. Kule bzykają niby muchy, niby bąki zdaleka, lub przelatują ze strasznym świstem w pobliżu. Coraz ich więcéj: oto świszczą koło głów, nosów, oczu, ramion, idą ich tysiące, miliony. Dziw, że jeszcze ktoś stoi na nogach. Nagle tuż za Bartkiem odzywa się jęk. „Jezu!" potém: „szlusuj!" znów: „Jezu!" „szlusuj!" Wreszcie jęk już nieprzerwany, komenda coraz spieszniejsza, szeregi ściskają się, świst coraz częstszy, nieustający, okropny. Zabitych wyciągają za nogi. Sąd Boży!

— Boisz się?—pyta Wojtek.

— Co się nie mam bać!...—odpowiada nasz bohatér, szczękając zębami.

A jednak stoją obaj i Bartek i Wojtek, i nawet do głowy im nie przychodzi, że możnaby zemknąć. Kazali im stać i kwita! Bartek kłamie. Nie boi on się tak, jakby tysiące innych bało się na jego miejscu. Dyscyplina panuje nad jego wyobraźnią, a wyobraźnia nie maluje mu nawet tak okropném położenia, jak ono jest. Bartek jednak sądzi, że go zabiją i powierza tę myśl Wojtkowi.

— Dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją!—odpowiada rozdrażnionym głosem Wojtek.

Słowa te uspakajają Bartka znacznie. Zdawałoby się, że głównie chodziło mu o to, czy się dziura w niebie nie zrobi? Uspokojony pod tym względem stoi cierpliwiéj, czuje tylko okropne gorąco i pot zlewa mu twarz.

Tymczasem ogień staje się tak straszny, że szeregi topnieją w oczach. Zabitych i rannych niéma już kto wyciągać. Chrapanie konających miesza się ze świstem pocisków i hukiem wystrzałów. Po ruchu trójbarwnych chorągwi widać, że ukryte w winnicy piechury zbliżają się coraz bardziéj. Stada kartaczy dziesiątkują szeregi, które poczyna ogarniać rozpacz.

Ale w odgłosach téj rozpaczy czuć pomruk zniecierpliwienia i wściekłości. Gdyby kazano im iść naprzód, poszliby jak burza. Nie mogą tylko ustać na miejscu. Jakiś żołnierz zrywa nagle czapkę z głowy, ciska ją z całą siłą o ziemię i mówi:

— Raz kozie śmierć!

Bartek doznaje znów na te słowa tak znakomitéj ulgi, że prawie zupełnie przestaje się bać. Bo jeżeli raz kozie śmierć, to właściwie o nic wielkiego nie chodzi. Jest to filozofia chłopska, lepsza od każdéj innéj, skoro dodaje otuchy. Bartek zresztą wiedział, że raz kozie śmierć, ale miło mu to było usłyszeć i mieć zupełną pewność, zwłaszcza, że bitwa zaczęła się zmieniać w pogrom. Oto pułk, nie wystrzeliwszy ani razu, jest już do połowy zniszczony. Tłumy żołnierzy z innych rozbitych pułków przebiegają koło niego w nieładzie, tylko ci chłopi z Pognębina, Krzywdy Wielkiéj, Krzywdy Małéj i Mizerowa, trzymani żelazną pruską dyscypliną, stoją jeszcze. Ale i w ich szeregach czuć już pewne wahanie się. Za chwilę pękną karby dyscypliny. Ziemia pod ich nogami staje się już miękka i ślizka od krwi, któréj surowy zapach miesza się z wonią dymu. W niektórych miejscach szeregi nie mogą się zewrzeć, bo trupy czynią w nich przerwy!

U nóg tych ludzi, którzy jeszcze stoją, druga połowa leży we krwi, w jękach, w konwulsyach, w konaniu, lub w ciszy śmierci. Oddechom braknie powietrza. W szeregach powstaje szmer.

— Na rzeź nas przywiedli!

— Nikt nie wyjdzie!

— *Still polnisches Vieh*—odzywa się głos oficera...

— Dobrze ci za moim kołnierzem...

— *Steht der Kerl da!*

Nagle jakiś głos poczyna mówić:

— Pod Twoję obronę...

Bartek podchwytuje natychmiast:

— Uciekamy się Święta Boża rodzicielko!

I wkrótce chór polskich głosów na tém polu zagłady woła oto do Patronki Częstochowskiéj: „Naszemi prośbami nie racz gardzić!" A z pod nóg wtórują im jęki: „O Maryo, Maryo!" I wysłuchała ich widocznie, bo w téj chwili na spienionym koniu przybiega adjutant, rozlega się komenda: „do ataku broń! hurra! naprzód!" Grzebień bagnetów pochyla się nagle, szereg wyciąga się w długą linię i rzuca się ku wzgórzom szukać bagnetem tych nieprzyjaciół, których nie mogły dostrzedz oczy. Wszelako od stóp wzgórza dzieli naszych chłopów jeszcze ze dwieście kroków i przestrzeń tę muszą przebyć pod morderczym ogniem... Czy nie wyginą do reszty, czy się nie cofną? Wyginąć mogą, ale się nie cofną, bo komenda pruska wié na jaką nutę grać tym polskim chłopom do ataku. Wśród ryku dział, wśród karabinowego ognia, dymu i zamieszania i jęków, głośniejszym nad wszystkie trąby i trąbki biją w niebo hymnem, od którego każda kro-

pla krwi skacze w ich piersiach: „Hurra!" odpowiadają Maćki. „Póki my żyjemy!" Ogarnia ich zapał, płomień bije im na twarze! Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie, końskie, przez złomy armatnie. Giną, ale idą z krzykiem i śpiéwem. Już dobiegają krańca winnicy, nikną w zaroślach. Śpiéw tylko brzmi, czasem błyśnie bagnet. Na górze wre ogień coraz straszniejszy. Na dole trąbki wciąż grają. Salwy francuzkich wystrzałów stają się spieszniejsze, jeszcze spieszniejsze, gorączkowe i nagle....

Nagle milkną.

Tam na dole stary wilk wojny, Steinmetz, zapala porcelanową fajkę i mówi z akcentem zadowolenia:

— Im tylko to grać! Doszli zuchy!

Jakoż po chwili jeden z dumnie powiewających trójbarwnych sztandarów, podskakuje w górę, pochyla się i niknie....

— Nie żartują!—mówi Steinmetz.

Trąby grają znowu tenże sam hymn. Drugi pułk poznański idzie w pomoc piérwszemu.

W gęstwinie wre bitwa na bagnety.

Teraz Muzo śpiéwaj mojego Bartka, aby potomność wiedziała co czynił. Oto i w jego sercu strach, niecierpliwość, rozpacz zlały się w jedno uczucie wściekłości; a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Włos stanął mu dębem, z oczu skry poszły. Zapomniał o świecie, o tém, że „raz kozie śmierć," i chwyciwszy w potężne łapy karabin, skoczył z drugimi naprzód. Dobiegłszy wzgórza przewrócił się z dziesięć razy na ziemię, stłukł sobie nos, powalał się zie-

mią i krwią, która mu z nosa pociekła, i biegł naprzód, wściekły, zziajany chwytając w otwarte usta powietrze. Wytrzeszczał oczy, by w gęstwinie zobaczyć jak najprędzéj jakiego Francuza i dojrzał ich wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli to turkosy. Ale czy myślicie, że Bartek się cofnął? Nie! onby teraz samego Lucypera brał za rogi! Dopadł już do nich, i oni z wyciem rzucili się ku niemu; dwa bagnety, jakby dwa żądła, już, już tykają jego piersi, a mój Bartek jak złapie za karabin z cienkiego końca, niby kłonicę, jak machnie, jak poprawi... Wrzask tylko odpowiedział mu straszny, jęk—i dwa czarne ciała poczęły drgać konwulsyjnie na ziemi.

W téj chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszy. Bartek jak furya rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia, błysnęło, huknęło! i jednocześnie w kłębach dymu zagrzmiał chrapliwy ryk Bartka:

— Chybiliśta!

I znów karabin w jego ręku zatoczył łuk straszliwy, znów jęki odpowiedziały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzyma, i czy się Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość, że wyraźnie mu się zdało, iż z ich szerokich warg wychodzi okrzyk:

— „Magda! Magda!"

— Magdy wam się chce!—zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w téj chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu w pomoc. Wśród gęstwiny winogradu zawiązała się bitwa ścieśniona i tłumna, któréj

wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał, jak burza. Osmalony dymem, oblany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, nie pamiętny na nic, każdém uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwalał głowy. Ręce jego poruszały się straszną szybkością machiny, siejącéj zniszczenie. Dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznemi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zacharczał, i ręce jego puściły drzewiec!

— Hurra!—krzyknął Bartek i podniósłszy chorągiew, zakołysał nią w powietrzu.

Ten-to wznoszący się i opadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tyko przez jedno mgnienieoka, bo w drugiém, Bartek tąż samą chorągwią strzaskał już jakąś głowę nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli już naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar; schował go w zanadrze, i chwyciwszy w obie ręce drzewce, rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów, wyjąc nieludzkiemi głosami, uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki, krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnetami.

Żuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra!—krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat. Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W téj chwili téż drugi pułk

poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwiane drzewce w potężnych łapach Bartka, zmieniło się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ścieśnionych szeregach francuzkich. Przerażenie też zaczęło ogarniać żuawów i turkosów. W miejscu, w którém walczył Bartek, pierzchli. Po chwili piérwszy Bartek siedział już na armacie, jak na pognębińskiéj kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzedz go na niéj, on już siedział na drugiéj, przy któréj znów obalił chorążego z chorągwią.

— Hurra Bartek!—powtórzyli żołnierze.

Zwycięztwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartaczownice. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiéj stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

Bartek zdobył jednak w pogoni trzecią jeszcze chorągiew.

Trzeba go było widzieć, gdy zmęczony, oblany potém i krwią, sapiąc jak miech kowalski, zstępował teraz wraz z innymi ze wzgórza, dźwigając na ramionach trzy chorągwie. Francuzi! hej! co on sobie teraz z nich robił! Obok niego szedł podrapany i pokiereszowany Wojtek, więc Bartek do niego:

— Cóżeś gadał? Toć to robactwo: siły w kościach nijakiéj niéma. Podrapały ta mnie i ciebie, jak kociaki, ale i tyla. A com którego lunął, to ci o ziemię....

— Kto cię wiedział żeś taki zawzięty—odparł Wojtek, który widział czyny Bartka i począł patrzeć na niego zgoła innemi oczyma.

Ale któż tych czynów nie widział. Historya, cały

pułk i większość oficerów. Wszyscy spoglądali teraz na tego olbrzymiego chłopa, o rzadkich płowych wąsach i wyłupiastych oczach z podziwem.—*Ach! Sie verfluchter Polake!*—powiedział mu sam major i pociągnął go za ucho, a Bartek aż mu trzonowe zęby pokazał z radości. Gdy pułk znów stanął u stóp wzgórza, major pokazał go pułkownikowi, a pułkownik samemu Steinmetzowi.

Ten obejrzał sztandary i kazał je zabrać, poczém począł oglądać Bartka. Mój Bartek stoi znowu wyciągnięty jak struna i prezentuje broń, a stary generał patrzy na niego i kręci głową z zadowoleniem. Nakoniec zaczyna coś mówić do pułkownika. Słychać wyraźnie słowo: *Unteroffizier*.

— *Zu dumm, Excellenz!*—odpowiada major.

— Sprobujmy—mówi jego Ekscelencya, i zwracając konia, zbliża się do Bartka.

Bartek sam już nie wié, co się z nim dzieje. Rzecz niesłychana w pruskiéj armi: generał będzie rozmawiał z szeregowcem. Jego Ekscelencyi przyjdzie to tém łatwiéj, że umié po polsku. Zresztą szeregowiec ten zdobył trzy sztandary i dwie armaty.

— Zkąd jesteś?—pyta generał.

— Z Pognębina—odpowiada Bartek.

— Dobrze. Imię twoje?

— Bartek Słowik.

— Mensch... tłómaczy major.

— Mens!—powtarza Bartek.

— Wiesz za co bijesz Francuzów?

— Wiem, Celencyjo...

— Powiedz!

Bartek poczyna się jąkać: „Bo... bo...” Nagle słowa Wojtka przychodzą mu szczęśliwie na pamięć, wybucha więc prędko, by nie przekręcić:

— Bo to także Niemcy, tylko ścierwa gorsze!

Twarz staréj Ekscelencyi poczyna tak drgać, jakby jego Ekscelencya miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Po chwili jednak jego Ekscelencya zwraca się do majora i mówi:

— Miałeś pan słuszność.

Mój Bartek, kontent z siebie, stoi ciągle jak struna.

— Kto wygrał dziś bitwę?—pyta znowu generał.

— Ja, Celencyjo!—odpowiada bez wahania Bartek.

Twarz Ekscelencyi poczyna znów drgać.

— Tak, tak, ty! A oto masz nagrodę...

Tu stary wojownik odpina krzyż żelazny z własnéj piersi, następnie schyla się i przypina go Bartkowi. Dobry humor generała drogą zupełnie naturalną odbija się na twarzach pułkownika, majorów, kapitanów aż do podoficerów. Po odjeździe generała, pułkownik daje ze swéj strony Bartkowi dziesięć talarów, major pięć i tak daléj. Wszyscy powtarzają mu, śmiejąc się, że wygrał bitwę, skutkiem czego Bartek jest w siódmém niebie.

Dziwna rzecz. Jeden tylko Wojtek nie bardzo jest z naszego bohatéra zadowolony.

Wieczorem, gdy zasiedli obaj przy ognisku i gdy szlachetna twarz Bartka zapchana była kiszką grochową, tak dokładnie jak sama kiszka grochem, Wojtek ozwał się tonem rezygnacyi:

— Oj ty Bartek, głupi jesteś, bo głupi...

— Albo co?—mówi przez kiszkę Bartek.

— Cóżeś ty człeku nagadał generałowi o Francuzach, że ony Miemcy?

— A sameś prawił...

— Ale trzeba ci było zmiarkować, że generał i oficery też Miemcy.

— To i co z tego?

Wojtek począł się jakoś jąkać...

— To, że choć ony Miemcy, ale nie trzeba im tego mówić, boć to zawdy niełądnie...

— Toć ja na Francuzów powiedziałem nie na nich...

— Ej, kiedy bo to...

Wojtek uciął nagle, widocznie sam chciał także co innego powiedzieć, chciał oto wytłómaczyć Bartkowi, że przy Niemcach nienależy źle mówić o Niemcach, ale jakoś mu się język poplątał!...

V.

W jakiś czas potém królewsko-pruska poczta przywiozła do Pognębina list następujący:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Jego święta Rodzicielka! Najukochańsza Magdo! Co u ciebie słychać? Dobrze ci w chałupie pod pierzyną, a ja tu wojuję okrutnie. Byliśma koło wielgiéj fortecy Miecu i była bitwa i takémci Francuzów sprał, że się cała infanteryja i artyleryja dziwowały. I sam jenerał się dziwował i powiedział, żem bataliję wygrał i dał mnie krzyż. A teraz to ci mnie i oficery i unteroficery bardzo szanują i po pysku mało co biją. Potém pomaszerowaliśma daléj i była druga batalia, jeno zabaczyłem jak się to miasto nazywa, i tożem prał i czwarty sztandar wziąłem, a jednego największego pułkownika od kirasyerów tom przetrącił i do niewoli zabrałem. A jak będą nasze pułki odsyłać do domu, to mi unteroficer radził, żebym napisał „ryklamacyą" i ostał się, bo na wojnie tylko spać gdzie niéma, ale żreć czasem ile wytrzymasz, i wino w tym kraju jest wszędzie, bo naród bogaty. Jakeśma palili jedną wieś, tośma i dzieciom i babom nie przepuścili, i ja téż. Kościół-ci się spalił do cna, bo ony są katoliki i ludzi się po-

piekło nie mało. Idziema teraz na samego cesarza i będzie koniec wojny, a ty pilnuj chałupy i Franka, bo niechbyś nie pilnowała, tobym ci chyba giry poprzetrącał, żebyś wiedziała, com za jeden. Bogu cię polecam.

Bartłomiéj Słowik."

Bartek widocznie zasmakował w wojnie i począł patrzeć na nią, jak na właściwe sobie rzemiosło. Nabrał wielkiéj ufności w siebie i do bitwy teraz szedł, jakby się zabierał do jakiéj roboty w Pognębinie. Na piersi jego, po każdéj rozprawie leciały medale i krzyże, a choć podoficerem nie został, powszechnie miano go za piérwszego szeregowca w pułku. Był zawsze karny, jak dawniéj, i posiadał ślepe męztwo człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Męztwo to nie płynęło już tak, jak w piérwszych chwilach z wściekłości. Teraz źródłem jego była praktyka żołnierska i wiara w siebie. Przytem olbrzymie jego siły wytrzymywały wszelkie trudy, pochody i niewczasy. Ludzie marnieli obok niego, on jeden trwał niespożycie, tylko dziczał coraz bardziéj i stawał się coraz sroższym pruskim żołdakiem. Począł on teraz nietylko bić Francuzów, ale i nienawidzieć ich. Pozmieniały się też i inne jego pojęcia. Stał się żołnierzem-patryotą i uwielbiał ślepo swoich przywódzców. W następnym liście pisał do Magdy:

„Wojtka na dwoje rozerwało, ale od tego jest wojna, rozumiesz? On też był kiep, bo powiadał, że Francuzy, to Niemcy, a ony są Francuzy, a Niemcy to nasi."

Magda w odpowiedzi na obydwa listy, nawymyślała mu, co wlazło:

„Najukochańszy Bartku, pisała, przed ołtarzem świętym mi poślubiony! Ażeby cię Bóg pokarał. Tyś sam kiep poganinie, kiedy naród katolicki na wspólkę z kasztanami mordujesz. To nie rozumiesz, że kasztany są lutry, a ty katolik im pomagasz. Chce ci się wojny, wałkoniu, bo możesz nic nie robić, jeno się bić, pić i innych poniewierać i nie pościć i kościoły palić. A bodaj ciebie w piekle za to palili, że się jeszcze tém chwalisz i ni na starych, ni na dzieci nie masz wyrozumienia. Pamiętaj, baranie na to, co w świętéj wierze jest pisane złotemi literami od początku świata do dnia sądu ostatecznego dla polskiego narodu, w którym dniu Bóg najwyższy nie będzie miał dla takich capów wyrozumienia i pohamuj się, Turku jeden, żebym ci tego twojego łba nie rozbiła. Pięć talarów ci posyłam, choć mi tu biéda, bo sobie rady dać nie mogę i gospodarstwo się marnuje. Ściskam cię najukochańszy Bartku. *Magda.*"

Morały w liście tym zawarte, małe na Bartku zrobiły wrażenie: „Baba służby nie rozumié, myślał sobie, a wtrąca się." I wojował po staremu. Odznaczał się w każdéj niemal bitwie, tak, że w końcu padły nań oczy jeszcze od Steinmecowych dostojniejsze. Nakoniec gdy zniszczone pułki poznańskie odesłano w głąb Niemiec, on za radą podoficera podał „reklamacyą" i został. Skutkiem tego znalazł się pod Paryżem.

Listy jego pełne były teraz lekceważenia dla Francuzów. „W każdéj bitwie tak ci ździerają jak zajęce," pisał do Magdy. I pisał prawdę! Ale oblężenie niezbyt przypadło mu do smaku. Pod Paryżem trzeba było leżeć po całych dniach w podkopach i słuchać huku dział,

częstokroć sypać szańce i moknąć. Przytém żal mu było swego dawnego pułku. W tym, do którego przeniesiono go teraz, jako ochotnika, otaczali go po większéj części Niemcy. Po niemiecku umiał on trochę, bo się jeszcze w fabryce nieco poduczył, ale tak sobie piąte przez dziesiąte. Teraz począł się wprawiać szybko. Nazywano go jednak w pułku *ein polnischer Ochs*, i tylko jego krzyże i straszliwe pięści zasłaniały go przed dotkliwemi żartami. Wszelako po kilku bitwach zyskał sobie szacunek u nowych towarzyszy i począł się z nimi zżywać powoli. W końcu uważano go za jednego ze swoich, ile że cały pułk okrywał sławą. Bartek poczytywałby sobie zawsze za obelgę, gdyby go kto nazwał Niemcem, ale zato sam siebie, w przeciwstawieniu do Francuzów, nazywał *ein Deutscher*. Zdawało mu się, że to zupełnie co innego, a przytém nie chciał uchodzić za gorszego niż inni. Zaszedł wszelako wypadek, który dałby mu wiele do myślenia, gdyby myślenie w ogóle było łatwiejsze dla tego bohaterskiego umysłu. Oto pewnego razu kilka kompanij jego pułku wykomenderowano przeciw wolnym strzelcom, zrobiono na nich zasadzkę i strzelcy w nią wpadli. Ale tym razem Bartek nie ujrzał czerwonych czapek pierzchających po piérwszych strzałach, oddział bowiem składał się ze starych żołnierzy, rozbitków jakiegoś pułku, legii zagranicznéj. Otoczeni bronili się zacięcie, a wreszcie rzucili się, by bagnetem utorować sobie drogę przez opasujący ich krąg pruskiego żołdactwa. Bronili się z taką zaciętością, że część ich przebiła się przez wojska, szczególniéj zaś nie dawali się brać żywcem, wiedząc jaki los czeka pochwyconych wolnych strzelców. Kompania w któ-

réj służył Bartek, pochwyciła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Nazajutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitém oknem, razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z jeńców był to niemłody człowiek, ze siwiejącemi wąsami i twarzą obojętną na wszystko; drugi wyglądał na dwadzieścia kilka lat: jasne wąsy zaledwie sypały mu się na twarzy, podobniejszéj do twarzy panny niż żołnierza.

— Ot i koniec — rzekł po chwili młodszy — kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadźwięczał mu w ręku: młody chłopak mówił po polsku...

— Mnie tam już wszystko jedno—odrzekł zniechęconym głosem drugi—dalibóg, wszystko jedno. Naterałem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiéj....

— Słuchajno—mówił daléj stary—niéma rady. Jeśli się boisz, to myśl o czém inném, albo się połóż spać. Życie jest podłe! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

— Matki mi żal!—odparł głucho młodszy.

I widocznie chcąc stłumić wzruszenie, lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

— Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

— Toś uciekł z domu?

— Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiéj.

— I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś z cicha, ale resztę jego słów zgłuszył szum wiatru. Noc była zimna. Drobny dészcz zacinał od czasu do czasu falami, poblizki las czarny był jak kir. W izbie wicher świstał po kątach i wył w kominie jak pies. Lampa umieszczona wysoko nad oknem, aby jéj wiatr nie zgasił, rzucała sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiéj, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działy się dziwne rzeczy. Z początku ogarnęło go zdziwienie i wytrzeszczał na jeńców oczy i starał się zrozumieć, co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiéj, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiéj. I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on biédak ma o tém myślić? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go coś za gardło. I co on im powie? czy ich wyratuje? To i jego rozstrzelają! Hej, rety! co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pognębina. Nieznany gość w żołdackiém sercu, litość, krzyczy mu w duszy: „Bartku! ratuj swoich, to swoi," a serce wyrywa się do domu do Magdy, do Pognębina i tak się rwie, jak nigdy przedtém. Dosyć mu téj Francyi, téj wojny i bitew. Coraz wyraźniéj słyszy głos: „Bartku, ratuj swoich!" Ażeby ta wojna pod ziemię się zapa-

dła! Przez wybite okno czernieje las i szumi jako pognębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu:

„Bartku, ratuj swoich!"

Cóż on zrobi?

Ucieknie z nimi do lasu, czy co? Wszystko co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, odrazu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On żołnierz, ma dezerterować? nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniéj i wicher świszcze coraz żałośniéj.

Starszy jeniec odzywa się nagle:

— A to wiatr, jakby jesienią u nas...

— Daj mi pokój....—rzecze pognębionym głosem młodszy.

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

— U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!...

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstem i jeńcy leżą znów cicho...

Bartka poczyna febra trząść...

Najgorzéj, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdaje, jakby co ukradł i jakby się bał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin cięży mu strasznie i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą, czy za Pognębinem? Za obojgiem, ale i tego młodszego jeńca, tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem

zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pikelhaubą...

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych, mokrych głębiach boru, ktoś jęczy i powtarza: „u nas, u nas, u nas!"

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się: jeńcy leżą w kącie, lampa migoce, wiatr wyje, wszystko w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca. Iście twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przymknięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował żal. Wyraźnie ściska go coś za gardło, wyraźnie płacz mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością na bok i mówi:

— Dobranoc Władek...

Następuje cisza. Upływa godzina, z Bartkiem coś naprawdę źle. Wiatr gra jak organy pognębińskie. Jeńcy leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysileniem i woła:

— Karol?

— Co?

— Śpisz?

— Nie...

— Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

— To się módl!

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowa młodego jeńca... wszelako słychać jeszcze przerywany głos:

— Bądź... wola... Twoja!...

— O, Jezu! wyje coś w piersiach Bartka. O, Jezu!...

Nie! on już nie wytrzyma dłużéj! Chwila jeszcze, a krzyknie: „Paniczu! toć ja chłop!....” Potém przez okno... w las... Niech się dzieje co chce!

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol a z nim podoficer. Zmieniają straże!

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

* *
*

Ale w dalszych dniach przyszły nowe pochody, potyczki, marsze... i miło mi oznajmić, że nasz bohatér wrócił do równowagi. Po owéj nocy zostało mu tylko trochę zamiłowania do butelki, w któréj zawsze można znaleźć smak, a czasem i zapomnienie. Zresztą w bitwach bywał jeszcze okrutniejszy, niż dotąd, zwycięztwo szło w jego ślady.

VI.

Znów upłynęło kilka miesięcy. Było już dobrze z wiosny. W Pognębinie wiśnie w sadzie kwitły i pokryły się bujnym liściem, a na polach zieleniała ruń obfita. Pewnego razu Magda siedząc pod chałupą, obierała na obiad marne kiełkowate kartofle, zdatniejsze dla trzody niż dla ludzi. Ale był to przednówek i biéda zajrzała trochę do Pognębina. Znać ją było i z twarzy Magdy, poczerniałéj i pełnéj frasunku. Może téż dla rozpędzenia go, kobiéta przymykając oczy, śpiewała cienkim, wytężonym głosem:

Oj, mój Jasieńko na wojnie! oj! listy pisze do mnie,
Oj, i ja téż do niego—oj! bom żoneczka jego.

Wróble na czereśniach świergotały, jakby ją pragnęły zagłuszyć, a ona śpiewając spoglądała w zamyśleniu to na psa śpiącego na słońcu, to na drogę przechodzącą koło chałupy, to na steczkę idącą od drogi przez ogród i pola. Może i dlatego poglądała Magda na steczkę, że wiodła ona na przełaj do stacyi i tak Bóg dał, że tego dnia nie spoglądała na nią napróżno. W dali ukazała się jakaś postać i kobieta przysłoniła oczy ręką, ale nie mogła nic dojrzeć, bo ją blask ślepił. Łysek tylko rozbudził się, podniósł gło-

wę i szczeknąwszy krótko, począł węszyć nadstawiając uszu i przekręcając łeb na obie strony. Jednocześnie do uszu Magdy doszły niewyraźne słowa pieśni. Łysek zerwał się naraz i całym pędem skoczył ku zbliżającemu się człowiekowi. Wówczas Magda przybladła trochę.

— Bartek, czy nie Bartek!

Wstała nagle, tak, że aż niecułka z kartoflami potoczyła się na ziemię: teraz już nie było wątpliwości. Łysek tam skakał aż do piersi przybyłego. Kobiéta rzuciła się naprzód, krzyknąwszy z całéj siły z radości:

— Bartek! Bartek!

— Magda! to ja!—wołał Bartek przykładając dłoń do ust i przyśpieszając kroku.

Otworzył wrota, zawadził o zaworę, mało nie upadł, aż się zatoczył, i padli sobie w objęcia.

Kobieta poczęła mówić szybko:

— A ja myślała, że już nie wrócisz... Myślałam: zabili go!... Cóż ci? Pokaż się. Niech się napatrzę! Bardzoś zmizerowany! O Jezu! Oj ty kapcanie!... Oj najmilejszy!... Wrócił! wrócił!...

Chwilami odrywała ręce od jego szyi i patrzyła na niego i znów je zarzucała.

— Wrócił! Chwała bądź Bogu... Mój ty Bartczysko kochane!... Cóżeś?... Chodź do chałupy... Franek w szkole! Niemczysko trochę dzieciom dopieka. Chłopak zdrów. Ino ślepie na wierzchu ma jak ty. Oj, czas ci wracać! Bo ani rady. Biéda, mówię biéda!... Chałupsko się psuje. Do stodoły bez dach leci. Cóżeś? Oj Bartku! Bartku! Że też ja jeszcze ciało twoje oglądam! Co ja tu miałam kłopotów z sianem!... Czermieniccy mi

pomagali, ale bogać! I cóżeś ty zdrów? Oj raduję ja ci się, raduję! Bóg cię strzegł. Chodź do chałupy. O dla-Boga, coś niby Bartek, niby nie Bartek! A tobie co? Rety!

Magda w téj dopiéro chwili spostrzegła długą szramę, ciągnącą się przez twarz Bartka, przez lewą skroń, policzek, aż do brody.

— At nic... Kiryser mnie ta pomacał, ale i ja jego téż: W szpitalu byłem.

— O Jezu!

— Ej, mucha.

— A chudyś jak ta śmierć.

— *Ruhig!*—rzekł Bartek.

Był rzeczywiście wychudły, zczerniały, obszarpany. Prawdziwy zwycięzca! Przytém chwiał się na nogach.

— Cóżeś ty, pijany?

— Ti... słabym jeszcze.

Był słaby, to pewno! ale był i pijany, bo przy jego wycieńczeniu, jedna miarka wódki wystarczała, a Bartek na stacyi wypił ich coś cztery. Ale za to miał animusz i minę prawdziwego zwycięzcy. Takiéj miny nigdy przedtém nie miewał.

— *Ruhig!*—powtórzył.—Skończyliśmy *krieg!* teraz ja pan, rozumiesz? A to widzisz?—Tu ręką wskazał na krzyże i medale.—Wiesz com za jeden?—Hę? *links! rechts! Heu. Stroh!* siano! słoma! słoma! siano! *halt!*

Ostatnie *halt!* wrzasnął tak przeraźliwie, że kobiéta odskoczyła o kilka kroków.

Cóżeś ty oszalał?

— Jak się masz Magda! Kiedy ci mówię: jak się

masz? to jak się masz?... A po francuzku umiesz, głupia?... *Musiu, musiu!* kto *musiu?* ja *musiu!* wiesz?

— Człeku, co z tobą jest?

— Tobie co do tego! *Was? done diner?* rozumiesz.

Na czole Magdy zaczęła się zbierać burza.

— Po jakiemu ty bełkoczesz? Cóżto, nie umiesz po polsku? To-ci kasztan! Sprawiedliwie mówię! Co z ciebie zrobili!

— Daj mnie jeść!

— Ruszaj do chałupy.

Wszelka komenda robiła na Bartku wrażenie, któremu żadną miarą oprzeć się nie mógł. Usłyszawszy tedy: „ruszaj!" wyprostował się, ręce wyciągnął wzdłuż bioder i zrobiwszy pół-obrotu, pomaszerował we wskazanym kierunku. Na progu dopiéro ochłonął i począł patrzeć na Magdę ze zdumieniem.

— No, co ty Magda? co ty?...

— Ruszaj! marsz!

Wszedł do chałupy, ale upadł na samym progu. Wódka teraz zaczęła mu naprawdę uderzać do głowy. Zaczął śpiéwać i oglądać się po chałupie za Frankiem. Powiedział nawet: *morgen Kerl!* choć Franka nie było. Następnie roześmiał się, dał jeden krok nader wielki, dwa bardzo małe, krzyknął: hurra! i legł jak długi na tapczanie. Wieczorem zbudził się trzeźwy, wypoczęty, przywitał się z Frankiem i wyprosiwszy u Magdy kilkanaście fenigów, odbył tryumfalny pochód do karczmy. Sława jego czynów poprzedziła go już w Pognębinie, gdyż niektórzy żołnierze innych kompanii tegoż samego pułku, wróciwszy wcześniéj, opowiadali jego przewagi pod Gra-

velotte i Sedanem. Obecnie gdy się wieść rozeszła, że zwycięzca jest w karczmie, wszyscy dawni towarzysze pospieszyli go zobaczyć.

Siedzi więc nasz Bartek za stołem, niktby go teraz nie poznał. On taki dawniéj potulny, bije oto pięścią w stół, puszy się jak indyk i gulgoce jak indyk.

— A pamiętacie chłopcy, jakem tedy Francuzów sprał: co powiedział Steinmec?

— Co nie mamy pamiętać.

— Gadali za Francuzami, straszyli, a to jest mdły naród, *was?* Ony sałatę jedzą jak zające, to i umykają jak zające. A piwa to-ci nie piją, ino dycht wino.

— Juści.

— Jakeśma palili jaką wieś, to ony ręce składały i zaraz krzyczały: *pitié! pitié!* to niby znaczy, że dadzą picie, że im co ino dać spokój. Aleśma nie zważali.

— To to można zrozumieć jak ony szwargoczą?— spytał młody parobczak.

— Ty nie rozumiesz, boś głupi, a ja rozumiem. *Done dipę*, rozumiesz?

— Co zaś gadacie?

— A Paryż widzieliśta? Tam-ci były batalie jedna za drugą. Ale w każdéj pobiliśma. Ony komendy dobréj nie mają. Tak téż ludzie mówili. Płot, powiadają u nich téż dobry, ale kołki kiepskie. I oficery kiepskie, i generały kiepskie, a z naszéj strony dobre.

Maciéj Kierz stary, mądry gospodarz z Pognębina począł kiwać głową.

— Oj wygrały Niemcy straszną wojnę, wygrały,

a myśma im pomogli; ale co nam z tego przyjdzie, Bóg jeden wié.

Bartek wytrzeszczył na niego oczy.

— Co gadacie?

— Toż Niemcy i tak nie chcieli nas szanować, a teraz to ci nosy pozadzierały, jakby i Boga już nad niemi nie było. I będą jeszcze gorzéj nas poniewierać, albo już poniewierają.

— A nieprawda!—rzekł Bartek.

W Pognębinie stary Kierz miał taką powagę, że cała wieś myślała wedle jego głowy i zuchwalstwem było mu przeczyć, ale Bartek był teraz zwycięzcą i sam powagą.

Wszelako oni spojrzeli na niego ze zdziwieniem, a nawet z pewném oburzeniem.

— Cóż ty z Maciejem będziesz się spierał?... Cóż ty?....

— Co mi-ta Maciéj! Ja nie z takiemi gadałem, rozumita! Chłopcy! czy nie gadałem ze Steinmecem, *was?* A kiéj Maciéj zmyśla, to zmyśla. Tera nam będziéj lepiéj.!'

Maciéj popatrzył chwilę na zwycięzcę.

— Oj, ty głupi!—rzekł.

Bartek uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kieliszki i kufle.

— *Still der Kerl da! Heu, Stroh!...*

— Cicho, nie wrzeszcz! Spytaj się, głupi, jegomości, albo i pana.

— Albo jegomość na wojnie był? albo pan był? A ja byłem. Nie wierzta chłopcy. Tera ci nas zaczną

szanować. Kto batalię wygrał? Myśma wygrali. Ja wygrałem. Tera o co ci poproszę, to dadzą. Bym chciał dziedzicem we Francyi ostać, to ostanę. Rząd dobrze wié, kto najlepiéj prał Francuzów. A nasze pułki były najlepsze. Tak pisało w rozkazach. Tera Polaki górą: rozumieta?

Kierz machnął ręką, wstał i poszedł. Bartek i na polu politycznem odniósł zwycięztwo. Młodzi, którzy z nim zostali, patrzyli teraz w niego jak w tęczę; on mówił:

— A ja czegobym nie chciał, to dadzą. Żeby nie ja, to no! Stary Kierz jest kiep: rozumieta. Rząd każe bić, to bić! Kto mnie będzie poniewierał? Niemiec? A to co?

Tu znów pokazał na krzyże i medale.

— A za kogo prałem Francuzów? Nie za Niemców, co? Ja tera lepszy jak Niemiec, bo żaden Niemiec niéma tyle tego. Piwa dajta! Ze Steinmecem gadałem i z Podbielskim gadałem. Piwa dajta!

Zwolna zabierało się na pijatykę. Bartek począł śpiewać:

„Trink, trink, trink!
Wenn in meiner Tasche
Noch ein Thaler klingt."

Nagle wydobył z kieszeni garść fenigów.

— Bierzta! ja teraz pan... Nie chceta? Oj nie takich my pieniędzy we Francyi nabrali, ino że poszło. Mało-to my nie napalili, ludzi nabili... Bóg wié nie kogo... francirerów...

Humor ludzi pijanych miewa nagłe zmiany. Nad-

spodziewanie Bartek zgarnął pieniądze ze stołu i począł wołać żałośnie:

— Boże! bądź miłościw grzesznéj duszy mojéj.

Następnie podparł się obuma łokciami na stole, głowę ukrył w łapy, i milczał.

— Co ci jest?—spytał któryś z pijanych.

— Com im winien—mruknął ponuro Bartek.—Sami leźli! Ino mi ich było żal, bo swojaki oba. Boże, bądź miłościw! Jeden był, jak ta zorza rumiana. Nazajutrz to ci był blady jak chusta. A potém to ci ich jeszcze żywych przysypali... Wódki!

Nastała chwila posępnéj ciszy. Chłopi spoglądali jeden na drugiego ze zdziwieniem.

— Co on prawi?—spytał któryś.

— Ze sumieniem cości gada.

— Bez tę wojnę człowiek pije—mruknął Bartek.

Napił się wódki raz i drugi. Chwilę posiedział w milczeniu, potém splunął i niespodzianie wrócił mu dobry humor.

— A wyśta gadali ze Steinmecem? a ja gadałem. Hurra! Pijta. Kto płaci? Ja!

— Ty płacisz, pijaku, ty!—ozwał się głos Magdy— ale i ja ci zapłacę, nie bój się!

Bartek popatrzył na przybyłą kobietę szklanemi oczyma.

— A ze Steinmecem gadałaś? coś za jedna?

Magda zamiast mu odpowiedzieć, zwróciła się do czułych słuchaczów i poczęła lamentować:

— Oj ludzie, ludzie, widzita mój srom i moją niedolę. Wrócił, ucieszyłam się jak komu dobremu, a on

wrócił pijany. I Boga zapomniał i po polsku zapomniał. Położył się spać, wytrzeźwiał, a teraz znowu pije, i moją pracą, moim potem płaci. A zkądeś wziął tych pieniędzy? Nie mój-że to starunek, nie moja krwawica, co? Oj ludzie, ludzie, nie katolik to już, nie człowiek, to je Niemiec opętany, co po niemiecku szwargoce i na krzywdę ludzką dybie. To jest odmieniec, to jest...

Tu kobieta zalała się łzami, następnie podniosła głos o oktawę wyżéj:

— Głupi był, ale dobry; ale teraz co z niego zrobili? Czekałam-ci go wieczór, czekałam i rano i doczekałam się. Znikąd pociechy, znikąd zmiłowania! Boże mocny! Boże cierpliwy!... Żebyś ty skołowaciał, żebyś do reszty Niemcem ostał.

Ostatnie słowa skończyła tak żałośnie, że prawie śpiewając. A Bartek na to:

— Cichoj, bo cię lunę!

— Bij, utnij głowę, utnij zaraz, zabij, zamorduj— woła natarczywie kobieta i wyciągnąwszy szyję, zwróciła się do chłopów:

— A wy ludzie patrzajta.

Ale chłopi poczęli się wynosić. Wkrótce karczma opustoszała, został tylko Bartek i baba z wyciągniętą szyją.

— Cóż tę tchawicę wyciągasz jak gęś — mruczał Bartek.—Chodź do chałupy.

— Utnij!—powtarza Magda.

— Oto, że nie utnę—odparł Bartek i wsadził ręce w kieszenie.

Tu karczmarz chcąc położyć koniec zajściu, zgasił

jedyną świécę. Zrobiło się ciemno i cicho. Po chwili w ciemności rozległ się piskliwy głos Magdy:

— Utnij!

— Oto, że nie utnę—odparł tryumfalny głos Bartka.

Przy świetle księżyca widać było dwie postacie, idące od karczmy ku chałupom. Jedna z nich, idąca naprzód, lamentowała głośno: to była Magda; za nią, ze spuszczoną głową, postępował dość pokornie, zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu.

VII.

Bartek wrócił jednak tak osłabiony, że przez kilka dni nie mógł pracować. Było to wielkie nieszczęście dla całego gospodarstwa, które na gwałt potrzebowało męzkiéj ręki. Magda radziła sobie jak umiała. Pracowała od ranka do nocy; sąsiedzi Czemierniccy pomagali jéj jak mogli, ale swoją drogą wszystko to nie wystarczało, i gospodarstwo szło potrochu w ruinę. Było też już i nieco długów zaciągniętych u kolonisty Justa, Niemca, który w Pognębinie zakupił był w swoim czasie u dworu kilkanaście morgów nieużytków, a teraz miał najlepsze w całéj wsi gospodarstwo i gotówkę, którą wypożyczał na dość wysokie procenta. Wypożyczał przedewszystkiém dziedzicowi p. Jarzyńskiemu, którego nazwisko jarzyło się w „złotéj księdze," ale który dlatego właśnie musiał podtrzymywaś splendor domu na odpowiedniéj stopie; wypożyczał jednak Just i chłopom. Magda winna mu była od pół roku kilkadziesiąt talarów, które częścią włożyła w gospodarstwo, częścią posyłała w czasie wojny Bartkowi. Byłoby to jednak nic. Bóg dał dobre urodzaje i z przyszłych plonów można było dług spłacić, byle rąk i pracy przyłożyć. Na nieszczęście Bartek pracować nie mógł.

Magda nie bardzo chciała temu wierzyć i chodziła do proboszcza na narady, jakby chłopa rozruszać, a on rzeczywiście nie mógł. Brakło mu oddechu, gdy się cokolwiek strudził i krzyże go bolały. Siadywał więc po całych dniach przed chałupą i palił porcelanową fajkę z wyobrażeniem Bismarka, w białym mundurze i kirasyerskim hełmie na głowie, i poglądał na świat zmęczoném, senném okiem człowieka, z którego kości trud jeszcze nie wyszedł. Rozmyślał przytém trochę o wojnie, trochę o zwycięztwach, o Magdzie, trochę o wszystkiém, trochę o niczém.

Raz gdy tak siedział, usłyszał zdala płacz Franka. Franek wracał ze szkoły i beczał, aż się rozlegało. Bartek wyjął z ust fajkę.

— No, ty Franc! co ci jest?

— Ale, co ci jest?...—powtórzył szlochając Franek.

— Czego beczysz?

— Ale co nie mam beczyć, kiedy dostałem po pysku....

— Kto ci dał po pysku?

— Kto, jak nie pan Boege!

Pan Boege pełnił obowiązki nauczyciela w Pognębinie.

— A on co ma za prawo bić cię po pysku?

— Juści ma, bo dał.

Magda, która okopywała w ogrodzie, przelazła przez płot i z motyką w ręku zbliżyła się do dziecka.

— Cóżeś sprawił?—spytała.

— Com miał sprawić. Jeno Boege nawymyślał mi od polskich świń i dał mnie w pysk i powiedział, że jak

teraz Francuzów zwojowały, to nas będą nogami kopać, bo ony najmocniejsze. A ja jemu nic nie zrobiłem, jeno on się pytał, jaka jest największa osoba na świecie, a ja powiedziałem, że Ojciec Święty, a on mi dał w pysk, a ja począłem krzyczeć, a on nawymyślał mi od polskich świń i powiedział, że jak teraz Francuzów zwojowały...

Franek począł powtarzać wkółko: „a on powiedział, a ja powiedziałem," wreszcie Magda zakryła mu twarz ręką, a sama zwróciwszy się do Bartka, poczęła wołać:

— Słyszysz! słyszysz!... Idź ty wojuj Francuzów, a niech ci dziecko potém Niemiec tłucze, jak tego psa, niech mu wymyśla!... idź ty wojuj... niech ci Szwab dziecko zabija: masz nagrodę... niech ci plucha...

Tu Magda rozczulona własną wymową, zaczęła także płakać do wtóru z Frankiem, a Bartek wytrzeszczył oczy, otworzył gębę i zdumiał—zdumiał tak, iż słowa nie mógł przemówić, a przedewszystkiem zrozumieć tego, co się stało. Jakto? A jego zwycięztwa... Siedział jeszcze chwilę w milczeniu, nagle błysło mu coś w oczach, krew rzuciła się do twarzy. Zdumienie, równie jak przestrach, częstokroć u prostaków przechodzi w wściekłość. Bartek zerwał się nagle i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

— Ja się z nim rozmówię.

I poszedł. Niedaleko było. Szkoła leżała tuż za kościołem. Pan Boege stał właśnie przed gankiem, otoczony gromadą prosiąt, między które rozrzucał kawałki chleba.

Był to rosły człowiek, lat około pięćdziesięciu, krzepki jeszcze jak dąb. Nie był zbyt tłusty, twarz tylko miał bardzo tłustą, a w téj twarzy pływały duże rybie oczy, z wyrazem śmiałości i energii.

Bartek przystąpił do niego bardzo blizko.

— Za co ty mi, Niemcze, dziecko bijesz? *was?*—spytał.

Pan Boege odstąpił od niego kilka kroków, zmierzył go oczyma bez cienia bojaźni i rzekł z flegmą:

— Won, polska „turnia!"

— Za co dziecko bijesz?—powtórzył Bartek.

— Ja i ciebie bić, polska „chama." Teraz my wam pokażemy, kto tu pan. Idź do dyabel, idź na skargę do sąd... precz!.

Bartek schwyciwszy nauczyciela za ramię, począł potrząsać nim silnie, wołając chrapliwym głosem:

— Wiesz, com za jeden? wiesz kto Francuzów spra? wiesz, kto ze Steinmecem gadał? Za co dziecko bijesz szwabska plucho?

Rybie oczy pana Boego wylazły na wierzch, nie gorzéj Bartkowych, ale pan Boege był silny człowiek i postanowił jednym zamachem uwolnić się od napastnika....

Zamach ten ozwał się potężnym policzkiem na twarzy zwycięzcy z pod Gravelotte i Sedanu. Wtedy chłop stracił pamięć. Głowa Boegego wstrząsnęła się dwoma nagłemi ruchami, przypominającemi ruch wahadła, z tą różnicą, że wstrząśnienia były przerażająco szybkie. W Bartku znów zbudził się straszliwy pogromca turkosów i żuawów. Naprożno dwudziestoletni Oskar, syn Boegego, chłop równie silny jak ojciec, pospieszył mu z pomocą. Zawiązała się walka krótka, straszna, w któréj syn padł na ziemię, a ojciec uczuł się wyniesionym w powietrze. Bartek, wyciągnąwszy ręce do góry, niósł go sam nie wiedząc dokąd. Na nieszczęście pod chałupą stała beczka z pomyjami, skrzętnie zlewanemi dla świń przez panią

Boegową i oto bulknęło w beczce, a po chwili widać z niéj było sterczące nogi Boegego i poruszające się gwałtownie. Boegowa wypadła z domu:

— Pomocy, ratunku!

Przytomna kobiéta wywróciła natychmiast beczkę i wylała męża wraz z pomyjami na ziemię.

Z poblizkich domów koloniści pospieszyli na pomoc sąsiadom.

Kilkunastu Niemców rzuciło się na Bartka i poczęli okładać go to kijami, to pięściami. Powstało ogólne zamięszanie, w którém trudno było odróżnić Bartka od wrogów: kilkanaście ciał zbiło się w jedną massę, poruszającą się konwulsyjnie.

Nagle jednak z massy walczących wypadł jak szalony Bartek, dążąc co sił do płotu.

Niemcy skoczyli za nim, jednocześnie jednak dał się słyszeć przeraźliwy trzask płotu i w téjże chwili potężna żerdź zakołysała się w żelaznych łapach Bartka.

Odwrócił się zapieniony, wściekły, wzniósł ręce z żerdzią do góry: pierzchli wszyscy.

Bartek sunął za niemi.

Szczęściem nie dogonił nikogo. Przez ten czas ochłonął i począł rejterować ku domowi. Ach! gdyby miał przed sobą Francuzów! Odwrót ten unieśmiertelniłaby historya.

Było tak: napastujący w liczbie blizko dwudziestu ludzi, zebrawszy się, nacierali na nowo na Bartka. On cofał się zwolna, jak odyniec party przez psiarnię. Chwilami odwracał się i zatrzymywał, a wtedy zatrzymywali się i goniący. Żerdź przejmowała ich zupełnym szacunkiem.

Ciskali jednak kamieniami, jeden z tych kamieni zranił Bartka w czoło. Krew zalewała mu oczy. Czuł, że słabnie. Zachwiał się raz i drugi na nogach, opuścił żerdź i upadł.

— Hurra!—krzyknęli koloniści.

Ale nim dobiegli, Bartek podniósł się znowu. To ich wstrzymało. Ten ranny wilk mógł jeszcze być niebezpieczny. Zresztą było to już niedaleko pierwszych chałup i zdala widać już było kilku parobków, pędzących co siły na plac potyczki. Koloniści cofnęli się do domów.

— Co się stało?—pytali nadbiegający.

— Niemców krzynę pomacałem — odpowiedział Bartek.

I zemdlał.

VIII.

Sprawa stała się groźną. Gazety niemieckie umieściły nader wzruszające artykuły o prześladowaniach, jakich doznaje spokojna ludność niemiecka od barbarzyńskiéj i ciemnéj massy, podniecanéj przez anti-państwowe agitacye i fanatyzm religijny. Boege stał się bohatérem. On nauczyciel cichy i łagodny, krzewiący oświatę na dalekich krańcach państwa; on prawdziwy misyonarz kultury wśród barbarzyńców, pierwszy padł ofiarą rozruchu. Szczęściem, że za nim stoi sto milionów Niemców, którzy nie pozwolą, aby i t. d.

Bartek nie wiedział jaka burza zbiera się nad jego głową. Owszem, był dobréj myśli. Był pewny że w sądzie wygra. Przecie Boege mu dziecko pobił, i jego pierwszy uderzył, a potém tylu na niego napadło! Musiał się przecie bronić. Rozbili mu jeszcze głowę kamieniem. I komu? jemu, którego wymieniały rozkazy dzienne, jemu który „wygrał" bitwę pod Gravelotte, który gadał z samym Steinmecem, który miał tyle krzyżów! Nie mieściło mu się to wprawdzie w głowie, jak Niemcy mogli o tém wszystkiém nie wiedzieć i tak go pokrzywdzić, również jak nie mieściło mu się i to, jak Boege mógł obiecywać Pogne-

bińcom, że ich teraz Niemcy będą nogami kopać, za to, że oni Pognębińcy, tak dzielnie bili Francuzów, ilekroć była sposobność. Ale co do siebie, był pewny, że sąd i rząd ujmą się za nim. Tam przecie będą wiedzieć, co on za jeden i co on na wojnie robił. Choćby nie kto inny, to Steinmetz ujmie się za nim. Przecie Bartek przez tę wojnę i zbiedniał i chałupę zadłużył, toć przecie nie odmówią mu sprawiedliwości.

Tymczasem do Pognębina przyjechali po Bartka żandarmi. Spodziewali się widać strasznego oporu, bo przyjechało ich aż pięciu z nabitymi karabinami. Mylili się. Bartek o oporze nie myślał. Kazali mu na brykę siąść: siadł. Magda desperowała tylko i powtarzała uparcie:

— Oj, trzebaż-ci było tych Francuzów tak wojować? Maszże teraz biédaku, masz.

— Cichéj, głupia!—odpowiadał Bartek, i uśmiechał się po drodze dość wesoło do przechodzących.

— Ja im pokażę kogo krzywdzili—wołał z bryczki.

I ze swemi krzyżami na piersiach jechał jak tryumfator do sądu.

Jakoż sąd okazał się na niego łaskawy. Zgodzono się na istnienie okoliczności łagodzących. Bartek osobiście skazany został tylko na trzy miesiące więzienia.

Prócz tego, skazano go na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek tytułem wynagrodzenia rodzinie Boege i innym „obrażonym na ciele kolonistom."

„Zbrodniarz wszelako, pisała w sprawozdaniu sądowém *Posener Zeitung*, nietylko po odczytaniu mu wyroku nie okazał najmniejszéj skruchy, ale wybuchnął tak

grubiańskiemi słowy i tak bezczelnie począł wyrzucać państwu swoje rzekome usługi, iż dziwić się tylko należy, że obecny prokurator nie uformował przeciw niemu nowéj sprawy, za obelgi względem sądu i względem niemieckiego plemienia..."

Tymczasem Bartek rozpamiętywał w kozie spokojnie swoje czyny pod Gravelotte, Sedanem i Paryżem.

Popełnilibyśmy jednak niesprawiedliwość, twierdząc, że i postępek p. Boegego nie wywołał żadnéj publicznéj nagany. Owszem, owszem. Pewnego dżdżystego poranku, jakiś poseł polski bardzo wymownie dowodził, jak zmieniło się postępowanie z Polakami w Poznańskiém, jak za męztwo i ofiary, poniesione przez poznańskie pułki w czasie wojny, należałoby dbać więcéj o prawa ludzkości w poznańskiéj prowincyi; jak nakoniec p. Boege z Pognębina nadużywał swéj pozycyi nauczyciela, bijąc polskie dzieci, nazywając je polskiemi świniami i obiecując, że po takiéj wojnie, napływowa ludność będzie kopać nogami aborigenów.

I gdy tak poseł mówił, dészcz sobie padał, a ponieważ takiego dnia senność ludzi ogarnia, więc ziewali konserwatyści, ziewali national-liberalni i socyaliści, ziewało i centrum, bo było to jeszcze przed walką kulturną.

Wreszcie nad tą „polską skargą," Izba przeszła do porządku dziennego.

Bartek tymczasem siedział w kozie, a raczéj leżał w szpitalu więziennym, bo od uderzenia kamieniem otworzyła mu się rana, jaką na wojnie otrzymał.

Gdy nie miał gorączki, myślał, myślał jak ów indyk,

który zdechł od myślenia. Ale Bartek nie zdechł, tylko nic nie wymyślił.

Czasem jednakże w chwilach, które nauka zwie *lucida intervalla*, przychodziło mu do głowy, że może niepotrzebnie tak „prał" Francuzów.

Na Magdę za to nadeszły ciężkie godziny. Trzeba było zapłacić karę: nie było zkąd wziąć. Ksiądz pognębiński chciał pomódz, ale pokazało się, że w kasie nie miał całych czterdziestu marek. Biédna to była parafia ten Pognębin, a zresztą staruszek nigdy nie wiedział jak mu się pieniądze rozchodzą. Pana Jarzyńskiego nie było w domu. Mówili, że pojechał w konkury do jakiéjś bogatéj panny do Królestwa. Magda nie wiedziała co ma począć.

O przedłużeniu terminu nie było co i myśleć—Cóż więc? Sprzedać konie, krowy? I tak był przednówek, czas najcięższy. Żniwo się zbliżało, gospodarka wymagała pieniędzy, a wyczerpały się już wszystkie. Kobiéta ręce łamała z rozpaczy. Podała kilka próśb o zmiłowanie do sądu, wymieniając zasługi Bartka. Nie otrzymała nawet odpowiedzi. Termin się zbliżał a z nim sekwestr.

Modliła się i modliła wspominając gorzko dawne czasy przed wojną, gdy byli zamożni i gdy Bartek zimą jeszcze w fabryce zarabiał. Poszła do kumów pożyczyć pieniędzy: nie mieli. Wojna wszystkim dała się we znaki. Do Justa nie śmiała iść, bo i tak była mu winna, a nie płaciła nawet procentów. Tymczasem Just niespodzianie sam przyszedł do niéj.

Pewnego popołudnia siedziała na progu chaty i nie robiła nic, bo ją siły z rozpaczy odeszły. Patrzyła przed siebie, na goniące się po powietrzu muszki złote i myśla-

ła „jakie to ono robactwo szczęśliwe, buja sobie i nie płaci i t. d." Czasem wzdychała ciężko, lub z jéj pobladłych ust wyrywało się ciche wezwanie: „O Boże! Boże!" Nagle przed wrotami pokazał się spuszczony nos Justa, pod którym widać było spuszczoną fajkę: kobieta pobladła. Just ozwał się:

— *Morgen!*

— Jak się macie panie Just?

— A moje pieniądze?

— O mój złocieńki panie Just, bądźcie cierpliwi. Ja biédna co ja zrobię? Chłopa mi wzięli, karę za niego płacić muszę, rady sobie dać nie mogę. Lepiéjbym zmarła, niż się mam tak męczyć z dnia na dzień. Poczekajcie, mój złocieńki panie Just.

Rozpłakała się i schyliwszy się ucałowała pokornie tłustą, czerwoną rękę pana Justa.

— Pan przyjedzie, to od niego pożyczę, a wam oddam.

— No, a sztraf z czego zapłacicie?

— Czy ja wiem. Chyba krowinę sprzedam.

— To ja wam pożyczę jeszcze.

— Niech panu Pan Bóg zapłaci, mój złoty panie. Pan choć luter, ale dobry człowiek. Sprawiedliwie mówię! Żeby inne Niemcy były jak pan, toby ich człowiek błogosławił.

— Ale ja bez procentu nie dam.

— Ja wiem, ja wiem.

— To mi napiszecie jeden kwit na wszystko.

— Dobrże, złoty panie, Bóg panu zapłać i tak.

— Będę w mieście to sporządzimy akt.

[illegible]

[illegible] Magia.— [illegible] Oni teraz w Bogu[illegible] Oni się teraz nikogo nie boją.

— Pewno, że ony najmocniejsze — rzekł smutno Bartek.

— Jać prosta jestem kobieta, ale to ci powiem: mocniejszy jest Bóg.

— W Nim ucieczka nasza—dodał Bartek.

Chwilę milczeli oboje, potém znowu spytał:

— No, a co Just?

— Żeby Bóg najwyższy dał urodzaj, to może go jakoś zapłaciwa. Może też i pan nam dopomoże, chociaż on sam ma długi u Niemców. Jeszcze przed wojną mówili, że musi Pognębin sprzedać. Chyba, że bogatą pannę weźmie.

— A prędko on wróci?

— Kto go wié. We dworze prawią, że niedługo już z żoną przyjedzie. Niemcy go przycisną, jak wróci. Zawdy te Niemcy! Dyć to lezie, jak robactwo! Gdzie się obejrzysz, gdzie się niedopatrzysz, czy na wsi, czy w mieście, Niemcy, za grzechy chyba nasze. A ratunku znikąd!

— Może też co uradzisz, tyś przecie mądra kobieta.

— Co ja zradzę, co? Czy to ja po dobréj woli brała od Justa pieniądze? Na dobrą sprawę, toć ta chałupina, w któréj siedzimy i też grunt, to już jego. Just jest lepszy Niemiec od innych, ale on też swoje dobro, nie cudze, ma na oku. Nie pofolguje on, jak i innym nie pofolgował. Czy ja taka głupia, czy ja nie wiem po co on mi wtyka pieniądze! Ale co zrobić! co zrobić!—mówiła łamiąc ręce—radź ty, kiedyś mądry. Francuzów umiałeś bić, a co poczniesz, jak ci dachu nad głową niestanie, abo łyżki strawy do gęby?

Zwycięzca z pod Gravelotte uchwycił się za głowę.

— O Jezu, Jezu!

Magda miała dobre serce; wzruszył ją ten ból Bartkowy, więc rzekła zaraz:

— Cichaj chłopie! cichaj! nie łap się za łeb, skoro ci się jeszcze nie zgoił. Byle Bóg urodzaj dał! Żytko ci takie ślicznіutkie, że aż się ziemię chce całować, pszenica też. Ziemia nie Niemiec, nie ukrzywdzi. Choć to i bez twoją wojnę kiepsko koło roli zrobione, to ci tak rośnie że a!

Poczciwa Magda uśmiechnęła się przez łzy.

— Ziemia nie Niemiec...—powtórzyła raz jeszcze.

— Magda—rzekł Bartek patrząc na nią swemi wyłupiastemi oczyma—Magda!

— Czego?

— A bo tyś jest... niby...

Bartek czuł dla niéj wdzięczność wielką, ale nie umiał tego wyrazić!

IX.

Magda naprawdę była tyle warta, ile dziesięć gorszych od niéj kobiét. Trzymała trochę krótko swego Bartka, ale przywiązana była do niego prawdziwie. W chwilach uniesienia, jako naprzykład w onczas w karczmie mówiła mu w oczy, że głupi, ale zwyczajnie wolała wszelako, by ludzie inaczéj myśleli: „Mój Bartek głupiego udaje, a on je chytry," mawiała nieraz. Tymczasem Bartek był tak chytry jak jego koń, i bez Magdy nie dałby sobie rady, ani w gospodarstwie, ani w niczém. Teraz oto wszystko było na jéj poczciwéj głowie i jak zaczęła dreptać, zabiegać, chodzić, prosić, tak i wyprosiła ratunek. W tydzień po ostatnich odwiedzinach w więziennym szpitalu, wpadła znowu do Bartka zadyszana, rozpromieniona, szczęśliwa.

— Jak się masz Bartek, kasztanie—zawołała z radością—wiesz, przyjechał pan! Ożenił-ci się w Królestwie; młoda pani dycht jagódka. A nabrał ci téż za nią wszelakiego dobra oj! oj!...

Dziedzic Pognębina ożenił się rzeczywiście, zjechał z żoną na miejsce i rzeczywiście nabrał za nią sporo „wszelakiego dobra."

— No i co z tego?—spytał Bartek.

— Cicho, głupi—odrzekła Magda.—O, tom się zadyszała! O Jezu!... Poszłam się pani pokłonić, patrzę wyszła do mnie jak królewna jaka, młodziusieńka, kiś łoński kwiateczek, śliczniuchna jak ta zorza... A to upał a tom się zadyszała!....

Magda podniosła fartuch i poczęła obcierać twarz spoconą. Po chwili mówiła znów przerywanym głosem:

— Suknię-ci miała jak ten chaber niebiesiuchną... Podjęłam ją pod nogi i rączkę mi dała.... pocałowałam, a rączki to ci ma pachnące i maluśkie jak u dziecka!... Dycht jaka święta na obrazku i dobra jest i wyrozumiała na biédę ludzką. Poczęłam ją prosić o poratowanie... Żeby jéj Bóg dał zdrowie!.... A ona powiada: „Co w mojéj mocy, powiada, to zrobię.” A głosik to ci ma taki, że jak przemówi, to cię aż słodkość ogarnie. Tak dopiéro ja poczęłam prawić, jaki to w Pognębinie naród nieszczęśliwy, a ona powiada: „Ej, nietylko w Pognębinie....” i dopiéro ja się rozbeczałam i ona téż. Aż pan nadszedł, zobaczył, że ona płacze i jak ją weźmie całować gęba nie gęba, oczko nie oczko. Panowie nie takie jak wy! Dopiéro ona mu powiada: „Zrób co możesz dla téj kobiety.” A on powiada: „Wszystko na świecie, czego zechcesz.” Niechże ją Matka Boska błogosławi, oną jagódkę złotą; niech ją na dzieciach błogosławi i na zdrowiu. I zaraz pan powiada: „Zawiniliście ciężko, boście się w niemieckie ręce podali, ale, powiada, poratuję was i na Justa dam.”

Bartek począł drapać się w kark.

— Dyć pana téż Niemcy mieli w ręku.

— No to co! ale pani bogata. Państwoby teraz

wszystkich Niemców w Pognębinie mogli kupić, to i panu wolno gadać. Wybory, powiada pan, niedługo będą, niech ludzie patrzą by za Niemcami nie głosowali, a ja na Justa dam i Boegego przykrócę. A pani go za to za szyję wzięna, a pan się pytał o ciebie, i powiada, jeśli słaby, to ja z doktorem pogadam, żeby mu napisał świadectwo jako teraz nie może siedzieć. Jeśli go nie zwolnią całkiem, to powiada, odsiedzi w zimie, a taraz do roboty na żniwa potrzebny. Słyszysz? Wczoraj pan w mieście był, a dziś doktor jedzie do Pognębina z wizytą, bo go pan zaprosił. On nie Niemiec. I świadectwo napisze. W zimie będziesz sobie siedział w karceresie, jako ten król, będzie ci ciepło i źreć darmo ci dadzą, a teraz pójdziesz do dom, do roboty i Justa zapłaciewa, a pan może i nijakiego procentu nie będzie chciał, a jak nie oddamy wszystkiego w jesieni, to u pani wyproszę. Niechże ją Matka Boska... Słyszysz...

— Dobra pani. Niéma co!—rzekł raźno Bartek.

Padniesz-że ty jéj do nóg, padniesz, a nie, to ci chyba ten żółty łeb ukręcę. Byle Bóg urodzaj dał! A widzisz zkąd poratowanie? od Niemców? dały ci choć grosz za te twoje głupie mentale? co? dały ci po łbie, i tyla. Padnieszże ty pani do nóg, mówię.

— Co nie mam paść!—odparł rezolutnie Bartek.

Los zdawał się znowu uśmiechać zwycięzcy. W kilka dni późniéj zawiadomiono go, że z powodów zdrowia, nateraz zostaje uwolniony z kozy, aż do zimy. Przedtém jednak landrat kazał mu się stawić przed sobą. Bartek stawił się z duszą na ramieniu. Ten chłop, który z bagnetem w ręku brał sztandary i armaty, począł się teraz

bać każdego munduru więcéj niż śmierci, począł nosić w sercu jakieś głuche, bezwiedne poczucie, że go prześladują, że mogą zrobić z nim co zechcą, że jest nad nim jakaś siła ogromna, a nieżyczliwa i zła, która gdyby się jéj opierał, to go zetrze. Stał więc oto przed landratem, jak ongi przed Steinmetzem wyprostowany, z brzuchem wciągniętym, piersią wydaną naprzód i bez tchu w piersiach. Było także i kilku oficerów; wojna i karność wojenna stanęły Bartkowi w oczach, jakby żywe. Oficerowie patrzyli na niego przez złote binokle z dumą i pogardą, należną prostemu żołnierzowi i polskiemu chłopu od pruskich oficerów; on stał dech wstrzymując, a landrat, mówi coś rozkazującym tonem. Nie prosił, nie namawiał, rozkazywał, groził. W Berlinie poseł umarł, nowe wybory rozpisano.

— *Du polnisches Vieh!* spróbuj tylko głosować za panem Jarzyńskim, spróbuj!

Brwi oficerów ściągnęły się w téj chwili w groźne lwie zmarszczki. Jeden ogryzając cygaro powtórzył za landratem: „spróbuj!" a w zwycięzkim Bartku dech zamierał. Gdy usłyszał pożądane: „poszedł precz!" zrobił pół-obrotu w lewo, wyszedł i odetchnął. Dano mu rozkaz, by głosował za panem Szulbergiem z Krzywdy Wielkiéj. Nad rozkazem nie namyślał się, ale odetchnął, bo szedł oto do Pognębina, bo na żniwa mógł być w domu, bo pan obiecał spłacić Justa. Wyszedł za miasto. Ogarnęły go łany zbóż dojrzewających. Kłos ciężki z wiatrem o kłos uderzał i szeleściły wszystkie miłym dla chłopskiego ucha szelestem. Bartek słaby był jeszcze, ale słońce go grzało. Hej! jak to na świecie pięknie! myślał stérany żołnierz. I do Pognębina już niedaleko.

X.

Wybory! wybory! Pani Marya Jarzyńska ma ich pełną główkę, nie myśli, nie mówi i nie marzy o niczém więcéj.

— Pani dobrodzika, to wielki polityk — mówi do niéj sąsiad szlachcic—całując jak smok, jéj małe rączki, a wielki polityk rumieni się jak wiśnia i odpowiada ze ślicznym uśmiechem:

— O, my agitujemy, jak tylko możemy!

— Pan Józef będzie posłem!—mówi przekonywająco szlachcic, a „wielki polityk" odpowiada:

— Chciałabym bardzo, chociaż nietylko o Józia chodzi, ale (tu „wielki polityk" piecze znowu niepolitycznego raka), ale to sprawa ogólna...

— Czysty Bismark! jak Boga kocham!—woła szlachcic i znowy całuje maleńkie rączki, potém radzą oboje nad agitacyą.

Szlachcic bierze na siebie Krzywdę Dolną i Mizerów (Krzywda Wielka stracona, bo dziedzicem jéj pan Schulberg), a pani Marya ma zająć się przedewszystkiém Pognębinem. Aż jéj się główka pali, że odgrywa taką rolę. Jakoż czasu nie traci. Codzień widać ją na wielkiéj drodze między chałupami: sukienka podniesiona w je-

dnéj ręce, parasolka w drugiéj, a z pod sukienki wyglądają malutkie nóżki, drepczące z zapałem w wielkich celach politycznych. Wstępuje do chałup, pracującym ludziom mówi po drodze: „Boże dopomóż!" Odwiedza chorych, ujmuje sobie ludność, pomaga gdzie może. Robiłaby to i bez polityki, bo ma dobre serce, ale dla polityki témbardziéj. Czegoby ona nie zrobiła dla téj polityki?! Oto nie śmie tylko przyznać się mężowi, że ma niepowstrzymaną ochotę pojechać na wiec włościański, ułożyła sobie nawet w główce mowę, jaką wypadałoby na wiecu powiedzieć. Co to za mowa! co za mowa! Wprawdzie pewnoby nie śmiała jéj wypowiedzieć, ale gdyby wypowiedziała, to no! Za to, gdy do Pognębina doszła wiadomość, że władze wiec rozpędziły, „wielki polityk" rozbeczał się ze złości w swoim pokoju, podarł jedną chusteczkę i cały dzień miał czerwone oczy. Naprożno mąż prosił jéj, by nie „demenowała" się do tego stopnia. Nazajutrz agitacya w Pognębinie prowadzona była z większym jeszcze ferworem. Pani Marya nie cofa się teraz przed niczém. Jednego dnia jest w kilkunastu chatach i wymyśla tak głośno na Niemców, że aż mąż musi ją powstrzymywać. Ale niéma niebezpieczeństwa. Ludzie przyjmują ją z radością, całują po rękach i uśmiechają się do niéj, bo taka jest ładna, taka różowa, że gdzie wejdzie, jasno się robi. Z kolei przychodzi i do chałupy Bartka. Łysek jéj nie puszcza, ale Magda daje mu w zapale drewnem w łeb.

— O, jaśnie pani! moje złoto, moje śliczności, moja jagódko!—woła Magda tuląc się do jéj rąk.

Bartek, zgodnie z postanowieniem, rzuca się jéj do

nóg, mały Franek całuje ją naprzód w rękę, następnie kładzie palec w usta i pogrąża się w całkowitym podziwie.

— Spodziewam się—mówi po powitaniach młoda pani—spodziewam się, mój Bartku, że będziecie głosować za moim mężem, nie za panem Schulbergiem.

— O, moja zorzo!—woła Magda—ktoby-ta za Siulbergiem głosował! Niech go tam paralius! (Tu całuje panią w rękę). Niech się jaśnie pani nie gniéwa, ale człek, gdy o Niemcach mówi, to i języka nie może utrzymać.

— Mąż właśnie mówił mi, że zapłaci Justa.

— Niech go Bóg błogosławi! Tu Magda zwraca się do Bartka:—czego stoisz jak drąg? On, proszę pani, strasznie niemowny.

— Będziecie za moim mężem głosować—pyta pani—prawda? Wyście Polacy, my Polacy, będziemy się trzymać.

— Łebbym mu ukręciła, żeby nie głosował!—rzecze Magda.—Czegóż stoisz jak drąg? On strasznie niemowny. Ruszże się!

Bartek całuje znowu panią w rękę, ale milczy ciągle i jest ponury, jak noc. W myśli stoi mu landrat.

* * *

Dzień wyborów zbliża się i nadchodzi. Pan Jarzyński pewny jest wygranéj. Do Pognębina zjeżdża się sąsiedztwo. Panowie wracają już z miasta, dali już głosy, i czekać będą teraz w Pognębinie na wiadomość, którą przywiezie ksiądz. Potém będzie obiad, wieczorem zaś państwo wyjadą do Poznania, a następnie i do Berlina.

Niektóre wsie z okręgu wyborczego głosowały jeszcze wczoraj. Rezultat dziś będzie wiadomy. Zgromadzeni wszelako dobréj są myśli. Młoda pani trochę niespokojna, ale pełna nadziei i uśmiechnięta, jest tak uprzejmą gospodynią, że wszyscy zgadzają się, iż pan Józef znalazł prawdziwy skarb w Królestwie. Skarb ten nie może wprawdzie teraz usiedzieć spokojnie na miejscu, biega od gościa do gościa i każe się każdemu po sto razy zapewniać, że „Józio będzie wybrany." Nie jest ona rzeczywiście ambitną i nie z próżności chce zostać panią posłową, ale wymarzyła sobie w swojéj młodéj główce, że oboje z mężem mają do spełnienia prawdziwą misyę. Serce więc jéj bije tak żywo, jak w chwili ślubu, i radość oświeca ładną twarzyczkę. Lawirując zręcznie wśród gości, zbliża się do męża, pociąga go za rękaw i szepcze mu do ucha, jak dziecko, które kogoś przezywa: „pan poseł!" On uśmiecha się i oboje są nad wszelki wyraz szczęśliwi. Oboje mają wielką ochotę wycałować się porządnie, ale przy gościach nie wypada. Wszyscy zresztą wyglądają co chwila za okno, bo sprawa jest istotnie ważna. Dawny zmarły poseł był Polakiem, i pierwszy to raz dopiéro Niemcy stawiają w tym okręgu swego kandydata. Widocznie zwycięzka wojna dodała im odwagi, ale właśnie dlatego zgromadzonym w pognębińskim dworze témbardziéj chodzi o to, by ich kandydat był wybrany. Nie brak téż jeszcze przed obiadem patryotycznych przemówień, które szczególniéj wzruszają młodą panią, jako do nich nieprzywykłą. Chwilami ma ona napady obawy. A jeśli zrobią jakie malwersacye przy obliczaniu głosów? Ale przecie w komitecie zasiadają nietylko Niemcy. Starsi

obywatele tłómaczą właśnie pani, jak się obliczanie głosów odbywa. Słyszała to ona już sto razy, ale jeszcze chce słyszeć. Ach! bo przecie chodzi tu o to, czy ta miejscowa ludność będzie miała w parlamencie obrońcę czy wroga? Za chwilę się to rozstrzygnie, nawet za małą chwilę, bo na drodze powstaje nagle kłąb kurzu. „Proboszcz jedzie! proboszcz jedzie!" powtarzają obecni. Pani blednie. Na wszystkich twarzach znać wzruszenie. Są pewni zwycięztwa, a jednak ostatnia chwila przyspiesza bicie serc. Ale to nie proboszcz, to włódarz wraca konno z miasta. Może co wié? Przywiązuje konia do kołka i spieszy do dworu. Goście z gospodynią na czele wypadają na ganek.

— Są wiadomości? Są? Nasz pan wybrany? Co? Chodź tu! Wiesz na pewno? Rezultat ogłoszony?

Pytania krzyżują się i padają jak race, a chłop rzuca czapkę do góry.

— Nasz pan wybrany!

Pani siada nagle na ławce i przyciska ręką falujące piersi!

— Wiwat! wiwat!—krzyczą sąsiedzi. Wiwat!

Służba wypada z kuchni.—Wiwat! „Pobite Niemcy! Niech żyje poseł! I pani posłowa!"

— A proboszcz?—pyta ktoś.

— Zaraz tu będzie—odpowiada włódarz—jeszcze reszty obliczają...

— Obiad dawać!—woła pan poseł.

— Wiwat!—powtarzają inni.

Wchodzą znów wszyscy z ganku do sali! Powinszowania panu i pani płyną już spokojniéj, sama pani tyl-

ko nie umie pohamować radości i bez względów na świadków rzuca mężowi ręce na szyję. Ale nie biorą jéj tego za złe; owszem, rozczulenie ogarnia wszystkich.

— No, jeszcze żyjemy!—mówi sąsiad z Mizerowa.

Tymczasem przed gankiem rozlega się turkot i do sali wchodzi ksiądz proboszcz, a z nim stary Maciéj z Pognębina.

— Witamy, witamy!—wołają zgromadzeni. No, jaka większość?

Ksiądz milczy przez chwilę i nagle rzuca, jakby w twarz téj powszechnéj radości, szorstkie i krótkie dwa wyrazy:

— Szulberg... wybrany!...

Chwila zdumienia, grad pytań przyspieszonych i trwożnych, na które ksiądz odpowiada znowu:

— Szulberg wybrany!

— Jak? Co się stało? Jakim sposobem? Włódarz mówił, że nie! Co się stało?

W téj chwili pan Jarzyński wyprowadza biédną panią Maryą, która gryzie chusteczkę, by nie wybuchnąć płaczem, lub nie zemdleć.

— O, nieszczęście! nieszczęście!—powtarzają zgromadzeni, chwytając się rękami za głowy.

W téj chwili od strony wsi dochodzą jakieś zmącone głosy, jakby radosnych krzyków. To Niemcy pognębińscy obchodzą tak radośnie swoje zwycięztwo.

Państwo Jarzyńscy wracają znów do sali. Słychać jak przy drzwiach młody pan mówi do pani: „*il faut faire bonne mine.*" Jakoż młoda pani już nie płacze. Oczy ma suche i bardzo silne rumieńce.

— Powiedzcież teraz, jakże się to stało?—pyta spokojnie gospodarz.

— Jakże się nie miało stać, jaśnie panie—mówi stary Maciéj—skoro i tutejsze chłopy pognębińskie głosowali za Szulbergiem.

— Kto taki?

— Jakto, tutejsi?

— A jakże. Ja sam widziałem i wszyscy, jak Bartek Słowik głosował za Szulbergiem...

— Bartek Słowik?—mówi pani.

— A jakże. Teraz-ci go inni wymyślają. Chłop tarza się po ziemi, płacze, baba go wymyśla. Aleć ja sam widziałem jak głosował...

— Ze wsi takiego wyświecić!—rzecze sąsiad z Mizerowa.

— Bo jaśnie panie—mówi Maciéj—inni téż, co byli na wojnie, to téż głosowali, jak i on. Gadają, że im kazali....

— Nadużycie, czyste nadużycie, nieważny wybór, przymus! szachrajstwo!—wołały różne głosy.

Nie wesoły był obiad tego dnia w pognębińskim dworze.

Wieczorem państwo wyjechali, ale już nie do Berlina, tylko do Drezna.

Nędzny, przeklinany, sponiewierany i znienawidzony Bartek siedział tymczasem w swojéj chałupie, obcy nawet dla żony własnéj, bo i ta nie przemówiła do niego cały dzień ni słowa.

* * *

Jesienią Bóg urodzaj dał, i pan Just, który właśnie objął był w posiadanie Bartkową kolonię, rad był, że wcale niezły zrobił interes.

Pewnego dnia szło z Pognębina do miasta troje ludzi: chłop, baba i dziecko. Chłop był pochylony bardzo, podobniejszy do dziada, niż do zdrowego człeka. Szli do miasta, bo w Pognębinie nie mogli służby znaleźć. Dészcz padał, baba szlochała okrutnie z żalu za straconą chałupą i całą wsią. Chłop milczał. Na całéj drodze pusto było, ani wozu, ani człowieka, krzyż tylko wyciągał ponad nią zmoczone od dészczu ramiona. Dészcz padał coraz większy, gęstszy i ciemniało na świecie.

Bartek, Magda i Franek szli do miasta, bo zwycięzca z pod Gravelotte i Sedanu miał jeszcze w zimie odsiedzieć w kozie za sprawę Boegego.

Państwo Jarzyńscy bawili ciągle w Dreznie.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu piątego

		str.
I.	Latarnik.	1
II.	Niewola tatarska	25
III.	Jamioł	77
IV.	Na jedną kartę	91
V.	Bartek zwycięzca	225

Stanford University Libraries
3 6105 124 433 066

Stanford University Libraries
Stanford, California
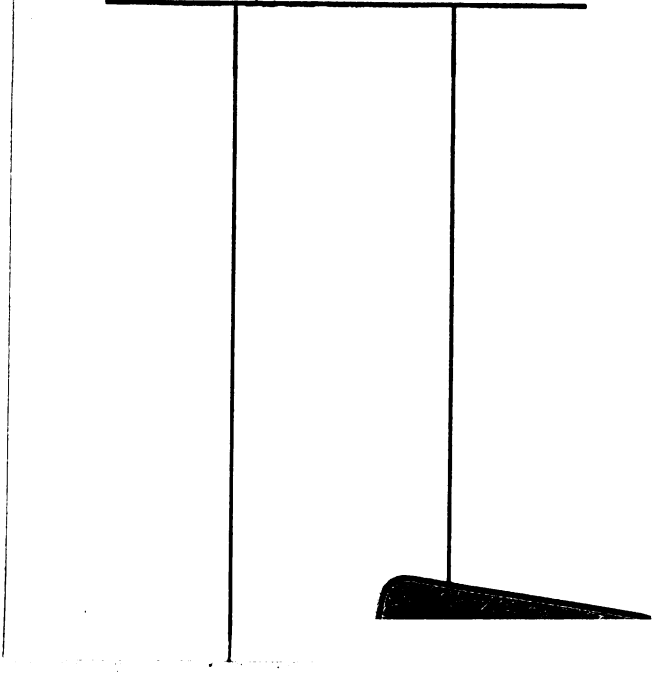
Return this book on or before date due.